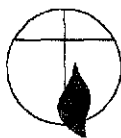


przegląd powszechny

11/879/94

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI - Warszawa

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ, ks. Ignacy Bokwa, ks. Waldemar Chrostowski,
Grzegorz Dobroczyński SJ, Aniela Dylus, Kazimierz Dziewanowski,
Michał Jagiełło, Piotr Jasiński SJ, ks. Helmut Juros, Andrzej Koprowski SJ,
Wacław Oszejca SJ, Ryszard Otowicz SJ, Krzysztof Renik,
Wojciech Roszkowski, Adriana Szymańska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Jacek Bolewski SJ (red. naczelny)
Zbigniew Kubacki SJ
Maria M. Matusiak

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

OPRACOWANIE TECHNICZNE

Joanna Kwiatkowska

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 214
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-78

PRENUMERATA

za II półrocze 125 000 zł
cena egzemplarza 25 000 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

*Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.*

H+H

DRUKARNIA GŁOŚNI
PRZEGŁĄD POWSZECHNY
spółka cywilna

00576 Warszawa, ul. Dobrego Smaku 10, 00-576, 02-576 w. 11

Numer zamknięto 20 X 1994 r.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów nie zamówionych
i zmiany tytułów. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy.

Spis treści

Ekonomia – ekologia

137

Wspólną troską ekonomii i ekologii we współczesnym świecie winno być to, aby ziemia nie została spustoszona, lecz pozostała domem człowieka.

Mędzy socjalizmem a liberalizmem

Czy istnieje „trzecia droga”?

139

15 VI 1994 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja, dotycząca możliwości określenia i zrealizowania optymalnego dla społeczeństwa polskiego kierunku i modelu przekształceń systemowych, w tym własnościowych. W rozmowie, którą prowadził Wojciech Roszkowski (historyk gospodarczy, politolog, dyr. Instytutu Nauk Politycznych PAN), uczestniczyli: Mirosława Rybak (ekonomista, prodziekan Studium Dyplomowego w warszawskiej SGH – Katedra Gospodarowania Zasobami Pracy), ks. Piotr Jasiński SJ (ekonomista, Regulatory Policy Research Centre, Hertford College i Campion Hall, Oxford University) i Jan Kofman (historyk gospodarczy, politolog, ISP PAN, red. nac. „Kwartalnika Politycznego »Krytyka«”).

Aniela Dylus

Kapitalizm bez właścicieli?

Upowszechnienie prywatnego posiadania

155

Kapitalizm musi mieć właścicieli. Inaczej grozi mu wynaturzenie. Własność akcji i obligacji, upodabniająca się do własności pożyczki, nie prowadzi do partycypacji we własności produkcyjnej. Trzeba więc zabiegać o takie upowszechnienie prywatnego posiadania, jakiemu towarzyszy świadomy i odpowiedzialny współudział nowych właścicieli w prerogatywach i obowiązkach własnościowych.

Maria J. Welfens

Transformacja systemu a polityka ochrony środowiska

Problemy i opcje w Europie Środkowo-Wschodniej

170

Kraje Europy Środkowo-Wschodniej odziedziczyły po poprzednim systemie skażone środowisko. Ich możliwości ekonomiczne uporania się z tym problemem są ograniczone. Zmiana gospodarki na rynkową daje szanse wzrostu, ale

też niesie ze sobą nowe problemy ekologiczne. Program wdrożenia polityki ochrony środowiska powinien być etapowy i uwzględniać specyficzne fazy rozwoju w procesie transformacji.

Medard Kehl SJ

Kościół na obczyźnie (dokończenie) 183

Na obecnym etapie kryzysu „postmodernistycznego” wierzący mogą próbować mu zaradzić osobiście przez: troskę o realistyczny obraz Kościoła, uczciwe przyznanie się do bezradności, postępowanie zgodne ze wskazaniami wiary, relatywizację Kościoła w perspektywie królestwa Bożego oraz odwagę do otwartego sprzeciwu w Kościele.

Jak przetrwać? 192

Stanisław Latek

Autorzy raportu Klubu Rzymskiego, zatytułowanego „Pierwsza rewolucja globalna”, analizując współczesne wyzwania i zagrożenia dla świata, pytają także o system wartości moralnych i duchowych człowieka żyjącego w tym świecie.

Nauka i teologia

„I”, czyli problem metody 201

ks. Henryk Seweryniak

Co ma oznaczać Chrystus dla ludzkości żyjącej dokonaniem Galileusza i Einsteina, Nietzschego i Freuda, badaniami Hawkinga i Frankla, zdobyczami medycyny, informatyki i komunikacji?

Odnowa teologii fundamentalnej 211

ks. Stanisław Nagy

Ks. Henryk Seweryniak (autor książki „Antropologia i teologia fundamentalna”) uważa, że teologia fundamentalna powinna realizować funkcję racjonalno-krytycznego uzasadnienia wiarygodności orędzia chrześcijańskiego przez poszukiwanie jego relacji z naukami o człowieku i matematyczno-przyrodniczymi.

Cmentarza pejzaż semiotyczny (I) 216

Jacek Kolbuszewski

Cmentarz jest przestrzenią, na której dokonuje się przewyciężenie opozycji żywi – zmarli, co ma istotne znaczenie dla znakowego wyposażenia tej przestrzeni.

Sztuka**K. Paluch Staszkiel: Z perspektywy końca stulecia 225**

(„Od »Prometeusza« do »Człowieka w przestworzu«. Rzeźby, obrazy i rysunki Xawerego Dunikowskiego”, wystawa stała, Muzeum Królikarni – Oddział Muzeum Narodowego w Warszawie)

Teatr**J. Godlewska: Biedny Allen... 228**

(Teatr Nowy w Warszawie, „Zagraj to jeszcze raz, Sam” Woody’ego Allena, reżyseria – Adam Hanuszkiewicz)

Film**A. Pietrzak: Polskie drogi w kazachskim stepie 230**

(„Wszystko, co najważniejsze” Roberta Glińskiego)

Książki**A. Szymańska: W świetle krzyża 232**

(Jerzy Hajduga, „Dwa żywioły”; Jerzy Sikora, „Zrywanie dekoracji”; Jerzy Szymik, „Ziemia niebieska”)

M. Orski: Małe prozy Piotra Czyżyka 236

(Jerzy Pluta, „Stacja metra: Franz Kafka”)

Informacje o nowościach wydawniczych 238**Listy do redakcji: 239****Dariusz Cieślak 239****Andrzej J. Treszczanowicz 242****Odpowiedź: Zeznania aferzysty (Kazimierz Dziewanowski) 244****Z życia Kościoła 250**

Sommaire

Économie – écologie

137

L'économie et l'écologie doivent avoir toutes deux pour souci majeur dans le monde d'aujourd'hui de préserver la terre des ravages consécutifs à son exploitation inconsidérée par l'homme.

Entre le socialisme et le libéralisme

Existe-t-il une „troisième voie”?

139

Le 15 juin dernier s'est déroulé à la rédaction de notre revue un débat sur les possibilités de définir et de mettre en oeuvre un modèle optimum pour la société polonaise de transformations de système économique dont aussi de régime de propriété. Animé par M. le Pr. Wojciech Roszkowski (historien de l'économie et politologue, directeur de l'Institut des Sciences Politiques de l'Académie Polonaise des Sciences), ce débat a bénéficié du concours de Mme le Pr. Mirosława Rybak (économiste à la Chaire des Ressources de Travail, vice-doyen du Centre d'Études Post-diplômées à l'École Centrale de Commerce à Varsovie), le Père Piotr Jasiński SJ (économiste au Regulatory Policy Research, Hertford College et Campion Hall, Université d'Oxford), et M. le Pr. Jan Kofman (historien de l'économie, politologue à l'Institut des Sciences Politiques de l'Académie Polonaise des Sciences, directeur de la revue trimestrielle „Kwartalnik Polityczny »Krytyka«”).

Aniela Dylus

Un capitalisme sans propriétaires?

Généralisation de la propriété privée

155

Le capitalisme implique nécessairement l'existence de propriétaires, sans quoi il ne serait pas capitalisme. Une propriété des actions et des obligations s'assimilant à la détention d'un prêt, ne conduit pas à une participation à la propriété de production. Il faut donc faire le nécessaire pour généraliser une formule de propriété privée favorisant une participation consciente et responsable des propriétaires nouveaux aux prérogatives et aux responsabilités qu'engendre une propriété réelle.

*Maria J. Welfens***Transformations de système et politiques de protection du milieu naturel****Problèmes et options au Centre-Est de l'Europe**

170

Les pays de l'Europe Centrale ont hérité du système précédent un milieu naturel dégradé. Leurs moyens économiques de venir à bout de ce problème sont limités. Le changement en économie de marché offre des chances de croissance, mais entraîne aussi des problèmes écologiques nouveaux. Le programme de mise en oeuvre d'une politique de protection de l'environnement doit procéder par étapes et tenir compte des phases spécifiques d'évolution économique dans le processus de transformation.

*Medard Kehl SJ***L'Église dans un monde étranger (fin)**

183

Dans la phase actuelle de la crise „postmoderniste”, les croyants peuvent chercher à l'obvier personnellement par le souci d'une image de marque réaliste de l'Église, un aveu honnête d'impuissance, une conduite conforme aux indications de la foi, une relativisation de l'Église dans la perspective du Royaume de Dieu et le courage d'une contestation ouverte au sein de l'Église.

Que faire pour survivre?

192

par Stanislaw Latek

Analysant les défis et les périls qu'affronte le monde d'aujourd'hui, les auteurs du rapport du Club de Rome sous le titre „La première révolution globale”, s'interrogent aussi sur l'échelle des valeurs morales et spirituelles de l'homme qui peuple ce monde.

Les sciences et la théologie**„I" ou problème de la méthode**

201

par l'abbé Henryk Seweryniak

Que doit signifier le Christ pour une humanité qui vit les acquis d'un Galilée et d'un Einstein, les oeuvres d'un Nietzsche et d'un Freud, les recherches d'un Hawking et d'un Frankl, les progrès de la médecine, de l'informatique et des communications?

La théologie fondamentale: renouveau

211

par l'abbé Stanisław Nagy

Auteur de „l'Anthropologie et la théologie fondamentale”, l'abbé Henryk Seweryniak estime que la théologie fondamentale se doit de remplir le rôle d'une justification rationnelle et critique de la crédibilité du message chrétien, par une recherche de sa relation avec les sciences de l'homme et des sciences exactes.

Du cimetière le paysage sémiotique (I)

216

par Jacek Kolbuszewski

Le cimetière est un espace où se surmonte symboliquement l'antinomie vivants – défunts, ce qui n'est pas sans importance pour la nature des signes dont on le dote.

Comptes rendus

225

Alfred Cholewiński SJ
**Chrześcijaństwo
ponownie odkrywane**

wyd. II poprawione, ss. 236, cena 40 000 zł

Wybór konferencji i homilii wygłoszonych w Radiu Watykańskim w latach 1976–1985. Książka ta, to owoc biblijnych studiów autora oraz refleksji nad doświadczeniem chrześcijańskim, którego doznał na drodze wspólnot neokatechumenalnych.

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym.
Zamówienia prosimy kierować pod adresem:

Oficyna Przeglądu Powszechnego, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa

Ekonomia – ekologia

Ekonomia nie ogranicza się do spraw materialnych. Wprawdzie greckie pojęcie „oikonomia” dotyczy najpierw zarządzania domem, gospodarstwem. Jednak już w Ewangelii (Łk 16,2-4), która wkłada to pojęcie w usta Jezusa (mówiącego po aramejsku!), chodzi o przypowieść-obraz o głębszym sensie: człowiek, który ma zdać sprawę ze swego „zarządu” („oikonomia”!), stanowi przykład dla uczniów Chrystusa – chrześcijan, jak mogą się ostać przed nadchodzącym sądem, mianowicie przez gotowość do darowania (w)innym ich długu wobec Pana. W tym głębszym sensie Nowy Testament mówi przede wszystkim o „ekonomii” samego Boga, czyli Jego rozporządzeniu (planie) związanym ze zbawieniem (Ef 1,10; 3,2.9). Biblijne pojęcie ekonomii zbawienia zostało przypomniane na II Soborze Watykańskim i odtąd zajmuje istotne miejsce we współczesnej teologii, która nie ustaje w penetrowaniu tajemnicy Bożego planu, „ekonomii łaski” Jezusa.

Boża ekonomia dotyczy całości życia – człowieka i świata. Obejmuje zatem również sferę materialną, tym bardziej że powołaniem stworzonego przez Boga człowieka jest dążenie do Niego nie w ucieczce od świata, ale w jedności z nim. „Zarządzanie” ziemią, do którego człowiek jest wezwany jako obraz Boga, ma być obrazem Boskiej ekonomii – miłości pełnej szacunku wobec stworzenia. Ten kierunek wskazuje również nauka społeczna Kościoła. Nie jest ona *jakąś „trzecią drogą” między liberalnym kapitalizmem i marksistowskim kolektywizmem, ani jakąś możliwą alternatywą innych, nie tak radykalnie przeciwnych wobec siebie rozwiązań: stanowi ona kategorię niezależną. Nie jest także ideologią, lecz dokładnym sformulowaniem wyników pogłębionej refleksji nad złożoną rzeczywistością ludzkiej egzystencji w społeczeństwie i w kontekście międzynarodowym, przeprowadzoną w świetle wiary i tradycji kościelnej.*

Powyższe pamiętne słowa Jana Pawła II z encykliki „Sollicitudo rei socialis” (nr 41) zostały sformułowane w 1987 r., kiedy

rywalizacja dwóch przeciwstawnych systemów ekonomiczno-politycznych mogła się wydawać sprawą nie rozstrzygniętą. Następny wielki dokument poświęcony tej kwestii był bogatszy o nowe doświadczenie. Ogłoszona w 1991 r. encyklika „*Centesimus annus*” poświęciła cały rozdział *nieoczekiwanym i wiele obiecującym wydarzeniom ostatnich lat*, których *punktem kulminacyjnym były niewątpliwie wydarzenia roku 1989 w Krajach Europy Środkowej i Wschodniej* (CA 22). W tej sytuacji papież stawia wyraźniej pytanie, czy *można powiedzieć, że klęska komunizmu oznacza zwycięstwo kapitalizmu jako systemu społecznego i że ku niemu winny zmierzać kraje, które podejmują dzieło przebudowy gospodarczej i społecznej*. Odżegnując się od radykalnej ideologii kapitalizmu, Ojciec Święty dodaje: *Jeśli mianem „kapitalizmu” określa się system ekonomiczny, który uznaje zasadniczą i pozytywną rolę przedsiębiorczości, rynku, własności prywatnej i wynikającej z niej odpowiedzialności za środki produkcji, oraz wolnej ludzkiej inicjatywy w dziedzinie gospodarczej, na postawione wyżej pytanie należy z pewnością odpowiedzieć twierdząco, choć może trafniejsze byłoby tu wyrażenie „ekonomia przedsiębiorczości”, „ekonomia rynku” czy po prostu „wolna ekonomia”* (CA 42).

W tym świetle wcześniejsze słowa polemizujące z pojęciem „trzeciej drogi” nabierają dodatkowego sensu. Oznaczają nie tylko przejście od ekonomicznego do teologicznego spojrzenia, lecz sugerują także określoną opcję w sferze ekonomicznej – z podkreśleniem wolności. Wynika stąd, że wszystko, co znie-wala człowieka, jest zagrożeniem również dla ekonomii. Wniosek nieodparty, ale zarazem nieoczekiwany dla tych, którzy rozwój ekonomiczny widzą w nieustannym rozkręcaniu spirali konsumpcji. Tymczasem skoro *zjawisko konsumizmu prowadzi do uzależnienia jednych i do egoistycznego zapominania o innych*, to wymaga ono odmiennego podejścia do ekonomii. Wiąże się to z *kwestią ekologiczną* (CA 37). Nie tylko dlatego, że konsumizm prowadzi do nieliczenia się ze środowiskiem naturalnym. Ekonomię winna łączyć z ekologią wspólna troska, by dana ludziom ziemia nie została spustoszona, lecz pozostała domem („oikos”!).

J.B.

Między socjalizmem a liberalizmem

Czy istnieje „trzecia droga”?

15 VI 1994 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja, dotycząca możliwości określenia i zrealizowania optymalnego dla społeczeństwa polskiego kierunku i modelu przekształceń systemowych, w tym własnościowych. W rozmowie, którą prowadził Wojciech Roszkowski (historyk gospodarczy, politolog, dyr. Instytutu Nauk Politycznych PAN), uczestniczyli: Mirosława Rybak (ekonomista, prodziekan Studium Dyplomowego SGH – Katedra Gospodarowania Zasobami Pracy, Warszawa), ks. Piotr Jasiński SJ (ekonomista Regulatory Policy Research Centre, Hertford College i Campion Hall, Oxford University) i Jan Kofman (historyk gospodarczy, politolog, ISP PAN red. nacz. „Kwartalnika Politycznego »Krytyka«”).

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Zebraliśmy się, żeby porozmawiać o możliwościach trwałego istnienia systemów społeczno-gospodarczych nazywanych trzecią drogą między państwowym socjalizmem a wolnorynkowym kapitalizmem. O wszystkie te pojęcia możemy się spierać, rozważać, co one znaczą, jakie są czynniki napędzające ich rozwój, jak w nich wygląda np. efektywność w powiązaniu ze sprawiedliwością. Myślę, że punktem wyjścia powinno być określenie, czym jest system ekonomiczny. Należałoby zatem przyjrzeć się dwóm wymienionym systemom, pytając o rodzaj występującej w nich własności, regulacji i motywacji. Na tych trzech płaszczyznach widać zasadnicze różnice między systemami.

Kapitalistyczny system własnościowy opiera się na własności prywatnej, z pewnymi modyfikacjami; system socjalizmu państwowego – przede wszystkim na własności państwowej, choć istnieją w nim formy pośrednie: własność spółdzielcza, pracow-

nicza, samorząd. Jeśli chodzi o system regulacji, z jednej strony mamy rynek, a więc żywiołowe określanie parametrów działania, z drugiej – planowość czy centralną kontrolę parametrów bądź parametry konstruowane sztucznie. Istnieje także spektrum pośrednie – częściowo plan, częściowo rynek. Odnosząc się do motywacji można mówić o jej trzech rodzajach: o motywacji materialnej (zysk, zarobek), normatywnej (etyka purytańska, katolicka nauka społeczna, japoński paternalizm, chińska zasada „li”), wreszcie o przymusie. W systemie rynkowym występuje przede wszystkim motywacja materialna i częściowo normatywna, choć inna niż w systemie socjalistycznym, w którym występuje swoiste połączenie dwóch motywacji: przymusu i motywacji normatywnych, jak np. szczęście przyszłych pokoleń.

Biorąc pod uwagę trzy wymienione płaszczyzny można się zastanawiać, czy podział na dwa bieguny jest słuszny. Czy w ogóle istnieją dwa bieguny? Czy system planowo-państwowo-socjalistyczny jest w stanie przetrwać, czy był to tylko wybryk historii? Przykład gospodarki komunistycznej typu radzieckiego skłania do myśli, że taki system musiał upaść, ale istnieje przecież system chiński, który jest reformowany i być może w jakiejś formie przetrwa.

Proponuję zastanowić się na tej podstawie, jakie są czynniki określające trwałość systemów i jak to się ma do obecnej sytuacji Polski. A także, jak to się ma do katolickiej nauki społecznej, czy można za jej pomocą tłumaczyć trwałość jakiejś drogi pośredniej.

JAN KOFMAN: Proponuję dodać czwartą płaszczyznę – systemy polityczne. W systemie rynkowym może występować autorytaryzm, dyktatura, totalitaryzm, w systemie zaś gospodarki nakazowo-rozdzielczej, centralnie sterowanej występują różne stopnie przymusu, choć temu typowi gospodarki w XX w. towarzyszy totalitaryzm. Nasz polski totalitaryzm miał od 1956 r., coraz mniej zębów, a w końcu lat osiemdziesiątych był niemal bezzębny, jednak wtedy był wyposażony w atrybuty systemu opresywnego i totalnego. Okazuje się, że może się też wytworzyć forma pośrednia. Z czymś takim mamy obecnie do czynienia w Chinach. Podjęto tam próbę wprowadzenia gospodarki rynko-

wej w oderwaniu od jej podstawowego atrybutu i – jak dotąd sądzono – warunku koniecznego, czyli własności prywatnej, i w ramach opresywnej, jednak totalitarnej, struktury politycznej. Eksperyment chiński jest czymś zupełnie wyjątkowym. Mam wątpliwości, czy jest możliwa taka zadziwiająca hybryda.

Rozumiem jednak, że mówimy tu o „trzeciej drodze” przede wszystkim w wymiarze ekonomicznym jako o czymś pośrednim między gospodarką rynkową a centralnie sterowaną. Sądzę, że takie koncepcje istniały, np. u nas Ryszarda Bugaja, lidera Unii Pracy. Inna – to droga PSL, abstrahując od zaplecza ideowego i korzeni politycznych stronnictwa. Tylko czy istotnie jest to „trzecia droga”? Niektórzy przedstawiają jako taką „trzecią drogę” właśnie społeczną naukę Kościoła. Uważam, że to nie jest jakaś „trzecia droga”, lecz podporządkowanie aktywności na różnych polach pewnemu systemowi wartości, w tym przypadku – katolickiemu. Toteż przychyliam się do opinii, iż Jan Paweł II nie jest reprezentantem takiej „trzeciej drogi”. Sądzę, że nie ma czegoś takiego, jak „trzecia droga”. Jednak jestem zdania, że wymogi transformacji polskiej narzucają wprost konieczność uwzględnienia w jej procesie aspektu społecznego. Więcej, osobiście jestem zwolennikiem takiej gospodarki rynkowej, która ów społeczny kontekst wbudowuje w swoje ramy. Tyle że jest to kwestia odpowiednich wzajemnych proporcji.

PIOTR JASIŃSKI SJ: Rozumiem, że problem „trzeciej drogi”, pomijając wszystkie trudności z jednoznacznym jej zdefiniowaniem, interesuje nas przede wszystkim w kontekście transformacji systemowej, czyli tego, co się dzieje w Polsce od 1989 r. Pozwolę sobie zaproponować następującą interpretację tego procesu: Jeśli zgodzimy się, że system gospodarczy jest określany przez własność (prywatną lub państwową) i system regulacji (rynek lub centralne planowanie), to dokonujące się w Polsce przemiany polegają na – po pierwsze – odejściu od własności państwowej, z czego wynika, że prywatyzacja jest elementem konstytutywnym transformacji systemowej; i po drugie – na odejściu od centralnego planowania, czyli, wbrew wszystkim reformistyczno-komunistycznym konotacjom i skojarzeniom, na urynkowieniu. Ono z kolei polega na liberalizacji, czyli rozsze-

rzeniu sfery wolności gospodarczej, oraz na tworzeniu instytucji rynkowych, wśród których system prawny i mechanizmy gwarantujące jego przestrzeganie zajmują centralne miejsce.

Zgadzam się, że należy również wziąć pod uwagę, trochę jak gdyby z zewnątrz systemu gospodarczego, również problem systemu politycznego, a tym samym związku kapitalizmu z demokracją oraz – co być może jeszcze ważniejsze w naszej sytuacji – związku powrotu do kapitalizmu z demokratyzacją. Mam natomiast wątpliwości czy jako determinantę systemu gospodarczego możemy traktować motywację. Czyż wielkość i oryginalność Adama Smitha – a także istota „niewidzialnej ręki rynku” – nie polegała na tym, że równowagę i wzrost gospodarczy osiąga się niezależnie od motywacji uczestników gry rynkowej? Rzeźnik i piekarz we własnym interesie starają się jak najlepiej obsłużyć swoich klientów, podczas gdy nie widziano, aby coś dobrego osiągnęli ci, którzy mówią, iż handlują we wspólnym interesie.

Obaj Panowie wspomnieli o gospodarce chińskiej jako o systemie gospodarczym, w którym dokonujące się aktualnie przemiany pozwalałyby ewentualnie na użycie określenia „trzecia droga”. Mam w związku z tym dwa pytania. Po pierwsze, czy zachowanie władzy przez partię komunistyczną wystarcza, aby dokonującym się tam przemianom odmówić miana transformacji systemowej? Po drugie, czy gwałtownego wzrostu udziału sektora prywatnego, zarówno dzięki jego autonomicznemu wzrostowi jak i dzięki bezpośrednim inwestycjom zagranicznym, nie należy określić jako prywatyzacji oddolnej, a więc czy w ten sposób nie prywatyzuje się gospodarka chińska i czy jej urynkowienie nie ma wobec tego szansy na powodzenie? Innymi słowy, przemiany w Chinach można interpretować jako wyłanianie się systemu opartego na własności prywatnej i samokoordynacji rynkowej, acz z dużym sektorem publicznym i (pragmatycznymi) komunistami u władzy.

I jeszcze jedna sprawa: coraz częściej zadają sobie pytanie, czy w ogóle jest coś takiego, jak transformacja systemowa. Czy to, co obserwujemy, nie jest tak naprawdę powrotem gospoderek postkomunistycznych, po – żeby tak powiedzieć – zewnętrznym szoku systemowym, do „naturalnego” sposobu go-

spodarowania, opartego na własności prywatnej i samoregulacji rynkowej.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Nie lubię występować w roli adwokata diabła, tu jednak podsunąłbym pewną wątpliwość. System gospodarki radzieckiej, choć sztucznie zasilany z zewnątrz, jednak przetrwał 70 lat. Myślę, że miał pewne siły wewnętrzne, które pozwoliły mu przeżyć.

PIOTR JASIŃSKI SJ: Ale on upadł, czyli nie przeżył... Innymi słowy, chociaż oczywiście możemy się spierać o definicję, to moim zdaniem do istoty systemu (gospodarczego) należy również jego zdolność do samostabilizacji oraz autonomicznego rozwoju. Przeciwnie traktowaniu gospodarek typu radzieckiego jako odrębnego systemu gospodarczego przemawia nie tylko to, że eksperyment komunistyczny zakończył się, delikatnie mówiąc, niepowodzeniem, ale i to, że jego reformy stały się konieczne od samego początku i trwały nieprzerwanie, czego akurat gospodarka polska jest bardzo dobrym przykładem.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: System upadł, ponieważ te siły wewnętrzne przestały działać. Wszelkie analogie historyczno-gospodarcze są zawodne, ale istniały precedensy takiego typu gospodarowania. Myślę o Egipcie faraonów, o gospodarce wojennej, o różnych eksperymentach kolektywistycznych, z których jeden – notabene jezuicki – funkcjonował swego czasu w innych warunkach. Chodzi mi o system, który potrzebuje dużo wolnych zasobów i spożywa je dość ekstensywnie, żeby dawać ludziom poczucie bezpieczeństwa.

MIROŚŁAWA RYBAK: Ponieważ p. Roszkowski zakwestionował naturę samoregulacji gospodarki rynkowej, chcę przypomnieć, że od połowy lat siedemdziesiątych w wysoko rozwiniętych gospodarkach rynkowych dokonuje się zmiana sposobu produkcji. Miejsce powszechnie obowiązującego „fordowskiego paradygmatu przemysłowego” (scharakteryzował go Bob Jessop, wyróżniając cztery jego podstawowe poziomy: proces pracy,

reżim akumulacji, mechanizm regulacji i mechanizm socjalizacji) stopniowo zajmuje paradygmat nazywany postfordowskim. Postfordyzm jako proces pracy charakteryzuje elastyczna produkcja oparta na elastycznym parku maszynowym i takiej organizacji pracy. Jako reżim akumulacji cechuje go wzrastająca produktywność, wynikająca nie z korzyści skali produkcji, jak w przypadku fordyzmu, ale z korzyści szerokiego zakresu działalności gospodarczej, dlatego wzrost gospodarczy wynika z orientacji na rynek globalny. Jako mechanizm regulacji postfordyzm charakteryzują zmiany instytucjonalne: decentralizacja przetargu płacowego, odejście od hierarchicznej organizacji gospodarczej na rzecz płaskiej i elastycznej, deregulacja i globalizacja rynków finansowych, zróżnicowanie form kapitału handlowego, a także ograniczenie tych funkcji państwa, które odpowiadały Keynesowskiej teorii gospodarki sterowanej przez kształtowanie popytu, na rzecz sterowania gospodarką przez podaż. Wreszcie jako mechanizm socjalizacji postfordyzm ujawnia tendencję do osłabienia scentralizowanych, krajowych organizacji interesu na rzecz organizacji działającej w wymiarze określonych segmentów rynku pracy oraz w wymiarze międzynarodowym.

Z tej charakterystyki wynika, że współczesna gospodarka rynkowa nie jest już stricte liberalna. Zmienia się charakter konkurencji gospodarczej. Jest to konkurencja innowacyjna. W konsekwencji zmienia się dyskurs ekonomiczny i koncepcje ekonomiczne, a więc stopniowo dokonuje się przemiana racjonalności ekonomicznej. Jest tu miejsce na katolicką naukę społeczną.

JAN KOFMAN: Moim zdaniem ani fordyzm, ani postfordyzm nie są ścisłym ujęciem sposobu produkcji.

Co do wypowiedzi naszego „adwokata diabła”. System radziecki powstał, i przez pewien czas istniał, ale też niemal od razu zaczął gnić. Z kolei radykalna ocena Księdza sprowadza rzecz do jednego czynnika – do pewnego porządku naturalnego, (własność prywatna i samoregulacja rynku), który, wierzymy, jest naturalny. Można pytać, czy to, co Ksiądz uważa za naturalne, jest takie w istocie. Jeżeli istnieje wielość motywacji

prowadzenia działalności gospodarczej, a bez wątpienia tak jest, rodzi się wątpliwość co do słuszności tak kategorycznie sformułowanego stwierdzenia. Druga wątpliwość: mówienie, że świat jest z góry zaprogramowany, bo mamy gospodarkę kapitalistyczną, która odpowiada naturalnym skłonnościom i systemom wartości, grozi deterministycznym ujęciem rzeczywistości. Jako zwolennik umiarkowanego liberalizmu nie bardzo się z tym zgadzam.

PIOTR JASIŃSKI SJ: Myślę, że Państwo trochę za dużą wagę przypisali słowu „naturalny” lub też potraktowali je zbyt dosłownie. To, że coś jest „naturalne” można rozumieć deterministycznie, ale może to również oznaczać pewnego rodzaju naturalną selekcję, rodzaj niemalże darwinizmu społeczno-gospodarczego, który zresztą, pomijając oczywiste „dylematy więźnia”, wyjaśnia również sporo, jeśli chodzi o formy, jakie przybiera własność prywatna.

Problem, jaki mam z tym, co powiedziała p. Rybak, jest o wiele poważniejszy. Po pierwsze, mam wątpliwości w jakim stopniu – i czy w ogóle – sposoby zarządzania i organizacja produkcji mogą definiować system gospodarczy. Jeśli, jak to pozwoliłem sobie zasugerować, system taki konstituuje forma własności i sposób koordynacji, to chyba po prostu mówimy o różnych rzeczach.

Po drugie, dla mnie – ale z pewnością nie tylko dla mnie – najważniejszymi wydarzeniami końca lat siedemdziesiątych były reaganomics i thatcheryzm. Zatem, kiedy Pani mówi, że gospodarka rynkowa jest w coraz mniejszym stopniu liberalna, to ja się z taką diagnozą po prostu nie zgadzam, gdyż trendy, jakie obserwujemy, idą akurat w odwrotnym kierunku. Jeśli stopień liberalizmu jakiejś gospodarki mierzyć intensywnością i zakresem konkurencji – której to konkurencji jestem gorącym zwolennikiem – to ów stopień zdecydowanie rośnie, o czym świadczą nie tylko prywatyzacje przedsiębiorstw sieciowych, ale dyrektywy Komisji Europejskiej na temat dostępu trzecich stron (elektryczność, gaz, telekomunikacja) lub ostatni raport OECD dotyczący walki z bezrobociem. Nawet jeśli za wieloma prywatyzacjami stoją koniec końców deficyty budżetowe, to

optymizm wyrażający się przekonaniem, że państwo wie i może lepiej, należy z pewnością do przeszłości, co też jest świadectwem rosnącego liberalizmu.

MIROŚŁAWA RYBAK: Konkurencja, o której była mowa, to konkurencja zorganizowana. Rozwój postfordyzmu rozumianego jako przemysłowy wzorzec zróżnicowanej produkcji o wysokiej jakości wiąże się ściśle z kształtowaniem struktur zdolnych do narzucenia społecznych ograniczeń uczestnikom rynku. Tu jest miejsce na etykę gospodarczą.

Cieszę się, że p. Roszkowski docenił motywację. W nowym modelu gospodarki rynkowej, który się obecnie kształtuje, ważne jest wewnętrzne funkcjonowanie organizacji gospodarczych oraz ich rywalizacja i współdziałanie. Współcześnie przewaga konkurencyjna wynika nie tylko z posiadanych zasobów, ale w coraz większym stopniu ze zdolności pracowników do twórczego, innowacyjnego działania. Potrzebni są więc ludzie, a nie tylko zasoby. Nowoczesne podejście wymaga bowiem uwzględnienia mechanizmu uczenia się i zdobywania przez firmę nowych umiejętności i zdolności. Dlatego wprowadza się rozróżnienie zasobów i zdolności organizacji. Te zdolności wynikają z gromadzenia, przekazywania i wymiany informacji przez ludzi zdolnych do działania innowacyjnego. Podkreślanie znaczenia kapitału ludzkiego dla rozwoju przedsiębiorstwa zmienia podejście do kwestii stosunków przemysłowych. Dokonuje się segmentacja rynku pracy, co wymaga zmiany zatrudnienia z kontraktowego na statusowe i wysokiego stopnia identyfikacji pracownika z firmą. Niektóre rozwiązania japońskie, np. tzw. formy dożywotniego zatrudnienia, upowszechniają się teraz na Zachodzie właśnie ze względu na zmianę paradygmatów i warunków ekonomicznych.

PIOTR JASIŃSKI SJ: Pani wystąpienie ma zarówno charakter deskryptywny, jak i normatywny: gdzieś coś takiego zaczęło się dziać, Pani się to podoba, więc wszystko powinno być tak zorganizowane. Jeśli założymy, że to, co Pani przedstawia, istotnie jest dobrym rozwiązaniem – aczkolwiek moim zdaniem

zasługuje raczej na wielki znak zapytania – to pozostaje jeszcze pytanie, kto ma to wszystko wprowadzać. Państwo?

Social Charte Unii Europejskiej i to, co ona mówi o udziale pracowników z zarządzaniu „ich” firmą, jest bardzo dobrym przykładem tego rodzaju myślenia. Jeśli bowiem, jak się to wszystko uzasadnia, jest to takie dobre dla owych firm, to dlaczego je do tego zmuszać regulacjami prawnymi? Czyż gospodarka rynkowa nie jest zbudowana nie tylko na założeniu, że ludzie działają zgodnie z własnym interesem, ale zgodnie z istotnie liberalnym przekonaniem, że wiedzą oni, co jest z owym interesem zgodne? A udział w zarządzaniu najlepiej jest pozostawić jako prerogatywę własności kapitału, którego posiadania nikt przecież robotnikom nie zabrania.

Nawiasem mówiąc, tak pojęty liberalizm (gospodarczy) wydawał mi się zawsze najbardziej chrześcijański, jeśli oczywiście tego przymiotnika można w tym kontekście w ogóle użyć, i to z dwóch powodów: po pierwsze, uznaje on słabość człowieka, czyli wie, że jest mu potrzebny i kij, i marchewka; po drugie, ze względu na jego antropologiczny optymizm, wyrażający się m.in. wiarą w przedsiębiorczość itd.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Jednak liberalizm gospodarczy premiuje egoizm, a człowiek jest istotą społeczną.

JAN KOFMAN: Ksiądz tak prowokująco powiedział, że nie ma czegoś takiego, jak transformacja systemowa, a ja mówię, że jest. Liberalowie pomijają w swych wypowiedziach rolę, jaką odgrywa państwo; często udajemy, że taki czynnik, jak państwo, nie istnieje. Jeśli już – to tylko jako czynnik zakłócający funkcjonowanie gospodarki. Jednak przy wszystkich błędach możliwych do popełnienia to dziś państwo właśnie powinno inicjować przemiany systemowe i wpływać na ich kierunek. Nie do uniknięcia jest ani ogromna rola państwa, ani czynnika zewnętrznego, jak organizacji ponadnarodowych, np. Unii Europejskiej w procesie polskich przemian. Zresztą, wydaje się, że powrotu do czystego liberalizmu nie ma.

MIROSLAWA RYBAK: W chwili obecnej chodzi najbardziej o demokratyzację stosunków pracy, która ma na celu włączenie wiedzy i umiejętności, twórczej inteligencji i innowacyjności każdego pracownika w zespół umiejętności firmy. Znaczenie pracy każdego zatrudnionego tkwi w ludzkiej kreatywności, bo – jak mówił śp. ks. prof. J. Majka – dla jednego piasek jest wyłącznie przeszkodą w przekraczaniu drogi, a dla innego – surowcem do produkcji szkła. Dlatego praca tworzy bogactwo firmy i bogactwo narodu. Praca i inteligencja twórcza pracowników i obywateli. Jeżeli państwo prywatyzuje gospodarkę, ignorując konieczność personalizacji prywatyzowanych przedsiębiorstw, chcąc osiągnąć wzrost gospodarczy opierając się wyłącznie na „twardej indywidualności” i wilczej konkurencji, to my wszyscy na tym tracimy.

JAN KOFMAN: Tak, ale muszą temu też towarzyszyć zmiany świadomościowe. Co zrobimy z robotnikami hut: Warszawa, Katowice, Sędzimir? Ich załogi są potężnymi lobby. Robotnicy ci rozumują innymi kategoriami, niż Pani to ocenia. Mianowicie, kierują się oni skrajnym partykularyzmem (co zresztą można zrozumieć, bez względu na to, czy się aprobuje taką postawę, czy nie). Chodzi im przede wszystkim o utrzymanie parasola ochronnego nad wielkimi, nieważne że zacofanymi, przedsiębiorstwami państwowymi. Że to się odbywa wielkim kosztem innych grup zawodowych i społecznych? Ta prawda albo do nich nie dociera, albo nie chcą jej przyjąć do wiadomości. Zatem, i to jest problem – chyba podstawowy – transformacji, znaczna liczebnie część społeczeństwa nadal myśli kategoriami państwa opiekuńczego.

PIOTR JASIŃSKI SJ: Myślę, że tak naprawdę musimy pytać nie o rolę państwa, ale o rolę polityków i urzędników. W tym momencie państwo to nie jakiś odrębny byt, ale konkretni politycy sprawujący władzę i urzędnicy wprowadzający w życie ich decyzje.

Politycy wraz z ich aparatem biurokratycznym mają, rzecz oczywista, ograniczone „możliwości produkcyjne”, zatem powstaje pytanie, na czym powinni się oni skoncentrować, jakie

priorytety przyjąć. Z mojej – siłą rzeczy bardzo schematycznej – prezentacji tego, na czym polega transformacja systemowa, wynika, że powinni się oni skoncentrować przede wszystkim na sferze instytucjonalnej oraz reformie i uaktualnianiu systemu prawnego, a więc na reformie ubezpieczeń społecznych, systemu opieki zdrowotnej, szkolnictwa i na reprivatyzacji, nie na wprowadzaniu opłat wyrównawczych lub wymyślaniu polityki przemysłowej.

Jednym z najważniejszych problemów, a nawet dylematów transformacji systemowej jest to, że ostatecznie sprowadza się ona do samoograniczania się państwa. Dotyczy to zwłaszcza przekształceń własnościowych. Czymże bowiem jest własność państwowa? Przy całym usamorządowieniu gospodarki polskiej polega ona na tym, że część majątku narodowego oddaje się w zarządzanie politykom. Zatem politycy w procesie prywatyzacji, który z natury rzeczy ma charakter polityczny, niejako ograniczają swój własny wpływ na rzeczywistość i nie jest przy tym wcale takie oczywiste, że są oni w stanie dostrzec i przyjąć, że leży to w ich własnym interesie. A prywatyzację mamy potem taką, jaką mamy...

JAN KOFMAN: Mieliśmy kolejne zmiany rządu, mieliśmy różne naciski społeczne. Nie przypadkiem ostatnie (z maja – czerwca) wyniki badań ankietowych wskazują, że dziś zbiorowość twierdząca, iż przemiany polskie idą w dobrym kierunku, zmalała o połowę. Ta tendencja jest odzwierciedleniem nostalgii za przeszłością. Można by zatem powiedzieć, że chcemy mieć kapitalizm, ale żeby jego osiągnięcie nie było kosztowne. Żebyśmy się przy tym nie przepracowali, żebyśmy mieli pewność zatrudnienia, a jeszcze – dobrą płacę, niezłą rentę czy emeryturę.

Powtórzę: jeśli mówimy o rozwiązaniach systemowych, to należałoby się zgodzić, że rola państwa w Polsce w procesie transformacji powinna być inna niż obecnie, zdecydowanie proreformatorska. Państwo jednak jest czymś więcej niż tylko emanacją kilkuset polityków. Nie mieliśmy tradycji kapitalistycznego państwa prawa. To nie przypadek, że w Wielkopolsce inaczej się podchodzi do gospodarowania, mimo że tam wszys-

cy są katolikami, a nie protestantami. Tym ostatnim stwierdzeniem chcę nawiązać do pytania, którym Wojciech Roszkowski otworzył dyskusję...

MIROŚŁAWA RYBAK: Właśnie państwo i firma są uczestnikami życia gospodarczego, jego podmiotami. Książd mówi o ludziach, a ja mówię, że to są również instytucje. Państwo ma wymiar instytucjonalny i właśnie te instytucje tworzą m.in. prawo. Oczywiście można mówić, że w instytucjach działają ludzie i oni ponoszą odpowiedzialność. Warto jednak pamiętać, że rola państwa w kształtowaniu gospodarki nie ogranicza się do interwencjonizmu. Państwo jest twórcą prawa, a także tworzy warunki działania przedsiębiorstw, dopomina się o ich społeczną odpowiedzialność. Tworzy też politykę podatkową. Reasumując, struktury społeczne (instytucjonalnie) mogą być uporządkowane w sposób zachęcający lub zniechęcający ludzi do sprawiedliwego działania.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Chcę wrócić do tego, co Pani powiedziała o szansach na przebudowę w związku z obiektywnymi zmianami cywilizacyjnymi w systemach gospodarczych. Przyjmuję, że odejście od korzyści skali bardziej sprzyja innowacyjności niż jednorodna produkcja seryjna. Moje pytanie brzmi: Czy w gospodarce zachodniej ten sektor związany z innowacyjnością odgrywa już zasadniczą rolę? I drugie pytanie: Jak to wygląda w Polsce?

MIROŚŁAWA RYBAK: W odniesieniu do gospodarki zachodniej odpowiedź jest pozytywna. W Polsce natomiast ciągle jeszcze cenione są sektory gospodarki oraz zasady organizacji i zarządzania charakterystyczne dla wczesnej gospodarki kapitalistycznej.

JAN KOFMAN: Aż tak to nie! Naprawdę daleko nam do tego. Brak raczej konsekwencji, choćby w przeprowadzaniu prywatyzacji. Inna sprawa, że większość naszych liberałów odrzuca koncepcję tzw. paktów społecznych. Tymczasem w Polsce musi zaistnieć płaszczyzna porozumienia politycznego i społecznego

wokół kategorii, którą nazywam wrażliwością społeczną. To jest pole, które może łączyć przedstawicieli różnych kierunków ideowych, wyznań, agnostyków takich jak ja i ateistów...

MIROSLAWA RYBAK: Polska kultura wyrasta z katolicyzmu. Myślę, że nie jest dobrze, gdy księża mówią więcej o prywatyzacji niż o wolności pracy, przedsiębiorczości i uczestnictwie. Te trzy terminy wprowadzają w istotę nauczania Kościoła o gospodarce. Dzięki wolności pracy, przedsiębiorczości i uczestnictwu człowiek urzeczywistnia samego siebie, wchodząc w krąg ekonomicznej wymiany i produktywności o potencjalnie nieograniczonym wzroście. Powszechna świadomość tego ułatwiałaby osiąganie porozumienia pracodawców z pracownikami. Brak świadomości wspólnoty interesów jest podstawową przyczyną, z powodu której prywatyzacja w Polsce nie przyniosła oczekiwanych korzyści. Inną przyczyną jest nieetyczne zachowanie indywidualnych przedsiębiorców, czego przejawem jest m.in. unikanie płacenia podatków. Sektor prywatny stanowi już ponad 60%, a jego udział w finansowaniu potrzeb społecznych jest znikomy. Zmiany formy własności wymagają równoczesnej zmiany świadomości i rzeczywistego upodmiotowienia człowieka. Kościół jest po to, aby tę świadomość odpowiednio kształtować. Nawet Friedmann uznaje prawo i obowiązek Kościoła do kształtowania postaw i systemu wartości. Często też podkreśla, że gospodarka rynkowa jest gospodarką wymienną. Żeby mogła się prawidłowo rozwijać, wymiana musi być sprawiedliwa, a więc korzystna dla wszystkich uczestników życia gospodarczego. Mówiąc w tym gronie o prywatyzacji warto pamiętać, że Kościół mówi o prywatnym posiadaniu i społecznym użytkowaniu.

PIOTR JASIŃSKI SJ: Najpierw może słowo samoobrony: pozwalam sobie zabierać głos na temat prywatyzacji, ponieważ trochę się na niej znam i trochę o niej wiem. Z tego też chyba powodu zostałem zaproszony do udziału w tej dyskusji; sakrament kapłaństwa nie ma z tym nic wspólnego. Problem jednak jest o wiele poważniejszy. Być może jest tak dlatego, że mieszkam i pracuję za granicą, ale jak dotąd nie natrafiłem na żadną wy-

powieść episkopatu, która wyrażałaby poparcie dla kierunku przemian gospodarczych w Polsce i zawsze też wydawało mi się, że Jan Maria Rokita miał sporo racji w swoich krytycznych uwagach pod adresem Kościoła. A jeżeli brakuje ogólnego ustosunkowania się co do kierunku, mówienie o wartościach staje się pozbawione kontekstu.

Jeśli chodzi o pewne instytucjonalne próby zaradzenia tej sytuacji, to wprawdzie słyhać od czasu do czasu o próbach powoływania albo chrześcijańskich związków zawodowych, albo chrześcijańskich przedsiębiorców, ale jak się Państwo domyślicie, ja byłbym wobec tego rodzaju inicjatyw bardzo sceptyczny. Jeśli nie ma bowiem moralności specyficznie chrześcijańskiej, to na czym miałyby polegać takie organizacje? I znowu, koniec końców, problem leży bardzo głęboko, bo w pojmowaniu etyki i moralności. Jeśli bowiem zgodzimy się, że niezbywalnymi elementami są racjonalność i autonomia moralna, nie może to nie mieć wpływu na to, jakie znaczenie przypisujemy i jak odbieramy np. naukę społeczną Kościoła.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Myślę, że Ksiądz zbyt biernie zarysował rolę Kościoła. Kościół wprawdzie nie może do niczego zmuszać, ale jego funkcja nauczycielska obejmuje nauczanie, pokazywanie wzorów, zachęcanie.

MIROSLAWA RYBAK: Wydaje mi się, że znowu powstało tu jakieś nieporozumienie. Etyka to nie moralność, lecz nauka normatywna, która ma na celu ustalanie norm dla uczestników życia gospodarczego. Ludzie natomiast w swym zachowaniu oprócz norm muszą uwzględniać sytuację. Nie można o tym zapominać i mówić, że etyka nie ma prawa formułować wzorców normatywnych. Wtedy nie byłoby etyki.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Z naszej rozmowy wynika, że nie ma „trzeciej drogi” jako ściśle określonego modelu czy systemu gospodarczego. Zgadza się natomiast co do tego, że istnieją różne rozwiązania „trzeciodrogowe” poszczególnych problemów, choć każdy z nas widzi inne możliwości owych rozwiązań, np. jeśli chodzi o innowacyjność przez partycypację społeczną.

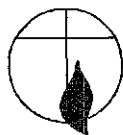
czną. Każdy z nas trochę inaczej rozumie kapitalizm, postrzegając w nim bądź szansę większej partycypacji społecznej, bądź podchodząc do niej z pewną dozą sceptycyzmu. Jest jednak kilka płaszczyzn, na których owa partycypacja może być pomocna. Jeśliby zmiany cywilizacyjne w naszej gospodarce postępowały tak, jak to się dzieje w niektórych gospodarkach zachodnich, otworzyłoby się pole społecznej partycypacji, która daje szansę formowania się nowej etyki jednostkowej w życiu gospodarczym. Faktem jest również, że oczekiwania tego rodzaju nie powinny zachęcać do przyspieszania w tworzeniu „trzeciodrogowych” rozwiązań. Wiemy, że takie utopie już były i wiemy, co się z nimi stało. Dzisiaj mamy w Polsce do czynienia z ogromnymi a przestarzałymi sektorami gospodarki, w której ujawnia się wyraźnie konflikt pracy i kapitału. Przez jakiś czas tak będzie i trzeba się liczyć z taką rzeczywistością. Trzeba na to patrzeć jak na dojrzewanie naturalnych warunków. Trudno tu reżyserować czy projektować, ale trzeba stwarzać warunki ewolucji czy przekształceń. Tworzenie warunków dokonuje się na różnych płaszczyznach. Rolą Kościoła jest tworzenie motywacji ideowej. Pozostaje stały dylemat: Jak wychowywać do wolności, do wolnego rynku, do uczestnictwa społecznego?

JAN KOFMAN: Na razie mamy ucieczkę od wolności. Nie jest to, niestety, jedynie czarna propaganda.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Wobec tego istnieje także niebezpieczeństwo ucieczki od odpowiedzialności, od partycypacji itd. Tu jest szczególne zadanie dla nas wszystkich, także uczestników tej dyskusji, reprezentujących różne opcje światopoglądowe. Myślę, że jest to także szczególne zadanie dla Kościoła.

Mówiliśmy o „trzeciej drodze”, ale jest jeszcze inny konkretny – mianowicie nasza droga do Europy. Jaka jest ta Europa? Czy ona jest „wilczo-kapitalistyczna”? Nie. „Trzeciodrogowa”? Nie. Czy jeszcze inna? Myślę, że „mieszana”. Problem nie w tym, żeby trafić w model szwedzki, niemiecki czy angielski. Model polski nie istnieje. Wychodzimy z ruin. Na naszej drodze ważne jest, żeby tworzenie i realizowanie polskiego modelu nie odby-

wało się bez związku z przemianami europejskimi. Nie chciałbym, żeby za kilka lat spotkało nas to, co uważam za najgorsze dla Polski i Polaków – sytuacja, kiedy Europa chce naszego uczestnictwa, w referendum zaś rozpisany w Polsce większość społeczeństwa opowiada się przeciwko przystąpieniu do Unii Europejskiej.



Aniela Dylus

Kapitalizm bez właścicieli?

Upowszechnienie prywatnego posiadania*

Od paru lat Polska, podobnie jak inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej, usiłuje budować struktury gospodarki rynkowej. W 1989 r. poniekąd niezależnie od naszych dążeń i oczekiwań weszliśmy w orbitę świata kapitalistycznego. W wielkiej konfrontacji systemowej nie tyle bowiem zwyciężył kapitalizm – on się tylko ostał¹. Złudzenia o istnieniu jakiejś „trzeciej drogi” już dawno zostały rozwiane. Po krótkim okresie entuzjazmu społeczeństwo boleśnie doświadcza prawdziwości zapowiedzi o ciernistej drodze powrotu do kapitalizmu. Stopniowo w miejsce naiwnej apoteozy kapitalizmu jako takiego pojawia się pytanie: Jaki kapitalizm?

Obraz świata kapitalistycznego widziany zza żelaznej kurtyny okazuje się dziś nieprawdziwie jednolity, uproszczony i znacznie upiękuszony. Zbliżenie odsłania natomiast wielość modeli, odmian, faz rozwojowych, a także – ciemnych stron. Uczymy się odróżniać kapitalizm pierwotny i rozwinięty, indywidualistyczny i grupowy, wolnokonkurencyjny i monopolistyczny, bankowy (nazywany też kapitalizmem mrówek) i finansowy („kapitalizm koników polnych”), anglosaski (jego najnowszą

* Referat wygłoszony na sympozjum *Upowszechnienie własności*, zorganizowanym w Warszawie (20-21 V 1994) przez Instytut Społecznej Gospodarki Rynkowej, kierunek Politologii i Nauk Społecznych ATK i Fundację Konrada Adenauera.

¹ Tę sytuację trafnie oddał napis techniką graffiti na murze jednego z domów w Lipsku: „Der Kapitalismus hat nicht gesiegt, er ist nur übriggeblieben”.

odmianą jest noeamerykanizm) i nadreński. Jeszcze inny jest kapitalizm japoński oraz „azjatyckich tygrysów”. Biorąc pod uwagę rolę państwa w gospodarce odkrywamy kapitalizm skrajnie liberalistyczny oraz interwencjonistyczny. Niekiedy zaś poszczególne odmiany kapitalizmu opatrujemy określeniami wartościującymi: dziki, drapieżny, spekulacyjny „kapitalizm kasyna”, albo – społecznie oswojony, o ludzkim obliczu itp.²

Niezależnie od tych odmian podstawą funkcjonowania kapitalizmu jest powiązanie pracy i kapitału w procesie gospodarowania oraz zasada prywatnej własności środków produkcji. Na początku kapitalistycznej drogi prywatny kapitał oraz praca były jasno określone i rozgraniczone. Po jednej stronie znajdowali się właściciele kapitału organizujący i finansujący przedsięwzięcia gospodarcze, po drugiej zaś – pozbawieni własności pracownicy najemni sprzedający swą pracę. Wskutek narastających dysproporcji i konfliktów „klasowych” obie strony obwarowały się na przeciwnych pozycjach i odgraniczyły barykadami.

Nie trzeba tu przypominać całej historii tzw. kwestii robotniczej ani też prób jej łagodzenia. Ważne jest natomiast, aby uświadomić sobie, że zarówno w okresie istnienia „wołających o pomstę do nieba” niesprawiedliwości, jak i w trakcie realizacji zapoczątkowanych jeszcze przez Bismarcka rządowych programów polityki społecznej, kontynuowanych następnie we współczesnych „społeczeństwach dobrobytu”, można wyróżnić „świat pracy” i „świat kapitału”. Apostołowie korporacjonistycznej idei „stowarzyszeń stanowo-zawodowych”, związki zawodowe domagające się współstanowienia pracowników w przedsiębiorstwie z tytułu wkładu ich pracy (Mitbestimmung), Jan Paweł II wzywający w „*Laborum exercens*” do przezwyciężania antynomii pracy

² Właśnie takie odmiany kapitalizmu wyróżnia np. M. Albert. Por. *Kapitalizm kontra kapitalizm*, Kraków 1994.

i kapitału (nr 13) oraz do budowy nowych frontów solidarności ludzi pracy i z ludźmi pracy (nr 8) – nawiązują do takiego właśnie stanu rzeczy. Mówią w imieniu pewnego kręgu osób i mogą się odwołać do określonych adresatów. Zakładają, że nie tylko pracownik, ale i właściciel kapitału ma określone oblicze. Na przykład jako pracodawca bezpośredni może być paternalistyczny lub bezwzględnie egoistyczny, może budować mniej lub bardziej sprawiedliwe struktury kapitalistyczne (tzw. pracodawcy pośredniego – por. LE 17), ale zawsze jest określonym podmiotem: właścicielem indywidualnym lub zbiorowym.

Natomiast ewolucja kapitalistycznych form własnościowych i pojawienie się tzw. kapitału anonimowego, a jednocześnie podejmowane z motywów społeczno-politycznych lub moralno-chrześcijańskich próby upowszechnienia własności środków produkcji – coraz bardziej utrudniają identyfikację właścicieli. Żróźnicowane struktury formalno-prawne poszczególnych jednostek gospodarczych przewidują różnokierunkowy rozdział uprawnień własnościowych między odrębne podmioty.

Akcjonariusze mogą swobodnie lub w sposób ograniczony przepisami emisyjnymi dysponować idealnymi fragmentami kapitału spółek, nabywając i sprzedając akcje na rynku kapitałowym. Teoretycznie mają pewien minimalny wpływ na zarządzanie firmą. Praktycznie jednak drobni akcjonariusze, posiadający niewielki ułamek kapitału spółki, rzadko korzystają z tego uprawnienia. Tym bardziej że zazwyczaj mają udziały w różnych spółkach akcyjnych. Własność akcji i obligacji upodabnia się raczej do własności pożyczki, za którą otrzymuje się procent w formie dywidendy. Trudno natomiast wtedy mówić o jakiejś partycypacji we własności produkcyjnej. Akcjonariusze zainteresowani wysokością dywidendy oraz wzrostem wartości akcji niewiele przejmują się firmą, w którą zainwestowali. Nie są z nią w żaden sposób związani. Kierują się w stronę spółki, która natychmiast gwarantuje maksymalną efektywność.

Niewierność jest tu synonimem racjonalności. Dotyczy to również inwestorów instytucjonalnych, np. towarzystw ubezpieczeniowych czy funduszy emerytalnych³.

Posiadanie kapitału tylko w pewnej mierze jest też tytułem uprawnień Rady Nadzorczej do zarządzania firmą. Wynajęty zaś przez nią menedżer oraz kierownictwo, zupełnie niezależnie od posiadania formalnych tytułów własności, realizują pewne uprawnienia własnościowe: organizują działalność gospodarczą, kierują, ponoszą część ryzyka i odpowiedzialności. W tej sytuacji można zasadnie pytać o podmioty prywatnej własności środków produkcji i o jej istotę.

Czy podmiotami są akcjonariusze lokujący w akcjach swe oszczędności? A może raczej na miano podmiotów bardziej zasługują ci, którzy znajdują się bliżej kapitału realnego: współzarządzający firmą członkowie Rad Nadzorczych, menedżerowie, dyrekcja, załoga? Co zatem jest istotniejsze dla bycia właścicielem: posiadanie jakiegoś tytułu własności, czasem jedynie idealnego – w postaci akcji czy obligacji? podejmowanie decyzji co do sposobu wykorzystania majątku? zarządzanie i organizowanie współdziałania kapitału i pracy? rzeczywiste dysponowanie – choćby nawet cudzymi, np. wydzierżawionymi – środkami? A może komplementarne wobec prawnych tytułów własności są względy społeczno-etyczne? Na miano właściciela zasługiwałby jedynie ten, kto na serio traktuje społeczną hipotekę ciążącą na własności, a prywatne posiadanie harmonijnie i odpowiedzialnie łączy z zasadą powszechnego użytkowania. Przyjęcie takiego społeczno-etycznego kryterium w znacznym stopniu ograniczyłoby krąg właścicieli.

W każdym razie współczesne formy kapitałowe i struktury własnościowe wymagają nowego przemyślenia aktualnych przez wieki, personalistycznych argumentów na rzecz prywatnej własności środków produkcji.

³Por. tamże, s. 85-87.

Czy dziś, kiedy duża część społeczeństwa, choć z odmiennych tytułów, z różną intensywnością i w różny sposób uczestniczy w prerogatywach własnościowych, zbliżamy się do społeczeństwa quasi-właścicieli? Czy też efektem rozproszenia własności, a zwłaszcza upadku instytucji stałych akcjonariuszy i możliwości dowolnego manipulowania firmą, nie jest raczej kapitalizm bez właścicieli?⁴

Czy przedmiotem zabiegów polityków, działaczy, reformatorów społecznych, przedstawicieli Kościołów jest takie rozproszenie własności, że w końcu rozplywa się jej podmiot? Czy celem jest takie upowszechnienie prywatnego posiadania, że właściwie przestaje się już posiadać? Prerogatywy własnościowe: dysponowanie, odpowiedzialne zarządzanie, użytkowanie – albo zupełnie wówczas oddzielają się od posiadającego, albo stają się całkiem symboliczne.

Wymagana przez giełdę, a daleka od racjonalności ekonomicznej i społecznej strategia maksymalizowania w przedsiębiorstwie zysku krótkoterminowego, zanik poczucia odpowiedzialności za społecznie użyteczne zastosowanie kapitału, zjawiska spekulacyjne i korupcyjne skłaniają do ponownego przemyślenia podstawowego principium chrześcijańskiej nauki o własności – że ma ona być prywatna w posiadaniu i społecznie odpowiedzialna w użytkowaniu. Wobec wynaturzeń własności rozproszonej byłibyśmy skłonni przyznać, że im wyraźniej – od strony podmiotowej – rysuje się prywatny charakter posiadania własności, tym większe są szanse na jej właściwe społeczne użytkowanie. Być może odpowiedzialne użycie własności dla dobra społeczności możliwe jest jedynie przy ograniczonej liczbie właścicieli – takiej, która nie grozi zatarciem podmiotowego charakteru prywatnego posiadania. Upowszechnienie majątku w społeczeństwie przemysłowym prawdopodob-

⁴ Por. tamże, s. 88-89.

nie ma jakiś punkt nasycenia; gdy się go przekroczy, zabieg ten nie gwarantuje już wyraźnego uczestnictwa w posiadaniu, a tym samym utrudnia lub uniemożliwia realizację „społecznej hipoteki” własności.

Podniesione tu zastrzeżenia wobec idei upowszechnienia własności nie mogą jednak być rozpatrywane in abstracto. Niedopuszczalne jest czysto teoretyczne, niemal matematyczne stawianie problemu: powyżej ilu właścicieli majątek produkcyjny traci swój podmiotowy charakter? Wszelkie rozważania tej kwestii należy odnosić do konkretnej formy własności środków produkcji, adekwatnej wobec określonej sytuacji historycznej, gospodarczej i społecznej. Sygnalizowane trudności identyfikacji właścicieli dotyczą przede wszystkim instytucji tzw. akcjonariatu powszechnego. Skądinąd zresztą trudno wyobrazić sobie sprawne funkcjonowanie gospodarki rynkowej bez zbudowania rynku kapitałowego. Ta instytucja własnościowa musi znaleźć swe właściwe miejsce również w procesie prywatyzacji w Polsce. Upowszechnienie własności niekoniecznie jednak musi się dokonywać wyłącznie tą drogą. W pluralizmie form własnościowych kapitałowe spółki akcyjne są jedną z wielu form.

W nauczaniu społecznym Kościoła oraz w tradycji katolicyzmu społecznego od dawna preferuje się takie formy własności, w jakich następuje bezkolizyjne połączenie pracy i kapitału w jednym podmiocie, gospodarowanie zaś może ponadto zachować charakter rodzinny. Chodzi tu o indywidualne gospodarstwa chłopskie, o drobną i średnią własność w handlu, rzemiośle, przemyśle. Czy należy u nas popierać rozwój tych form własnościowych? Czy przez ich upowszechnienie zbliżymy się do „społeczeństwa właścicieli”? Czy niewielkie jednostki gospodarcze mają dziś szansę na przetrwanie ekonomiczne i akceptację społeczną?

Niewątpliwie rolnicy, kupcy, rzemieślnicy, drobni producenci są w pełni podmiotami gospodarującymi. Do dziś zachowali osobowy stosunek do swych narzędzi,

maszyn, ziemi. Należy przy tym zakładać, że rozstrzygający w tym względzie jest jasno określony status właściciela. Przemawiałyby za tym liczne przypadki niegospodarności „najemników”, rabunkowej gospodarki dzierżawionymi gruntami rolnymi, leśnymi czy zbiornikami wodnymi. Wszelkim nadużyciom sprzyjają też nieokreślone lub niestabilne stosunki własnościowe. Przeświadczenie o „porządkującej” funkcji posiadania własności musi jednak zostać nieco zrelatywizowane. Przecież czeladnik w warsztacie rzemieślniczym czy pracownik drobnego zakładu wytwórczego miewa równie troskliwy stosunek do narzędzi, którymi się posługuje, jak ich właściciele. O osobowym, odpowiedzialnym stosunku do środków produkcji i całego procesu gospodarowania przesądzają, oprócz prywatnego posiadania, jeszcze inne czynniki. Może to być np. ogólna kultura gospodarza, możliwość współokreślania charakteru wytworu, bezpośredniego dysponowania warsztatem pracy, osobisty kontakt z właścicielem itp. Prawdopodobnie możliwość uczestnictwa w prerogatywach własnościowych jest tym większa, im mniejsza jest skala gospodarowania i bardziej przejrzysta jej organizacja. Wydaje się jednak, że o przetrwaniu, umocnieniu, względnie upowszechnieniu drobnej i średniej własności zadecyduje dziś nie jej personalistyczny charakter, ale realia ekonomiczne i społeczne, w tym przede wszystkim istnienie właścicieli, którzy będą w stanie sprostać nowym wyzwaniom.

Właśnie owe realia głównie wyznaczają stosunek do idei upowszechnienia własności w polskim rolnictwie. Przecież kiedy 25% ludności czynnej zawodowo pracuje na roli, przy jednoczesnej zdecydowanej dominacji gospodarstw indywidualnych, można przyjąć, że jest ona w Polsce dużo pełniej zrealizowana niż w rozwiniętych gospodarkach rynkowych, gdzie z rolnictwa utrzymuje się kilka procent zatrudnionych (np. w USA – 3%). Czy wobec tego nie należałoby raczej preferować u nas procesów komasacji ziemi i w ogóle koncentracji własności, zwłaszcza że przeciętna wielkość gospodarstw waha się

od 5 do 6 ha, większość z nich zaś składa się z rozdrobnionych kawałków ziemi? Mimo iż polskie rolnictwo zasadniczo oparło się zakusom kolektywizacji, w socjalistycznym otoczeniu nie mogło funkcjonować na zasadach w pełni rynkowych. W dużej mierze spadkiem po minionym okresie jest wysoka średnia wieku właścicieli (60 lat), niskie wykształcenie, brak pozytywnej selekcji producentów, zapóźnienie technologiczne, nieracjonalne nawyki gospodarowania, zaniedbania w zakresie infrastruktury, a w rezultacie – mała efektywność. Przetwarzanie instytucji własności prywatnej jest tu wprowadzanie bezcennym kapitałem, ale nie chroni przed trudnościami przystosowania się do reguł konkurencji. Oznacza to spadek dochodów rolniczych, niezadowolenie i wręcz rozgoryczenie kilku milionów mieszkańców wsi. Widać z tego, że rozproszona własność produkcyjna nie jest panaceum na wszystkie trudności gospodarcze. Przeciwnie, wydaje się, że jednym z warunków uzdrowienia sytuacji jest koncentracja własności. Zresztą małe i nierentowne gospodarstwa chłopskie rzeczywiście zanikają, średnie – zainteresowane zbytem swych produktów – zmieniają profil produkcji⁵. Podtrzymywanie nieracjonalnej struktury własnościowej oznaczałoby natomiast dalsze interwencjonistyczne preferencje dla rolnictwa. Szeroki strumień dotacji jest zaś zabójczy dla całej gospodarki. Nie znaczy to, że należy zupełnie zrezygnować z pomocy dla rolnictwa, pozostawiając rolników samym sobie. Tak zwana polityka rolna nie może jednak wyczerpywać się w subwencjach.

Na upowszechnienie czeka natomiast własność PGR-owska. Jej potencjalnych właścicieli, przynajmniej w najbliższej przyszłości, nie należy jednak szukać wśród byłych pracowników rolnych. Wydaje się, że główną barierą wcale nie jest zubożenie tej grupy, ale jej

⁵ Por. J. Beksiak, *Na prawo od Balcerowicza*, z (...) rozm. W. Bereś i K. Burnetko, „Tygodnik Powszechny” nr 18/1994.

niezdolność do samodzielnego gospodarowania. Wąsko wyspecjalizowany pracownik najemny nie jest w stanie w krótkim czasie przekształcić się w przedsiębiorczego gospodarza. Brakuje mu odpowiedniego wykształcenia, umiejętności, nawyków produkcyjnych, predyspozycji mentalnych. Zasili raczej liczną już, 3-milionową rzeszę bezrobotnych. Wprawdzie utrata podstaw egzystencji niekiedy wręcz wymusza samodzielne, przedsiębiorcze zachowania, ale zwykle „akumulacja” kapitału ludzkiego jest długim procesem. Tymczasem również na tym odcinku nie da się odbudować kapitalizmu bez właścicieli. Wobec ich deficytu trudno więc tu liczyć na upowszechnienie własności.

Handel jest tą dziedziną, w której spontaniczny proces prywatyzacji następuje najszybciej. Jeszcze w okresie socjalizmu drobny „handelek” był źródłem szybkiego bogacenia się. Właśnie tam najłatwiej znajdowano nisze rozsadzające centralizm gospodarczy. Polscy tzw. turyści byli utrapieniem zachodnich targowisk. Niewiele tu potrzeba kapitału, ale za to trochę inicjatywy, ryzyka i dużo sprytu. Dziś targowiska i giełdy towarowe wypełnia kłębiący się tłum. Żywiłowa działalność na granicy legalności lub poniżej niej kwitnie prawie wszędzie. Jarmarcznym handlarzom daleko jeszcze do klasy średniej. Są mobilni, szukają natychmiastowych zysków, nie przejmują się swymi klientami ani regułami uczciwej konkurencji, niewiele inwestują. Mimo to wydaje się, że właśnie wśród nich należy szukać przyszłych statecznych handlowców. Pod warunkiem że ich działalność zostanie uregulowana sensownymi regułami prawnymi, które wyegzekwuje sprawna administracja państwowa, coraz bardziej zaś wymagający konsumenci wymuszą ucywilizowanie usług handlowych. Aby bowiem dokonała się metamorfoza beztroskich „koników polnych” w odpowiedzialnych właścicieli, niezbędne jest istnienie takiego środowiska prawnego i społecznego, w którym wkład na rzecz dobra wspólnego będzie oznaczał działanie w interesie własnym.

Przed zupełnie odmiennymi problemami stoi dziś polskie rzemiosło i drobna wytwórczość. Dawniej właściciel „zakładu świadczącego usługi dla ludności” musiał się obawiać nie konkurencji, ale paraliżującej maszyny ideologiczno-biurokratycznej. Radził sobie opierając się na powiązaniach będących wypadkową układów i korupcji⁶. Dziś, przy niestabilnych regułach, musi dodatkowo walczyć o swój rynkowy byt. Z ostrej walki konkurencyjnej zwycięsko wychodzą nie tyle najlepsi rzemieślnicy i producenci, ile najbardziej bezwzględni. Dobrze, że tzw. likwidacyjna droga prywatyzacji teoretycznie stworzyła szansę zwiększenia liczby drobnych producentów. Pełniejsze wykorzystanie tej szansy, przetrwanie i stabilizacja rynkowa nowych drobnych producentów zależy przede wszystkim od porzucenia dawnych nawyków i krystalizacji ich oblicza właścicieli. Trwały sukces zapewni im nie sprytne wykorzystywanie starych układów i tworzenie nowych, lecz rynkowa przedsiębiorczość i wysiłek innowacyjny.

Ideę upowszechnienia własności najczęściej jednak odnosi się do wielkich jednostek gospodarczych. W funkcjonujących już gospodarkach rynkowych wysuwają ją kręgi zatroskane „skandaliczną” tendencją do koncentracji własności produkcyjnej⁷. Odwołują się przy tym do principów społeczno-etycznych. Oprócz przedstawiania argumentów ekonomicznych, pragmatycznych, sięgają po najgłębsze racje uzasadniające konieczność rozproszenia własności produkcyjnej. Jedynie partycypacja we własności ma gwarantować trwałą de-

⁶ Por. tamże.

⁷ Dosadne określenie przez Paula Jostocka „skandalem” jednostronnej koncentracji majątku produkcyjnego cytują m.in. A. Rauscher i W. Dreier. Por. A. Rauscher, *Die Bedeutung breit gestreuten Produktivvermögens für den Menschen und für die Industriegesellschaft*, w: *Beteiligung am Produktiveigentum* pr. zbior., Hannover – Bonn 1993, s. 61; W. Dreier, *Investivlohn*, w: *Katholisches Soziallexikon*, pr. zbior. pod red. A. Klöße, W. Mantl, V. Zsifkovits, Innsbruck – Wien – München, Graz – Wien – Köln 1980, s. 1233.

proletaryzację, podmiotową suwerenność, właściwą pozycję jednostki w społeczeństwie. Kiedy w tworzeniu produktu globalnego coraz większą rolę odgrywa kapitał, koncentracja własności oznacza odsunięcie szerokich kręgów od odpowiedzialności za dobro wspólne i zachwianie przez to wewnętrznej stabilności społeczeństwa. Zagrożone są też struktury demokratycznego państwa, jeśli nie opierają się na „demokracji właścicieli”.

W społeczeństwach dobrobytu wszystkie te argumenty same w sobie słuszne, nie zdołały pozyskać zbyt wielu entuzjastów na rzecz upowszechnienia własności. Adresaci tej idei, zadowoleni z wysokiego standardu życia, nie palą się do przyjmowania statusu właścicieli. Już dawno przestali być proletariuszami. Rozbudowany system ubezpieczeń gwarantuje im bezpieczeństwo socjalne, a dostęp do wykształcenia i doskonalenia umiejętności zawodowych otwiera drogi awansu. Jeśli zaś mają ambicje współstanowienia w sprawach dotyczących rodzimego zakładu pracy i przedsiębiorstwa – to mogą je zrealizować jako pracownicy. Właśnie na walce o wysokie płace, kompleksowe świadczenia socjalne, możliwość współudziału w zarządzaniu (Mitbestimmung) skoncentrowały swą uwagę związki zawodowe. Wezwania do kształtowania sprawiedliwszej struktury własności zdawały się mrzonkami pieknoduchów.

Mimo to idea upowszechnienia własności nie została zupełnie zapomniana. Ciekawe, że odżywa ona w okresach kryzysów i trudności gospodarczych. Nieprzypadkowo opracowany przez Louisa Kelso w połowie lat pięćdziesiątych Plan Pracowniczej Własności Akcji ESOP (Employ Stock Ownership Plan) zyskał oddźwięk w kręgach przemysłowych USA dopiero w latach osiemdziesiątych. W związku z krótkowzroczną, roszczeniową polityką płacową silnych związków zawodowych oraz konkurencją tanich towarów japońskich wiele państwowych przedsiębiorstw przemysłu ciężkiego, a zwłaszcza hutniczego, stanęło na krawędzi bankructwa. Groźba bezrobocia i krachu finansowego zmobilizowała wszyst-

kich zainteresowanych: pracowników, związki zawodowe, kręgi menedżerskie, polityczne, administrację lokalną – do postawienia na alternatywne rozwiązania. Własność pracownicza stała się przedmiotem programu rządowego prezydenta Reagana. Efekty ESOP-owskiej metody reprivatyzacji upaństwowionych przedsiębiorstw są zachęcające. Dziś 13% pracujących Amerykanów jest współwłaścicielami lub właścicielami firm, w których pracuje⁸. Uratowało to egzystencję wielu z nich, a ich kondycja rynkowa wyraźnie się poprawiła.

Podobnie było w Niemczech. Wyraźne ożywienie zainteresowania koncepcją udziału pracowników w majątku produkcyjnym notuje się dopiero ostatnio, w kontekście trudności związanych z przebudową gospodarki byłej NRD. Współwłasność pracownicza, do której dochodzi się dzięki „płacy inwestycyjnej”, wygląda obiecująco. Czyniąc zadość żądaniom płacowym, a więc miarkując społeczne niezadowolenie, gromadzi się jednocześnie tak bardzo poszukiwany kapitał. Oprócz pożądanej zmiany struktury własności, nadziei na silniejsze związanie pracownika z zakładem pracy i poprawę stosunków międzyludzkich, na dłuższą metę można liczyć na poprawę koniunktury i ograniczenie bezrobocia.

Niewątpliwy sukces realizacji akcjonariatu pracowniczego metodą ESOP-u oraz obiecujący projekt „płacy inwestycyjnej” winny nas skłaniać do namysłu nad możliwościami ich adaptacji w Polsce. O gwałtownej potrzebie takiego namysłu chyba nie trzeba nikogo przekonywać. Proces prywatyzacji postępuje zbyt wolno, a w dodatku napotyka coraz większy opór społeczny. „Okres przejściowy”, tym razem dochodzenia do gospodarki rynkowej, z charakterystycznym brakiem stabiliza-

⁸ Stanowi to 25% pracowników wielkich i średnich firm. Por. S. Bratkowski, *Rozmowy o własności (2). Jak konkurować z Japończykami*, „Gość Niedzielny” nr 13/1994. Por. też K. Ludwiniak, *Własność pracownicza w USA*, w: *Pracownik właścicielem*, pr. zbior., Lublin – Paryż 1989, s. 71 nn.

cji, znów niepokojąco się wydłuża. Co więcej, już niedługo zostaniemy skonfrontowani z jeszcze poważniejszymi niż dotąd problemami ekonomicznymi i społecznymi. Przecież nie można mieć złudzeń co do kondycji gospodarczej wielkoprzemysłowych kolosów państwowych. Dotacje budżetowe są tylko półśrodkami sztucznie wydłużającymi ich agonię. Strukturalne bezrobocie regionu wałbrzyskiego jest próbką pokazującą skalę przyszłych problemów. Zagrożone jest wręcz istnienie całych dawniej „socjalistycznych” miast. Związki zawodowe dość schematycznie bronią rozpaczonych pracowników. Domagają się podwyżek płac, sprzeciwiają się redukcjom zatrudnienia oraz niektórym rządowym projektom przemian strukturalnych (np. ostatnio – grupowaniu kopalń węgla brunatnego w holdingi). Nie wypracowały natomiast żadnej konstruktywnej, perspektywicznej koncepcji restrukturyzacji gospodarki. Opowiadają się oczywiście za *takim systemem społecznym i ekonomicznym, w którym pracownicy będą mieć wpływ na decyzje ich dotyczące* – jak to ogólnie sformułował przewodniczący NSZZ „Solidarność”. Walczyły o dopuszczenie na zasadach preferencyjnych załóg do prywatyzacji swoich zakładów. Upowszechnienie akcjonariatu pracowniczego napotyka jednak barierę finansową. Pracownicy na ogół nie mają środków na bezpośredni wykup akcji, nawet jeśli mogą je nabyć po cenach niższych niż rynkowe.

Program ESOP-u oraz projekt „płacy inwestycyjnej”, każdy na swój sposób, omijają tę barierę, nie będąc jednocześnie bezzwrotnym podarunkiem. Technika finansowa ESOP-u polega na kredytowaniu przez banki pracowniczych udziałów w danej firmie i odzyskiwaniu należności z jej późniejszych zysków. Natomiast ciężar tworzenia pracowniczego majątku za pomocą „płacy inwestycyjnej” spada i na pracodawców, i na pracowników. Pierwsi muszą zrezygnować z pewnej kwoty zysku, drudzy – z części wzrostu płac.

Zródeł atrakcyjności obu projektów szuka się zwykle w rozwiązywaniu kwestii finansowania upowszechnionej

własności. Owszem, uporanie się z finansami jest warunkiem koniecznym sukcesu, ale bynajmniej nie wystarczającym. Nawet rozdawanie udziałów własnościowych – jak to nam zresztą zalecał Milton Friedman (akcentując konieczność maksymalnego przyspieszenia prywatyzacji) – nie przemieni automatycznie proletariatu w właścicieli.

Nie twierdzę, że jest to w ogóle niemożliwe i że w związku z tym nie ma w Polsce szans na sukces akcjonariatu pracowniczego. Dla niektórych gałęzi produkcji może to być wręcz warunek przetrwania. Louis Kelso w czasie swego pobytu w Polsce w 1990 r. dowodził: *Nie uratujecie swojego hutnictwa, skredytujcie je pracownikom, tylko oni potrafią coś z tym zrobić*⁹. Kluczem do sukcesu są więc pracownicy-właściciele: ich chęci, starania, pomysły, aby sensownie „coś z tym zrobić”. Chodzi o związanie interesów pracowników z interesami firmy. Zresztą w całym programie prywatyzacji winno chodzić głównie o to, aby zakłady miały wreszcie właścicieli z prawdziwego zdarzenia¹⁰.

Deficyt tej kategorii podmiotów gospodarki rynkowej oraz waga predyspozycji własnościowych wymagają, aby się na tym skoncentrować przy promowaniu różnych form i technik upowszechniania własności produkcyjnej. Nikt nie staje się automatycznie gospodarnym, odpowiedzialnym właścicielem w momencie nabycia akcji. Zapominają o tym niekiedy bezkrytyczni zwolennicy akcjonariatu pracowniczego, kreując zbyt szybko z posiadaczy akcji gotowych do ryzyka gospodarzy, identyfikujących się ze swą firmą, zainteresowanych jej pozycją i silnie z nią związanych. W dodatku tacy idealni właściciele w roli pracowników byłiby zdolni do mobilizacji rezerw twórczych oraz wykazywaliby silną motywację do pracy.

⁹ Cyt. za: S. Bratkowski, *Rozmowy o własności (4)*. *Weirton ratuje się samo*, „Gość Niedzielny” nr 17/1994.

¹⁰ Por. J. Beksiak, rozm. cyt.

Być może długofalowo poczucie, że pracuje się „na swoim” rzeczywiście przynosi tak wspaniałe efekty. Jednak chęć pracy „na swoim” i predyspozycje gospodarskie na dziś pozostają dobrem rzadkim. I to nie tylko tam, gdzie można to wytłumaczyć ubezwłasnowalniającą, komunistyczną przeszłością. Konieczność długofalowej, intensywnej informacji i edukacji pracowników, a przede wszystkim pobudzenia ich osobistego zainteresowania udziałem w majątku produkcyjnym przewidują wszystkie konkretne programy pracowniczej współwłasności¹¹. To zaś wymaga stworzenia dla tej idei sprzyjającego klimatu społecznego, a więc zainteresowania opinii publicznej, związków zawodowych, władz lokalnych, mass mediów, Kościoła¹².

Sprawa niewątpliwie jest ważna. Kapitalizm musi mieć właścicieli. Inaczej wynaturzy się. Warto więc zabiegać jedynie o takie upowszechnienie prywatnego posiadania, jakiemu towarzyszy świadoma i odpowiedzialna partycypacja nowych właścicieli w prerogatywach i obowiązkach własnościowych.

¹¹ Por. N. Kurland, *Praktyczne wskazówki ułatwiające budowę sprawiedliwego miejsca pracy*, w: *Pracownik właścicielem*, dz. cyt., s. 147; A. Rauscher, cyt., s. 77.

¹² I tak np. spektakularny sukces skazanej na zagładę amerykańskiej huty National Steel w Weirton (Zachodnia Wirginia) poprzedziła wielka akcja informacyjna w środowisku pracowników. Oto jak relacjonuje jej przebieg S. Bratkowski: „Powoływano do życia różne wydawnictwa, by każdy pojedynczy robotnik był w pełni poinformowany o procesie formowania ESOP-u. Wysyłano mówców do każdej części miasta, by tłumaczyli zasady i możliwości programu. Wszędzie pojawiły się afisze z napisami »POTRAFI-MY TO ZROBIĆ« i »URATUJEMY WEIRTON«. (...) Nic nie działało się samo przez się. Przyszłych właścicieli szczegółowo o wszystkim informowano. Omawiano każdy krok. Analizowano każdą szansę. Wszyscy uczyli się ESOP-u, jego zasad i funkcjonowania. Tydzień w tydzień pracownicy, liderzy związkowi i menedżerowie spotykali się na roboczo. (...) Hutników wsparło miasto. Na wszystkich ulicach zawisły afisze, cały plan popularyzowały najrozmaitsze imprezy. (...) Transparenty głosiły: »Wspólna praca daje wyniki«. (...) Wcale nie brakowało też takich, co nie rozumieli i nie chcieli rozumieć”. (*Rozmowy o własności* [4]. *Weirton ratuje się samo*, art. cyt.).

Maria J. Welfens

Transformacja systemu a polityka ochrony środowiska

Problemy i opcje w Europie Środkowej i Wschodniej

Na początku lat dziewięćdziesiątych wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej wybrały demokrację pluralistyczną i gospodarkę rynkową jako podstawy rozwiązywania problemów związanych z kryzysem politycznym i ekonomicznym. Wymaga to przekształcenia systemu ekonomicznego w przyspieszonym tempie, próby powtórzenia w ciągu zaledwie kilku lat długiego procesu ewolucyjnego, który gospodarki Europy Zachodniej mają już za sobą¹.

Podejmując wysiłki na rzecz stworzenia nowoczesnego systemu ekonomicznego jako podstawy dobrobytu i stabilności kraje reformujące się nie mogą wprowadzić nowych zasad gry dla alokacji zasobów ignorując dzie-

¹ Skrócona wersja artykułu: *System Transformation and Environmental Policy. Problems and Options in Central and Eastern Europe*, „Intereconomics”, September/October 1993, ss. 231-240.

² Na temat przekształcania systemów ekonomicznych por. H.-J. Wagener (wyd.), *On the Theory of Policy of Systemic Change*, Heidelberg 1992; K.H. Hartwig i H.J. Thieme (wyd.), *Transformationsprozesse in sozialistischen Systemen*, Heidelberg 1991; P. Marer (wyd.), *The Transition to a Market Economy*, Paris (OECD) 1991; OECD, *Reforming the Economies of Central and Eastern Europe*, Paris 1992; P.J.J. Welfens, *Market-oriented Systemic Transformations in Eastern Europe*, Heidelberg 1992.

dzictwo przeszłości; przeciwnie, dziedziczą one wszelkie ciężary ekonomiczne i ekologiczne, opóźniające proces zmian strukturalnych oraz odnowienie i modernizację gospodarki. Jedną z ważniejszych kwestii stwarza fakt, że w ciągu kilku dziesięcioleci w krajach RWPG narosły problemy ekologiczne, których negatywne skutki, jak zły stan zdrowotny, a co za tym idzie wyższe koszty opieki zdrowotnej i ograniczenia w rozwoju bardziej skomplikowanych procesów produkcyjnych, dzisiaj nasilają się. Wielkie zakłady przemysłu ciężkiego skoncentrowane w określonych regionach to nie tylko pozostałość poprzedniego, nieefektywnego systemu wykorzystania zasobów, ale także lokalne gniazda silnej opozycji wobec zamykania fabryk i relokacji produkcji. Mimo to kraje te nie zdołają na trwałe osiągnąć zachodnich standardów życia, jeżeli nie przeprowadzą modernizacji ekologicznej i ekonomicznej oraz ukierunkowanych na efektywność zmian strukturalnych². W odróżnieniu od gospodarek zachodnioeuropejskich, w których standard życia jest relatywnie wysoki i pozwala na zastosowanie wyrafinowanej technologii w celu zredukowania szkodliwej emisji oraz oczyszczenia środowiska, w Europie Środkowej i Wschodniej możliwości ekonomiczne sfinansowania środków ochrony środowiska są ograniczone, a import technologii i sprzętu ograniczającego emisję można zwykle opłacać ze wzrostu poziomu eksportu.

Z ekonomicznego, politycznego i społecznego punktu widzenia przystosowanie byłych gospodarek planowych do systemu wolnorynkowego jest wyjątkowo trudne.

² Na temat problemów ochrony środowiska w procesie transformacji systemu gospodarczego por. M.J. Welfens, *Umweltprobleme und Umweltpolitik in Mittel- und Osteuropa. Ökonomie, Ökologie und Systemwandel*, Heidelberg 1993. W szczególności nt. sytuacji w Polsce por. M.J. Welfens, *Umweltprobleme und Umweltpolitik im Prozess der Systemtransformation in Polen*, w: S. Nissen (wyd.), *Modernisierung nach dem Sozialismus*, Marburg 1992, s. 83-100.

Sprzeczne cele

Przebudowa gospodarki mająca na celu dostosowanie jej do zasad rynkowych zmierza do osiągnięcia większej efektywności ekonomicznej. Szok cenowy i twardy nacisk konkurencji, pojawiający się w momencie gdy gospodarka otwiera się na rynek światowy, daje w efekcie dewaluację części zasobów kapitału, a w rezultacie spadek produkcji, dochodu narodowego i zatrudnienia. W tej sytuacji, jeśli pozytywne efekty długoterminowe są lekceważone, przedsięwzięcia, które mają na celu ochronę środowiska i podnoszą koszty produkcji, będą postrzegane jako dodatkowe ryzyko, jeśli chodzi o zachowanie i tworzenie miejsc pracy. Priorytet wzrostu ekonomicznego i ochrony miejsc pracy, szczególnie w pierwszej fazie transformacji, może prowadzić do przyjęcia problematycznego z punktu widzenia ekologii kierunku rozwoju. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy zarówno politycy jak i ekonomiści są bardzo krótkowzroczni, tzn. gdy ich głównym celem jest przetrwanie aktualnej recesji lub następnych wyborów.

Zasadnicza sprzeczność pomiędzy potencjalnym polem modernizacji ekologicznej, a tym, co jest realnie możliwe, występuje w sektorze energetycznym. Zakłady wprawdzie mogą zwiększyć efektywność energetyczną, a elektrownie podnieść efektywność termiczną i zmniejszyć szkodliwą emisję, ale to jedynie fragment sytuacji. Stosowanie zamiast węgla „czystsze” jeśli chodzi o emisję gazu, stanowiłoby pierwsze posunięcie w zakresie modernizacji ekologicznej procesu pozyskiwania energii i produkcji ciepła. Jednakże taka polityka prowadzi do większego bezrobocia w przemyśle węglowym, a to budzi potężne protesty ze strony górników w krajach byłej RWPG.

Znaczny postęp ekologiczny można również osiągnąć w gospodarstwach domowych, w szczególności przez modernizację sektora mieszkaniowego. W przeciwieństwie do Europy Zachodniej ceny energii dla gospo-

darstw domowych były utrzymywane na poziomie niższym niż dla przemysłu. Prywatne gospodarstwa domowe mają jednak na ogół niewiele oszczędności czy innych środków finansowania usprawnień domowych, a jest mało prawdopodobne, aby postawione wobec braku funduszy państwowe zarządy mieszkaniowe były w stanie płacić za prace modernizacyjne mające zwiększyć efektywność wykorzystania energii. Krajowe ceny energii były poprzednio znacznie niższe od cen światowych, co oznacza, że skoro ceny stopniowo podnoszą się do poziomu światowego, istnieje duża potrzeba rekompensaty.

Przejście do światowych cen energii – choć stale odkładane w WNP, jednak w pozostałych krajach byłej RWPG bezspornie wprowadzone dzięki reformom cenowym – będzie stanowiło bodziec do oszczędzania energii o tyle, o ile przedsiębiorstwa będą reagowały w kategoriach rynkowych. Niektóre energochłonne technologie nie będą jednakże w stanie przetrwać konkurencji międzynarodowej, bowiem środki oszczędzania energii są rozwijane od czasu szczytu cen ropy naftowej w latach siedemdziesiątych. Trzeba zatem produkować więcej wyrobów energooszczędnych i pozyskiwać odpowiednie surowce na rynku wewnętrznym i zagranicznym, bowiem przedsiębiorstwa nie mogą już być pewne, że sprzedadzą całą swoją produkcję, tak jak to było w socjalistycznej „gospodarce niedoborów”, gdzie popyt zawsze przewyższał podaż.

Demokratyzacja życia politycznego ostatecznie przyniosła różnym grupom politycznym nowe możliwości realizacji dążeń ekologicznych. Konkurencja polityczna i wzrastająca obecnie liczba partii gwarantują, że w walce o głosy wyborcze i władzę znaczenie aspektów ekologicznych będzie rosło.

Zanim cele procesu transformacji zostaną osiągnięte, nieunikniona jest taka jego faza, którą będzie charakteryzowała wielość sprzecznych celów, niewystarczające metody kontroli (stare nie będą już stosowane, nowe nie

będą jeszcze wdrożone lub nie dadzą jeszcze efektu) i głęboka recesja.

Patrząc realistycznie można dojść do wniosku, że w pierwszych kilku latach transformacji problemom ekologicznym będzie poświęcana tylko ograniczona uwaga. Jedynie w dłuższej perspektywie można oczekiwać wzrostu dochodu per capita i tylko wtedy nastąpi spadek napięcia pomiędzy sprzecznymi celami wzrostu gospodarczego a ochroną środowiska.

Nowe problemy

Przejsie do gospodarki rynkowej będzie również oznaczało nowe problemy ekologiczne. Można to dostrzec w przemyśle opakowań, który niesie zagrożenie narastającym problemem zaśmiecania środowiska, w uprzemysłowionej reklamie oraz we wzrastającej liczbie samochodów i drogowych usług transportowych. Są to dziedziny, w których kraje Europy Środkowo-Wschodniej muszą raczej od razu zastosować pozytywne i ekologicznie postępowe rozwiązania Zachodu niż powtarzać jego błędy.

W procesie przechodzenia do gospodarki rynkowej redukcja integracji pionowej przedsiębiorstw połączona z planami otwarcia gospodarki na handel zagraniczny oznacza wzrost transportu towarowego pomiędzy dostawcami i kolejnymi fazami produkcji. W efekcie przewidywany jest wzrost emisji tlenu azotu i dwutlenku węgla. Przejsie na benzynę bezołowiową i samochody standardowo wyposażone w katalizatory może ograniczyć szkodliwą emisję powodowaną przez środki transportu. Jeśli produkcja samochodów będzie organizowana zgodnie z wymogami rynków zachodnich, lub jeśli producenci samochodów z krajów zrzeszonych w Organizacji Współpracy Ekonomicznej i Rozwoju uruchomią produkcję w Europie Wschodniej, można oczekiwać, że w niedługim czasie przemysł samochodowy zwróci się ku nowoczesnym metodom produkcji i produktom eko-

logicznym. Można też wyobrazić sobie, zwłaszcza w transporcie, inicjatywy promujące zachowania ekologiczne, jak np. podatki od środków transportu oparte na wskaźnikach szkodliwej emisji, co również jest dyskutowane przez Unię Europejską.

Opracowanie rozwiązań ekologicznych w wielu dziedzinach zajęło krajom zachodnim wiele lat³. Rozwiązania te obejmują przede wszystkim powtórne wykorzystanie materiałów, opakowania zwrotne, ekologiczną utylizację odpadów, przyjazne dla środowiska produkty gospodarstwa domowego i środki chemiczne oraz nowoczesny system transportowy z obniżoną emisją, w szczególności mniejsze samochody wyposażone w katalizatory. Aby takie rozwiązania zostały zaakceptowane przez społeczeństwo, niezbędne jest przeprowadzenie stosownych kampanii informacyjnych na szeroką skalę, podniesienie poziomu szeroko rozumianej edukacji oraz rozszerzenie odpowiedzialności i kompetencji odpowiednich władz.

Koszty odbudowy ekologicznej

Droga do gospodarki rynkowej zaczyna się od wielkiego ciężaru skażeń środowiska odziedziczonego po gospodarkach centralnie sterowanych i można przewidzieć, że trudno będzie nadrobić wszystko, co w tej dziedzinie powinno być zrobione. Wiara, że najbardziej skażone obszary mogą być szybko przywrócone do stanu poprzedniego lub w krótkim czasie dostosowane do standardów zachodnich, jest całkowicie utopijna. Kraje reformujące się nie są w stanie finansować zadań na taką skalę, biorąc pod uwagę ich napiętą sytuację

³M.J. Welfens, *Umweltpolitik und Innovationen im Systemvergleich: Bundesrepublik Deutschland – Polen*, w: P.J.J. Welfens, L. Balcerowicz (wyd.), *Innovationsdynamik im Systemvergleich*, Heidelberg 1988, s. 106-125, zwłaszcza s. 118.

budżetową. Skalę wydatków potrzebnych do oczyszczenia środowiska widać wyraźnie na przykładzie byłej NRD⁴. Szacuje się, że aby w ciągu dziesięciu lat przywrócić do standardów Niemiec Zachodnich takie dziedziny, jak energetyka, transport, odpady i zanieczyszczenia wody, konieczne są nakłady finansowe rzędu 380-470 mld DM. Jeśli kwotę tę podzielić na dekadę, da to rocznie około 20% dochodu narodowego netto Wschodnich Niemiec, który w 1991 r. wyniósł 180 mld DM. Jeśli za minimum przyjąć połowę z 380 mld DM przewidywanego kosztu odtworzenia środowiska naturalnego w byłej NRD (tzn. 190 mld DM na 10 lat, czyli 19 mld DM rocznie), da to pojęcie o kosztach oczyszczenia środowiska w innych byłych krajach socjalistycznych. Szacując te koszty w krajach Europy Środkowej i Wschodniej trzeba uwzględnić fakt, że zarobki i ceny są tam niższe niż w Niemczech. Zależnie od tego, jak się je wylicza, sięgają one poziomu od 24% (Węgry) do 58% (Polska) produktu narodowego (liczonego w okresie dziesięciu lat). Usunięcie odziedziczonych skażeń może nastąpić wyłącznie stopniowo. W niektórych krajach będzie to możliwe przy założeniu wysokiego stopnia mobilności osób czynnych zawodowo, aby można było na pewien okres opuścić rekultywowane obszary, oraz skoncentrowania się na polityce zachęcania nowych przedsiębiorstw do lokowania się w obszarach stosunkowo nie skażonych. Będzie to jednakże wymagało znacznych inwestycji zarówno w infrastrukturę, jak i w budownictwo mieszkaniowe. Im szybciej wprowadzi się modernizację ekologiczną w przypadku nowych inwestycji (włączając w to częściową reinwestycję), tym wcześniej możliwe będzie także umotywowanie etapowego

⁴ Na temat kosztów odbudowy ekologicznej w b. Niemczech Wschodnich por. U. Petschow, J. Meyerhoff, J. Thomasberger (wyd.), *Umweltreport DDR*, Frankfurt am Main 1990, s. 110-119.

usuwania zanieczyszczeń z obszarów skażonych w przeszłości.

W tych warunkach potrzebne jest przede wszystkim zyskanie większej swobody działania i podjęcie takich środków, które nie obciążają nadmiernie budżetów sfery publicznej. Szczególnie godne polecenia są programy oszczędzające zasoby naturalne i redukujące zużycie energii; rezultatem takich programów są równocześnie znaczne usprawnienia, zarówno ekonomiczne jak i ekologiczne.

Wady systemu rynkowego

Wprowadzenie w krajach reformujących się konkurencji i własności prywatnej jako podstawy gospodarki rynkowej poprawi efektywność wykorzystania dostępnych środków. Zapewnienie akceptowalnego z punktu widzenia ochrony środowiska wzrostu przy jednoczesnym rozwiązywaniu problemu skażeń spowodowanych w przeszłości wydaje się, wobec istniejących problemów ekonomicznych i politycznych, zadaniem trudnym. Jednak nawet wtedy, gdy fundusze są tak dalece niewystarczające, a problemy tak wielkie, postęp ekologiczny jest możliwy, jeżeli polityka wobec środowiska naturalnego będzie właściwie zaplanowana. Konieczne jest zdefiniowanie właściwych zasad polityki ochrony środowiska, precyzyjne przypisanie odpowiedzialności, wprowadzenie regularnej kontroli rezultatów na poziomie państwowym i regionalnym (z uwzględnieniem standardowej metody sprawozdawczości) oraz zdecydowane ustalenie realnych ram przyjaznej dla środowiska działalności ekonomicznej firm i gospodarstw domowych.

Rynek sam w sobie nie jest zdolny do efektywnego wykorzystania publicznego dobra jakim jest czyste środowisko, ponieważ często istnieją różnice pomiędzy indywidualnymi (mikroekonomicznymi) a społecznymi (makroekonomicznymi) brzegowymi kosztami produkcji; jeśli firma a z przemysłu A zmniejsza przez szkodliwą

emisję rentowność firmy b z przemysłu B, oznacza to, że firma a tworzy dodatkowe koszty ekonomiczne, które – jeśli będą wzięte pod uwagę – dadzą efekt obniżenia produkcji przemysłu A lub zwiększenia produkcji przemysłu B.

Zachodnie gospodarki rynkowe opracowały cały zestaw narzędzi polityki prośrodowiskowej, których celem jest eliminowanie lub łagodzenie wad systemu rynkowego oraz motywowanie działaczy gospodarczych do zachowań ekologicznie rozsądnych. Zachowania przyjazne dla środowiska należy nagradzać i popierać, a skażenia redukować przez stosowanie sankcji, takich jak nakładanie podatków, egzekwowanie odszkodowań lub wprowadzanie ograniczeń prawnych, np. przepisów wymagających stosowania technologii uwzględniających najnowsze osiągnięcia.

Polityka ochrony środowiska zorientowana rynkowo

Istotą zorientowanej rynkowo polityki ochrony środowiska jest motywowanie ludzi do zachowań przyjaznych środowisku przez zastosowanie odpowiednich bodźców finansowych i innych, nie zaś zmuszanie do nich administracyjnymi środkami przymusu. Takie oddziaływanie może na różne sposoby przyczyniać się do zachowań przyjaznych środowisku. Potrzebna jest powszechna informacja i edukacja, jak też perswazja moralna. Państwo jako konsument ma prawo nabywać lub sponsorować przez projekty modelowe produkty przyjazne środowisku.

Opłaty na rzecz środowiska i licencje są oparte na procencie od dochodu i stymulują obniżenie zanieczyszczenia środowiska. Większa odpowiedzialność za skażenia środowiska i związana z nią polityka ubezpieczeniowa zmuszają firmy do wliczania kosztów wykorzystania środowiska; maksymalizując zysk każda spółka będzie starała się płacić możliwie najniższe składki ubezpieczeniowe, a firmy ubezpieczeniowe będą zmierzały do

karania podniesieniem składek tych przedsiębiorstw, które musiały wielokrotnie płacić odszkodowania. Podniesie to z kolei koszty produkcji, a więc konkurencję z notorycznymi „zanieczyszczaczami” wygrają ostatecznie firmy, których ryzyko skażenia środowiska – czyli sankcji prawnych – będzie mniejsze, bo uzyskują dzięki temu wyższy zysk (mniejsze koszty). O taki właśnie efekt chodzi.

Istnieją liczne instrumenty zorientowanej rynkowo polityki ochrony środowiska. Ich celem jest doprowadzenie do dobrowolnych zachowań przyjaznych środowisku. Należą do nich: dostarczanie informacji o ryzyku i niebezpieczeństwach dla środowiska, lepsze informowanie konsumentów, włączanie kryteriów ochrony środowiska do testowania produktów i usług oraz wyróżnianie produktów przyjaznych dla środowiska przez przyznawanie znaku jakości środowiskowej. To ostatnie odpowiada zarówno dostawcom jak i odbiorcom; zwiększająca się liczba produktów przyjaznych środowisku może stanowić pomoc w ugruntowaniu dobrego imienia pewnych produktów lub określonych dostawców wśród wrażliwych ekologicznie konsumentów lub nabywców, wywołując w ten sposób pośrednio pozytywny efekt ekologiczny, jako że przedsiębiorstwa walczą o względy konsumentów⁵. Jeśli zapotrzebowanie na nienaruszone środowisko naturalne będzie wzrastało wraz ze wzrostem realnych dochodów społeczeństwa, trwający w Europie Środkowo-Wschodniej wzrost będzie miał pośredni wkład w polepszenie sytuacji w zakresie ochrony środowiska. Światowy Raport Rozwoju 1992 pokazał, że zerwanie związku pomiędzy wzrostem gospodarczym a rosnącym zużyciem energii jest ze wszech miar możliwe (np. dochody realne mogą rosnąć, podczas gdy

⁵L. Wicke, *Umweltökonomie und Umweltpolitik*, München 1991, s. 164 nn.

spożycie energii pozostaje na stałym poziomie dzięki wzrostowi stosowania produktów energooszczędnych).

Systemy prawne

Poza instrumentami zorientowanymi rynkowo w węższym sensie tego wyrażenia we wszystkich gospodarkach rynkowych system przepisów prawnych jest integralną częścią polityki wobec środowiska naturalnego. Ogólnie rzecz biorąc, zachodnie gospodarki rynkowe mogą zaoferować krajom Europy Środkowo-Wschodniej wypróbowane strategie i instrumenty kontroli w polityce ochrony środowiska, mimo że w przeszłości same nie zawsze konsekwentnie z nich korzystały. Specjalną rolę w Europie Środkowo-Wschodniej odgrywa jednak sprawa istniejących już skażeń. Dostosowanie używanych instrumentów do występujących tam problemów będzie zatem wymagało zróżnicowania w zależności od konkretnego sektora i od ogólnych warunków w poszczególnych krajach.

Jakkolwiek przyjęte rozwiązania prawne jedynie z trudnością mogą promować efektywność ekonomiczną w polityce prośrodowiskowej, pozostają niezastąpione – przynajmniej na etapie transformacji. W fazie transformacji uregulowania prawne oferują pewne korzyści: najważniejszą z nich jest przejrzystość tego typu instrumentu oraz fakt, że nie wymaga on żadnej głębokiej znajomości gospodarki. Ustalone parametry techniczne stwarzają mniejszą szansę wzbudzenia konfliktu niż uważane generalnie za korzystniejsze złożone zasady kreowania optymalnego efektu gospodarczego; co więcej, wspomniane zasady często mają luki, które pozwalają z kolei na obchodzenie przepisów. W wielu przypadkach w dyskusjach politycznych łatwiej jest bronić przepisów niż ekonomicznych instrumentów polityki ochrony środowiska. Poza tym są one łatwe do wprowadzenia i szybko dają efekt (w przeciwieństwie do wymagających czasu podatków środowiskowych). Inwestorzy

uzyskują pewność, której tak pilnie potrzebują do planowania i bezpośrednich przewidywań. W ten sposób usuwane są wszystkie dodatkowe przeszkody dla inwestycji, wynikające z niepewności polityki ochrony środowiska lub jakiegokolwiek braku jasności.

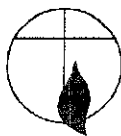
Alternatywy

Instrumenty gospodarki rynkowej mogą być skuteczne dopiero po zakończeniu dużej części prywatyzacji, gdy wzrost gospodarczy określi zakres przemian ekonomicznych i politycznych. Wydaje się, że podatki oparte na wskaźnikach szkodliwej emisji osiągną realny sukces w kategorii wpływania na zachowania zgodnie z założonymi celami, gdy firmy napotykają ograniczenia budżetowe i gdy istnieje wystarczająca konkurencja, przy założeniu, że podatki takie nie mają charakteru powierzchnowego, a ich struktura, stopniowa lub progresywna, jest naprawdę odpowiednia do danego problemu. Dopiero gdy uczestnicy życia gospodarczego nauczą się, jak działa rynek, możliwe jest zrobienie sensownego użytku z opartych na regulacji cenowej bodźców oszczędzania zasobów naturalnych i promocji ochrony środowiska. W praktyce jednakże zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że raz przyjęte przepisy można będzie zastąpić instrumentami rynkowymi z trudnościami i przy znacznym oporze.

Można powiedzieć, że na ogół transformacja systemu gospodarczego w krajach Europy Środkowo-Wschodniej daje także możliwości wprowadzenia efektywnych struktur w dziedzinie polityki ochrony środowiska. Instrumenty nowej polityki w tym zakresie powinny, na krótką metę, być zorientowane głównie na przepisy. Potem, gdy rynek zadziała szerzej, powinno się przesunąć akcent na przyjmowanie ilościowych rozwiązań ekonomicznych (certyfikaty środowiskowe). Środki fiskalne należy stosować jedynie w ograniczonym zakresie, ponieważ przy dużym deficycie budżetowym krajów byłej

RWPG istnieje niebezpieczeństwo użycia ich przede wszystkim w celu uzyskiwania dochodu (cel fiskalny), a nie jako bodźców do zmniejszenia szkodliwych emisji (cel ekologiczny). Program wdrożenia nowej polityki ochrony środowiska powinien być etapowy i brać pod uwagę specyficzne fazy rozwoju w procesie transformacji. Oznacza to, że w trakcie pierwszej fazy krytycznej, w której produkcja, a zatem i skażenie środowiska, maleje, polityka ochrony środowiska nie powinna działać na rzecz dalszej redukcji wzrostu. Ważniejsze jest tu stymulowanie nowych inwestycji w pożądanym z ekologicznego punktu widzenia kierunku, przez zdefiniowanie jasnych zasad polityki ochrony środowiska z wstępnie określonymi normami i prawami (np. długoterminowe preferencje dla licencji środowiskowych). Ponadto państwo powinno kreować bodźce do zachowań przyjaznych środowisku w rozumieniu długofalowego programu ekologicznego, obejmującego budowę oczyszczalni ścieków, zakładanie stacji kontrolowania skażeń środowiska, zmiany odpowiedzialności prawnej w zakresie ochrony środowiska i wprowadzanie środowiskowych znaków jakości.

tłum. Ewa Okuljar



Medard Kehl SJ

Kościół na obczyźnie (dokończenie)

O duchowym znoszeniu obecnej sytuacji Kościoła

Na tym etapie rozważań chodzi o następującą kwestię: Co każdy OSOBIŚCIE może uczynić, by na tej drodze Kościoła i wierzących nie wyjąłowić i nie umrzeć z pragnienia, by nie stać się zmęczonym i śpiącym, cynicznym i zgorzkniałym? Chciałby po prostu podzielić się kilkoma OSOBISTYMI DOŚWIADCZENIAMI, które mnie i moim przyjaciółom pomogły do pójścia z odwagą, nadzieją i humorem drogą Kościoła żyjącego w naszej kulturze¹.

TROSKA O BARDZIEJ REALISTYCZNY OBRAZ KOŚCIOŁA. Możliwie szerokie i rzeczowe poznanie sytuacji Kościoła może zadziałać bardzo wyzwalająco i odciążająco, przy założeniu, że spróbujemy spojrzeć dalej niż na krąg naszych małych, własnych doświadczeń. Dzięki pełniejszemu poznaniu zależności i związków wiele spraw da się lepiej zrozumieć i uporządkować. Wtedy zauważymy, że my sami jako Kościół nie ponosimy bezpośrednio winy za bieg wielu spraw i dlatego niewiele możemy w nich zmienić. Zrozumienie tego nie powinno w żadnym przypadku zwalniać od wszelkiej winy, może jednak uchronić nas przed szeroko rozpowszechnionym w Kościele masochizmem (właśnie wśród osób głęboko zaangażowanych!), który przez swą niemilosierzną krytykę Kościoła, przez ciągłe bezproduktywne krążenie wokół tych samych nie rozwiązanych problemów oraz

¹O możliwych konsekwencjach strukturalnych wynikających z tej sytuacji zob. moja eklezjologia *Die Kirche*, s. 115-125, 145-150, 199-210, 226-261.

przez ciągle stawianie żądań pod adresem Kościoła i jego kierownictwa („Kościół powinien...”) zabija każdy zarodek radości z Kościoła i w Kościele.

UCZCIWE PRZYZNANIE SIĘ DO BEZRADNOŚCI. Mamy tu na myśli ową bezradność, która dopada nas w obliczu zrozumiałego pragnienia bardziej wszechstronnych, a jednocześnie pokrywających *cały obszar*, namacalnie poprawiających sytuację inicjatyw, podejmowanych w celu zapoczątkowania u nas nowego rozkwitu Kościoła². Nieustannie rodzi się w nas wiele dobrych idei i programów i tak wiele mówimy dziś o nowej ewangelizacji Europy. Jednak w gruncie rzeczy nikt, ani papież, ani biskupi, kapłani, prorocy, teologowie i pozostali nosiciele charyzmatów w Kościele nie wiedzą, jak te idee mogłyby być przełożone na rzeczywistość, aby stały się skuteczne. Nie okazują się skuteczne i nie zwyciężają w wielkim stylu; ani rozpoczęty w okresie posoborowym, a wciąż wlokący się dialog Kościoła ze współczesną kulturą, ani bezpośrednia konfrontacja ludzi nam współczesnych z Ewangelią (w sensie ewangelickich metod misyjnych lub innych, pochodzących od niezależnych Kościołów), ani tradycjonalistyczne odgradzanie Kościoła od współczesności. Obecnie doświadczamy uboższego i bezbarwnego Kościoła, uboższego wprawdzie nie materialnie czy strukturalnie, ale właśnie duchowo.

Przyjęcie tego w sposób uczciwy i pokorny może być istotnym krokiem zmierzającym ku uzdrowieniu, i to zgodnie ze starym (chrystologicznym) stwierdzeniem Ojców Kościoła: *Co nie zostało przyjęte, nie może też być uzdrowione*. Wyrażając się bardziej po świecku: Czy potrafimy przegrywać z honorem w społecznej (również wewnątrzkościelnej) grze o wpływy i znaczenie? Czy rzeczywiście potrafimy z godnością i przyzwoitością, bez paraliżującej pasywności i przeklinania innych,

² M. Bongardt, *Entschieden ratlos*, w: „Pastoralblatt” 43/1991, s. 39-51.

uznać i przyjąć, że staliśmy się mniejszością kulturową? Czy potrafimy nawet w wąskim kręgu naszych własnych dzieci, wnuków, przyjaciół lub partnerów „wymodlić sobie” takie opanowanie, by pozwolić im pójść ich własnymi drogami, odwodzącymi ich (jak się wydaje) od naszej wiary, bez karania ich zarzutami czy środkami nacisku, ba, nawet bez zmniejszania naszej życzliwości względem nich?

OCZYWIŚCIE CZYNIĆ TO, CO NAKAZANE. W tym miejscu pragnę podjąć dobrą radę Ulricha Ruha³. W posuwaniu się do przodu nie pomaga nam zapobiegliwy i nerwowy wysiłek, aby w każdym przypadku być na bieżąco i działać skutecznie i aby zawsze być na poziomie najnowszych potrzeb ludzi, ale wierne, oczywiste pielęgnowanie naszych zasadniczych aktów związanych z wiarą. Są to więc: modlitwa osobista i wspólnotowa, nabożeństwo ukształtowane tak, by przemawiało do ludzi (choć coraz mniej osób w nim uczestniczy), osobiste i wspólnotowe czytanie Biblii, szukająca rozumienia rozmowa o naszej wierze, bezinteresowny czyn miłości bliźniego, chrześcijańska motywacja stale podtrzymywana w codzienności i w pracy zawodowej itd. *Wyzwalając i odciążając może, a nawet powinno działać zrozumienie tego, że chrześcijanie przede wszystkim powinni pełnić to, co zostało im w wierze nakazane, a powinni czynić to w sposób możliwie oczywisty i bezinteresowny, bez ciągłego rozglądania się przy tym na prawo i lewo i bez czekania na oklaski. Zrozumienie to jest środkiem zarówno przeciw zbyt szybkiemu poddawaniu się rezygnacji wobec braku widocznych sukcesów, jak i przeciw nadmiernej zapobiegliwości*⁴.

Mnie osobiście ostatnio bardzo pomaga następujący fragment z Listu do Rzymian (4,17 nn.): *Uczyniłem cię*

³ U. Ruh, *Kein Grund zur Resignation*, w: „Herder Korrespondenz” 47/1993, s. 1-3.

⁴ Tamże, s. 3.

ojcem wielu narodów, przed obliczem Boga. Jemu on [Abraham] uwierzył jako Temu, który ożywia umarłych i to, co istnieje, powołuje do istnienia. On to wbrew nadziei (będąc już prawie człowiekiem stuletnim) uwierzył nadziei, że stanie się ojcem wielu narodów. W tym praojcu naszej wiary uosobiona jest cała historia nadziei Izraela i Kościoła. Nadzieja, która nieustannie ufa wbrew pozorom, wbrew wszelkim prognozom i prawdopodobieństwom. Nadzieja w Bogu ożywiającym umarłych, który w historii swego ludu w sposób bardzo znaczący przerwał „normalny” bieg wydarzeń i może sprawić, by z obumarłych korzeni wykiełkowało nowe życie. Dlaczegoż nie miałby dokonać tego dziś w swym Kościele? Czy rzeczywiście ufamy Mu jeszcze? Postawa ufności „nadobfitej” jest oczekiwaniem Boga wobec nas w obecnym czasie.

RELATYWIZACJA KOŚCIOŁA W PERSPEKTYWIE KRÓLESTWA BOŻEGO. W kazaniu, które słyszałem kiedyś w Tybindze, spotkałem się ze znakomitą parafrazą znanych słów Jezusa z Kazania na Górze (Mt 6,33): *Starajcie się naprzód o królestwo [Boga] i o Jego sprawiedliwość, a wszystko inne będzie wam dodane – również Kościół*. W rzeczy samej Kościół jest tylko „dodatkiem” do królestwa Bożego! Gdziekolwiek pracowalibyśmy nad tym, by urzeczywistnić się pokój, sprawiedliwość i woła Boża przede wszystkim wśród ubogich (istnieje nieskończenie wiele możliwości takiej działalności również poza instytucjonalnym Kościołem), tam w dobrym sensie zaczyna wzrastać Kościół, tam zbiera się lud Boży, często rzeczywiście mały i niepozorny, ale pełen życia i nadziei. Coś takiego promieniuje wówczas także na wielki Kościół, i być może dzięki temu z czasem zmieni się coś w jego tak często skostniałych strukturach.

Im bardziej udaje się nam zrelatywizować Kościół w perspektywie królestwa Bożego, tym bardziej stajemy się wolni od ciasnego koncentrowania się na wewnątrzkościelnym położeniu i jego brakach. Dla mnie konkret-

nie „Arka” (według Jeana Vaniera), a więc życie we wspólnocie z psychicznie upośledzonymi, ma całkiem „eklezjologiczne” znaczenie. W niej mogę ciągle na nowo doświadczać przypowieści o królestwie Bożym i momentu krystalizacji wiary we wspólnocie, która podarowuje wystarczająco dużo luzu i humoru wobec naszej kościelnej sytuacji.

MEDYTOWANIE KOŚCIOŁA. Odkryłem ponadto stare ćwiczenie duchowe Ojców Kościoła, które jest mi bardzo pomocne w obecnej chwili. Starożytni Ojcowie i Matki Kościoła nie tyle refleksjonowali, dyskutowali albo rozumowali nad nim, ale przede wszystkim medytowali o nim. Oznacza to, że wykładali i smakowali symbolicznie prawie każdy tekst Pisma Świętego jako relację między Chrystusem i Kościołem. Próbuję czynić podobnie, naśladując ich. Przy lekturze i rozważaniu Biblii bardzo często pytam sam siebie: czy również tu występuje Kościół? jaki obraz Kościoła tkwi w tej scenie, w tej przypowieści, w tym opowiadaniu, w tym upomnieniu? W ten sposób odkrywam powoli ciągle głębsze, piękniejsze, bardziej obiecujące możliwości Kościoła, które odsłaniają mi nieco jego „tajemnicę” i sprawiają, że jestem bardziej pojednany z jego rzeczywistością.

Wymieniony sposób czytania Biblii niesie z sobą tylko niewielkie niebezpieczeństwo, że mogę wyśnić sobie piękny, duchowy, idealny obraz Kościoła. Nie, jest to po prostu inny sposób zdrowego relatywizowania Kościoła. Jego postać instytucjonalna nie jest całym Kościołem. Może on zaofiarować znacznie więcej sensu, perspektyw i potencjału nadziei, niż jesteśmy w stanie przyjąć w pierwszym momencie. *Dobrze się widzi tylko sercem*; odnosi się to również do Kościoła⁵.

⁵ Pięknym tego przykładem jest komentarz K. Rahnera do J 8,1-11 dotyczący Kościoła: Kościół jako cudzołożnica, która jest oskarżona przez starszych, ale przez Jezusa nie jest potępiona, w: „Schriften zur Theologie” VI, s. 319 nn.

ZACHOWAĆ ODWAGĘ DO OTWARTEGO SPRZECIWU w KOŚCIELE. Należy sprzeciwiać się właśnie tam, gdzie jak się wydaje instytucje, albo poszczególni wierni i różne grupy w Kościele, nosiciele urzędów kościelnych, zbyt mało lub wcale nie stoją na wysokości swojego posłannictwa, polegającego na tym, by Jezusa Chrystusa i Jego Ewangelię czynić dziś przejrzystymi. Nie wolno nam okazywać tchórzostwa i lęku właśnie w obecnej wewnątrzkościelnej sytuacji cofania się, podtrzymywanego przez określone kręgi rzymskie i biskupie, poza próby reformy ze strony II Soboru Watykańskiego, który przecież chciał rozbudować Kościół jako *communio*, jako bratersko-siostrzaną wspólnotę wierzących, także w aspekcie strukturalno-prawnym. W przeciwnym razie pozostawimy zbyt wielu chrześcijan samym sobie z ich rozczarowaniami i ranami, chrześcijan, których zainspirował Sobór i jego postawa wobec „nowożytności”, i dlatego tęsknią za nowym sposobem wewnątrzkościelnego odnoszenia się wzajemnego do siebie. Inaczej za kilka lub kilkadziesiąt lat, słusznie będzie się nam czynić zarzut: dlaczego wówczas milczeliście?

Nasz sprzeciw powinien być jednak sformułowany takim językiem, który prowadzi do POJEDNANIA, a który przez polemikę i pomówienia nie pogłębiałby bardziej przedziałów istniejących między różnymi kierunkami. Chodzi o taki język, który nie rani drugiego w jego religijnym sposobie odczuwania, ale próbuje go zrozumieć i uważnie wydobyć rdzeń prawdy z jego opinii. Powróćmy raz jeszcze do B. Rootmensena, który patrząc wstecz na swe zaangażowanie w Kościele w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pisze: *Po trzecie popełniono błąd sądząc i wierząc w przekonującą siłę polemiki, sądząc, że przez nią można sprawić, by triumfowało dobro, a zło zostało zwyciężone. A przecież różnice przekonań mogą spokojnie współistnieć i nie można mieć nic przeciw temu, że wzajemna dyskusja przybiera czasem najostrzejsze formy. Ale przekonanie, że kiedy wystarczająco polaryzuje się stanowiska, to własna*

*prawda sama z siebie zwycięży, okazało się kolejną iluzją*⁶. Język zmierzający ku pojednaniu ma, wbrew temu, moc zarówno do nazywania rzeczy po imieniu, rozróżniania (np. między władzą duchową, a nadużyciami politycznymi władzy w Kościele), jak i kruszenia zatwardziałości przeciwstawnych sobie grup ludzi. Ponadto język może się kierować konkretnym wzorcem, np. stylem wspólnoty z Taizé i jej przeora Rogera Schutza. Tam właśnie dostrzegalnie przeżywa się pociągający obraz Kościoła pojednanego.

PAMIĘTAĆ O SZERSZYM WYMIARZE KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO. Również w Kościele istnieje dziś bardzo silna tendencja do tworzenia małych, przejrzystych wspólnot wiary. Jest to słuszne, bo Kościół koniecznie potrzebuje tego rodzaju „komunikatywnych środowisk wiary” jako pierwotnych przestrzeni budzenia jej. Ale tam, gdzie ten trend staje się jednostronny, gdzie zbytnio pomija i lekceważy ponadmiejscową, ponadnarodową, światową wspólnotę Kościoła, prowadzi do silnego zubożenia katolickości, tzn. ogólności światowej świadomości kościelnej. Nawet gdy konkretna forma kierowania Kościołem powszechnym stwarza wielu ludziom problemy, nie jest to powód, by się wyrzekać zasady Kościoła jako Kościoła powszechnego. Kościół jest wspólnotą wspólnot i żyje zasadniczo dzięki – często również spornemu – napięciu między Kościołem światowym a małymi, osobowymi zgrupowaniami, parafiami, biskupstwami, poszczególnymi Kościołami należącymi do konferencji biskupów, Kościołami kontynentalnymi. Napięcie to chroni nas przed tym, byśmy w naszych perspektywach kościelnych nie stali się zbyt prowincjonalni, nie mówiąc już o popadnięciu w sferę Kościołów czysto narodowych, groźba ponownego pojawienia się których jest dzisiaj aż nadto widoczna. Jednocześnie

⁶ B. Rootmensen, *Vierzig Worte in der Wüste. Werkbuch für Gemeinden zur Krise von Kirche, Glaube und Kultur*, Düsseldorf 1991, s. 174.

napięcie to uzdolnia nas do poznania i przyjęcia nieprawdopodobnego bogactwa duchowego i kulturowego Kościoła w różnych krajach i kontynentach, cieszenia się i inspirowania nim, sprawienia, by bogactwo to obdarowywało i korygowało nas.

Moje sugestie pragnąłbym zamknąć plastycznym, przyprowadzonym poczuciem realizmu i miłości do Kościoła, tekstem katolickiego, psychoanalityka monachijskiego, Alberta Görresa:

Kościół jest jak słońce dla wszystkich. Dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych, sympatycznych i niesympatycznych, głupich i roztropnych; dla sentymentalnych jak i oziębłych, dla neurotyków, psychopatów, dziwaków, obłudników i takich jak Natanael, „w którym nie ma podstęp” (J 1,47); dla tchórzów i bohaterów, dla wielkodusznych i małostkowych. Dla pełnych przymusu legalistów, histerycznie zaniedbanych, infantylnych, narkomanów i ludzi perwersyjnych. Również dla biurokratów bez serca i rozumu, dla fanatyków, ale też dla mniejszości natur zdrowych, zrównoważonych, dojrzałych, psychicznie i duchowo obdarzonych, zdolnych do miłości.

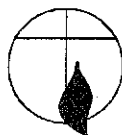
Długa lista nie jest potrzebna do uzmysłowienia sobie, czego rzeczywiście można oczekiwać od Kościoła, który bez zważania na osobę składa się z wszelkiego gatunku ludzi zebranych z ulic i opłotków, od Kościoła, którego przywódcy pochodzą z tego wielobarwnego zasobu, skoro nie zawsze mają miejsce cudowne zaczarowania, jakich nikt nam nie obiecał. Obiecano nam świętych, oświeconych i jaśniejących. Kto ich szuka, może ich znaleźć. Kto ich nie szuka, nigdy ich nie odkryje, choć latami przechodzą obok niego, ponieważ on być może wcale nie chce, lub nie może ich poznać.

Niejednen myśli, że mógłby popierać inny Kościół, którego świętość, mądrość i miłość błyszczałaby i lśniła. Ale tego niestety nie może uczynić. Duch, obecny w Kościele zawsze i wszędzie, jest Bogiem ukrytym, latens Deitas, jak mówi Tomasz z Akwinu, lub – jak mówi

Luter – Deus Absconditus. Bóg, który ukazuje się wtedy, kiedy chce i komu chce. Nazywa On błogosławionymi tych, którzy nie widzą, a jednak wierzą. Nie potrzebują oni żadnego jaśniejącego Kościoła, ponieważ blask świętego poznają również przez okopconą szybę w oknie. Są wolni od rozpowszechnionej skłonności przenoszenia stłumionej nienawiści na cierpiącego Jezusa Chrystusa i na Kościół¹.

tłum. Jerzy Zakrzewski SJ

¹A. Görres, w: *Tiefenpsychologische Deutung des Glaubens?* Freiburg 1988, s. 134.



Jak przetrwać?

Taki podtytuł nadał polski wydawca raportowi Rady Klubu Rzymskiego „Pierwsza rewolucja globalna”¹. Zanim przedstawimy główne tezy tej publikacji, przypomnijmy, czym jest Klub Rzymski.

Powstał w 1968 r. Jak wiadomo, był to rok wielkiego przełomu, wyznaczał koniec okresu szybkiego rozwoju gospodarczego, jaki trwał w krajach uprzemysłowionych praktycznie nieprzerwanie od zakończenia wojny. Był to rok niepokojów, studenckich rewolt i protestów przeciw panującym ideałom kultury. W 1968 r. zaczęto uświadamiać sobie jałowość dotychczasowego modelu życia i powagę zagrożeń ekologicznych. Klub skupia grono (około 100) niezależnych osób, które za główny przedmiot swego zainteresowania uznały krytyczną sytuację ludzkości (the predicament of mankind). Klub opiera się na trzech wzajemnie powiązanych zasadach: przyjęciu globalnego podejścia do złożonych problemów świata, w którym wzajemne zależności między krajami stale się pogłębiają; koncentrowaniu się na zagadnieniach, metodach polityki i wyborach w szerszej perspektywie niż ta, która jest przedmiotem zainteresowania i działania rządów; dążeniu do głębszego zrozumienia wzajemnych oddziaływań w złożonym splocie współczesnych problemów politycznych, ekonomicznych, społecznych, kulturalnych, psychologicznych, technologicznych i środowiskowych.

Pierwsza publikacja Klubu Rzymskiego „Granice wzrostu” ukazała się w 1972 r. Był to raport sporządzony przez grupę profesorów z Massachusetts Institute of Technology. Raport ten i kontrowersje, jakie wywołał, przyniosły Klubowi Rzymskiemu ogólnoświatowy rozgłos. Opracowanie ukazało się w ponad 30 językach i zostało sprzedane w 10 mln egzemplarzy. Publikacja wywołała na całym świecie debatę na temat wzrostu i problemów ludzkiej społeczności, a także uświadomiła istnienie wzajemnych oddziaływań pomiędzy różnymi elementami złożonego układu, jakim jest świat. Od 1972 r. Klub opublikował kilkanaście raportów, dotyczących bardzo różnych

¹A. King, B. Schneider, *Pierwsza rewolucja globalna*, Raport Rady Klubu Rzymskiego, Polskie Towarzystwo Współpracy z Klubem Rzymskim, Warszawa 1992.

problemów świata m.in. energii, edukacji, mikroelektroniki, współpracy Północ-Południe.

Od czasów raportu Meadowsa („The Limits to Growth”) minęło ponad 20 lat. Pozytywne wydarzenia, takie jak upadek imperium sowieckiego, powstrzymanie zatrucia środowiska w niektórych rozwiniętych rejonach świata, wyciszenie zagrożenia demograficznego, zaowocowały pojawieniem się nastrojów uspokojenia co do przyszłości świata. Tymczasem trendy przedstawione w raporcie Meadowsa nie zmieniły się. Ludność świata zbliża się do 6 mld, a stan środowiska naturalnego nieustannie pogarsza się. Zagrożenie wzrasta. Nastąpiła – i nadal postępuje – globalizacja procesów i problemów ekonomicznych, społecznych i politycznych. Ten tworzący się system światowy nie wydaje się zdolny do samoregulacji. Co więcej, procesy rozwojowe współczesnego świata zawierają symptomy autodestrukcji.

Czy jednak te współczesne zagrożenia i zmiany można nazwać pierwszą rewolucją globalną? Autorzy omawianego raportu twierdzą, że tak. W odróżnieniu od poprzednich przemian, choćby rewolucji przemysłowej zapoczątkowanej w Anglii 200 lat temu – i do dziś nie zakończonej – obecna rewolucja jest i gwałtowna i powszechna.

Najważniejsze zmiany ostatnich lat

Symbolem przemian zachodzących w ostatnim 20-leciu może być następujący obraz: styczeń 1969 – Jan Palach, lat 21, na placu Wacława w Pradze dokonuje samospalenia na znak protestu przeciw okupacji Czechosłowacji przez radzieckie czołgi; grudzień 1989 – opozycyjny pisarz Vaclav Havel zostaje wybrany na prezydenta Czechosłowacji. Wichry przemian wstrząsnęły nie tylko regionem europejskim, lecz całą planetą.

PRZEJAWY ZŁEGO SAMOPOCZUCIA. Oprócz ogromnych przemian politycznych następują coraz wyraźniejsze zmiany gospodarcze. Powstają gigantyczne ugrupowania handlowo-przemysłowe, nastąpił wyraźny wzrost wzajemnej zależności między krajami, kwestionowane jest samo pojęcie suwerenności, ponieważ wiele krajów w nieznanym stopniu panuje nad swymi własnymi sprawami (wiele decyzji zapada poza obrębem ich terytoriów). Charakterystyczny dla tego okresu (1972-92) był ogromny rozwój miast, przy czym urbanizacja miała zarówno dodatni jak i ujemny wpływ na życie ludzi. Warto też odnotować fakt, że według szacunków ONZ średnia długość życia

zwiększyła się o 16 lat, znajomość czytania i pisania u dorosłych o 40%, poziom wyżywienia na mieszkańca o ponad 20%.

Wciąż wzrasta liczba ludności świata (o milion co 4–5 dni). Pojawiały się nowe klęski: zbrodnie, gwałt i przymus. Funkcjonują mafie i kartele narkotykowe. Obfite żniwo zbiera śmiertelna choroba AIDS.

W innej sferze warto wspomnieć o ogromnych osiągnięciach techniki, zwłaszcza mikroelektroniki. Komputery, roboty, elektroniczne systemy pocztowe, inżynieria genetyczna – oto tylko niektóre przykłady zastosowań odkryć z dziedziny fizyki oraz biologii.

W latach osiemdziesiątych wydarzyły się ogromne katastrofy ekologiczne: w Bhopalu, Czarnobylu, w Zatoce Księcia Williama na Alasce. Świat odczuwa powszechny niepokój z powodu pogarszania się stanu środowiska. Rozprzestrzenianie się w środowisku substancji toksycznych, zakwaszenie jezior i niszczenie lasów, zanieczyszczanie górnych warstw atmosfery przez chlorofluorowęglowodany (CFC) niszczące warstwę ozonową, efekt cieplarniany spowodowały głównie przez zwiększenie stężenia CO_2 – oto główne, bardzo niekorzystne zjawiska wpływające na stan środowiska, wręcz na kondycję całej planety.

Coraz liczniejsze grupy etniczne czynnie domagają się autonomii lub niepodległości, nastąpiło przebudzenie się nacjonalizmów.

Autorzy raportu stwierdzają, że zarówno społeczeństwa jak i poszczególne jednostki zatraciły system wartości, który wcześniej zapewniał im spójność i zdolność dostosowawczą. Wynika to z utraty wiary religijnej i wiary w głoszone przez nią wartości etyczne, a także z utraty zaufania do systemów politycznych i polityków. To z kolei powoduje brak dyscypliny społecznej, wandalizm i przemoc, które są znakiem rozpoznawczym naszej epoki. Wszystkie te zjawiska są przejawem ogólnego złego samopoczucia (the malaise) współczesnych społeczeństw.

PROBLEMY SZCZEGÓLNEJ TROSKI. Do problemów budzących szczególną troskę, wpływających na podstawy materialnej egzystencji ludzkości, należą: przeludnienie, stan środowiska naturalnego, brak żywności i energii. Wszystkie są ze sobą wzajemnie powiązane. Przytoczmy parę liczb i faktów ilustrujących te zagrożenia. Mimo że współczynnik dzietności obniżył się z 6,1 dzieci na kobietę w latach 1963–70 do 3,9 w 1986 r., to presja demograficzna jest nadal bardzo wielka, co wynika m.in. z tzw. piramidy wieku. Zwiększyła się konsumpcja w przeliczeniu na jednego mieszkańca, choć jest ona bardzo różna w różnych rejonach świata. Na Północy średnia konsumpcja surowców i energii na mieszkańca jest około 40 razy większa niż

w krajach mniej rozwiniętych. Liczby te odzwierciedlają społeczną niesprawiedliwość i świadczą o bezwzględnej eksploatacji przyrody przez człowieka. (Szacuje się, że w ciągu stulecia przeciętna konsumpcja na mieszkańca wzrosła około czterdziestokrotnie.) Trwa ogromne marnotrawstwo zasobów ludzkich, materialnych i energetycznych, zużywanych na cele zbrojeniowe. Dla porównania roczny budżet UNICEF jest równy kwocie wydawanej na cele wojskowe w ciągu czterech godzin.

Niezależnie od wielu skomplikowanych uwarunkowań poważnym ograniczeniem dotychczasowych praktyk gospodarczych będzie efekt cieplarniany. Zmiany klimatyczne spowodowane podniesieniem się temperatury wpłyną na rozkład opadów, a tym samym na zmianę przydatności wielu obszarów ziemi dla produkcji żywności. Mogą pojawić się sytuacje ekstremalne: huragany, susze, powodzie. By temu zapobiec, trzeba ograniczyć lub wręcz zredukować emisję CO₂. Konieczna będzie przebudowa energetyki. Autorzy raportu zmuszeni są przyznać, że zastosowanie węgla i ropy jest prawdopodobnie bardziej niebezpieczne niż energia jądrowa.

Zagadnienia energetyczne wiążą się ściśle z problemem wyżywienia. Na wyprodukowanie tony nawozu azotowego potrzeba w przybliżeniu tony ropy naftowej. Ropa wykorzystywana jest również do produkcji środków owado- i chwastobójczych, a także przy orce i do pracy pomp nawadniających. W latach 1950-86 średnie zużycie nawozów sztucznych na mieszkańca naszej planety wzrosło z 5 do 20 kg, a powierzchnia gruntów uprawnych przypadająca na jednego mieszkańca spadła z 0,24 do 0,15 hektara. Można powiedzieć, że w uproszczeniu wzrost światowej produkcji żywności sprowadza się do zamiany ropy naftowej na zboża jadalne – oczywiście dzięki fotosyntezie. Rolnictwo staje się sektorem przemysłu. Ponieważ zużywa i produkuje energię, staje się też elementem systemu energetycznego. Zmiany podaży ropy, zmiany cen albo ograniczanie jej wykorzystywania np. ze względu na efekt cieplarniany mogą mieć wpływ na produkcję żywności. Może to spowodować wzrost cen żywności i to w czasie, kiedy z powodu przyrostu ludności żywności tej potrzeba coraz więcej. Na produkcję żywności ma też wpływ erozja gleby i obniżenie się jej jakości.

Analizując współczesne wyzwania i zagrożenia warto wspomnieć o przemianach społecznych. Jesteśmy świadkami tworzenia się społeczeństwa informatycznego. Problemem, który się wiąże z procesem wchodzenia w erę informatyki, jest bezrobocie. Jeżeli wzrost gospodarczy będzie następował dzięki zastosowaniom technologii i technik

informatycznych – i bez dodatkowego zatrudnienia – to bezrobocie, jakie niewątpliwie nastąpi, stanie się źródłem głębokich frustracji społecznych. Być może w przyszłości główną troską ludzi będzie nie tyle bezrobocie, ile kwestia wypełniania sobie czasu, znalezienie sobie jakiegoś zajęcia. Możliwe są jednak wynaturzenia. Na bezrobotnych młodych ludzi oddziaływać będą liczne pokusy. Zjawisko zepsucia wywołanego nadmiarem wolnego czasu (*pollution of leisure*) jest już obecnie przedmiotem analiz i troski socjologów, pedagogów społecznych i polityków.

Ład społeczny w znacznym stopniu zależy od zwartości zbiorowości ludzkiej. Naturalny patriotyzm i poczucie przynależności do społeczeństwa przestały być czynnikami spajającymi ludzi, zwłaszcza że nastąpiła relatywizacja norm moralnych głoszonych przez religie i erozja autorytetów politycznych. Powstaje coś w rodzaju próżni społecznej, w której zarówno porządek jak i cele społeczne ulegają niszczeniu. Ludzie zachowują się w sposób charakterystyczny dla sytuacji kryzysowych. Reagują przede wszystkim na bieżące wydarzenia i niebezpieczeństwa. W ten sposób można eliminować symptomy kryzysu, ale nie jego przyczyny. Wspomnianą próżnię wypełnia prymitywny materializm i konsumizm. Ale są to w pewnym sensie antywartości czy też kontrwartości.

Potrzebna jest koncepcja, wspólna wizja jutrzejszego świata, takiego, jaki chcemy ukształtować. Co mogłoby ułatwić stworzenie takiej wizji? Trzeba odrzucić ideę wspólnego wroga jako źródło motywacji do działania. Dwie inne idee: prawa człowieka i demokracja, wydają się płodniejsze. Jednak i prawa człowieka, i demokracja mają swoje ograniczenia. Prawa człowieka leżą u podstaw procesu demokracji, ale przecież nie wystarczają, aby zbudować nową strukturę społeczną, wykreować rynek lub osiągnąć wzrost gospodarczy. Erozę demokracji powoduje rozszerzenie się biurokracji oraz niekompetencja i ospałość administracji.

Samopoczucie wspólnoty jest złe. Nic może być dobre, jeżeli się zważy ogrom problemów i nieprzewidywanych dychotomii: dysproporcję między bogactwem a biedą; między tymi, którzy mają dostęp do wiedzy i informacji a tymi, którzy go nie mają; dyskryminację mniejszości religijnych i etnicznych; brak współzależności między prawami a obowiązkami, przywilejami a odpowiedzialnością, między zdyscyplinowaniem a swobodami; brak równowagi między potrzebami materialnymi a duchowymi; brak porozumienia między elitami a masami.

Jak znaleźć rozwiązanie problemów?

W drugiej, krótszej części „Pierwszej rewolucji globalnej” autorzy starają się przekonać czytelników, że są w stanie zaproponować wyjście z sytuacji, w jakiej znalazła się ludzkość. Chodzi o przyjęcie kodeksu (systemu) wartości, który mógłby być dla społeczeństw i polityków podstawą stosunków międzynarodowych i oparciem dla decyzji dotyczących całej planety. Systemy etyczne, które ewentualnie zostaną przyjęte, muszą jednak uwzględniać różnice kulturowe i pluralizm.

Trzy kwestie wydają się najpilniejsze: przedstawienie przemysłu wojkowego na potrzeby cywilne, skuteczne przeciwdziałanie efektowi cieplarnianemu oraz opracowanie na nowo strategii rozwoju świata zmierzającej ku pokonaniu nędzy i zacołania.

ZBROJENIA. Likwidacja lub choćby tylko przedstawienie przemysłu zbrojeniowego na produkcję dóbr konsumpcyjnych i innych artykułów codziennego użytku jest zadaniem bardzo trudnym. Wymaga ogromnego wysiłku organizacyjnego i zdecydowanej woli politycznej. Tzw. kompleks wojskowo-przemysłowy jest bardzo silny i wcale nie kwapi się do samolikwidacji. Sami zaś pracownicy zakładów zbrojeniowych nie będą chyba zbyt chętni do przekwalifikowywania się. Klub Rzymski odwołuje się do opinii publicznej i mediów, które powinny wywrzeć presję na polityków i sfery wojskowo-przemysłowe, aby – zwłaszcza obecnie, gdy napięcie w stosunkach międzynarodowych zdecydowanie osłabło – wymusić demontaż wielkiej i marnotrawnej maszyny wojennej.

EKOLOGIA. Jeśli chodzi o kompleks zagadnień ekologicznych, to według oceny Kinga i Schneidera dotąd koncentrowano się na redukowaniu lub eliminowaniu zanieczyszczeń i ograniczeń czynników powodujących degradację środowiska. Były to działania terapeutyczne. Obecnie Ziemi zagraża ocieplenie, które może wywrócić dotychczasowy porządek gospodarczy i społeczny. I właśnie ten problem jest obecnie priorytetowy. Zdaniem autorów raportu należy podjąć – równocześnie – następujące działania: zredukować emisję CO₂ w skali światowej, co będzie wymagało zmniejszenia zużycia paliw kopalnych; odbudować lasy, zwłaszcza na obszarach tropikalnych; rozwijać alternatywne źródła energii, oszczędzać energię i wykorzystywać ją efektywniej.

NĘDZA. Trzecie spośród najpilniejszych zadań jest elementem rozstrzygającym dla pierwszej rewolucji globalnej.

Według ocen Banku Światowego (1980) miliard istot ludzkich w krajach tzw. Południa żyje obecnie poniżej progu absolutnej nędzy przy dochodzie mniejszym niż 370 dolarów na głowę rocznie. Polityka rozwojowa w krajach tzw. Trzeciego Świata była nicudolna, a często nawet zdecydowanie błędna. Trwa ponury wyścig pomiędzy przyrostem ludności a rozwojem. Autorzy raportu proponują: zrewidować założenie, że rozwój wszystkich krajów i wszystkich kultur musi koniecznie postępować śladem krajów uprzemysłowionych; więcej uwagi poświęcić poprawie rolnictwa; na nowo określić sposoby ustalania cen na surowce; umacniać i wspomagać inicjatywy lokalne i organizacje pozarządowe. Podjęcie tych zadań będzie wymagało decyzji niepopularnych, kosztownych i bolesnych. Północ będzie musiała się podzielić swym bogactwem z Południem. Styl życia i wzorzec konsumpcji w krajach uprzemysłowionych będzie musiał się zmienić, natomiast w krajach rozwijających się musi nastąpić wyzwolenie inicjatywy i jednocześnie większe zdyscyplinowanie i determinacja w dążeniu do poprawy sytuacji. Będziemy musieli się zmienić, albo znikniemy z powierzchni Ziemi. Realizacja przedstawionych najpilniejszych zadań uwarunkowana jest umiejętnością przystosowania się do zmian, jakie nieustannie przekształcają Ziemię. Przetrwanie okresu przejściowego, a także osiągnięcie gotowości do nieustannych przyszłych koniecznych przystosowań są w stanie umożliwić według autorów raportu trzy czynniki: wykształcenie, a ściślej nauczanie się zdobywania wiedzy, osiągnięcia nauki i techniki oraz oddziaływanie środków masowego przekazu.

Motywacje i system wartości

Spółeczeństwo światowe, które powstaje, musi czerpać ze źródeł wartości moralnych i duchowych, które kierują jego dynamiką. Jaki ma być ten nowy system wartości moralnych i duchowych? Czy tradycyjny system wartości został porzucony i skazany na zapomnienie? Czy wszelkie wartości duchowe zostały raz na zawsze odrzucone?

Na te pytania autorzy publikacji odpowiadają następująco. Wartości duchowe wyrugowała inwazja materializmu, a dodatkowy zamęt dotyczący wartości wynika z kryzysu głównych religii, które nie potrafią się dostosować do świata podlegającego bezustannym przemianom. Wartości moralne ulegają znacznej erozji także dlatego, że ludzie i stowarzyszenia, które je głoszą, jawnie je ignorują. Rozprzężenie obyczajów, egoizm i materializm sprawiły, że wydają się niepo-

trzebne. Autorzy Raportu Klubu Rzymskiego twierdzą jednak, że duża część tradycyjnych wartości moralnych jest nadal aktualna, choć może przybierać inne formy z powodu zmiany warunków. Wśród trwałych wartości wymienią wolność, prawa człowieka i obowiązek przyjmowania na siebie odpowiedzialności, życie rodzinne, równe prawa dla mężczyzn i kobiet, pomoc dla starych i upośledzonych, szacunek dla bliźnich, tolerancję, szacunek dla życia i pokoju, dążenie do prawdy.

Sprawą wiążącą się z wartościami, ale jednak odrębną jest etyka ekologiczna. Podejście etyczne nie było dotąd przedmiotem refleksji i troski decydentów politycznych i gospodarczych. Teraz jednak, kiedy zdarzają się klęski ekologiczne, kiedy wymóg stworzenia trwałego społeczeństwa światowego (*sustainable world society*) jest sprawą życia lub śmierci, potrzebne są normy etyczne, ekoetyka.

Światu potrzebna jest również etyka w stosunkach międzynarodowych. Mogłby to być zbiór zasad, będący wspólnym mianownikiem historii, kultury i wartości wyznawanych przez różne narody.

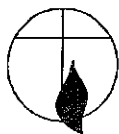
W świetle nauki Kościoła

Spójrzmy na niektóre tezy raportu przez pryzmat nauczania społecznego Kościoła katolickiego. Sprawą kluczową jest rozwój. Klub Rzymski poświęca tej kwestii wiele uwagi od początku swej działalności. Wydaje się jednak, że postulat opracowania nowej strategii rozwoju świata jest tyleż słuszny, ile ogólnikowy. I chociaż w książce znajdują się także nieco bardziej konkretne propozycje, jak dzielenie się bogactwem z biednymi czy zmiana stylu życia i wzorców konsumpcji, to nadal są to tylko pobożne życzenia. Na tym tle nauczanie Kościoła katolickiego o rozwoju integralnym imponuje wręcz swą głębią. Jan Paweł II w „*Sollicitudo rei socialis*” mówi o nowej optyce, o ukazaniu moralnego wymiaru rozwoju. Z kolei kiedy King i Schneider mówią o solidarności, mają nadzieję, że nasza biologia i nasz egoizm mogą być potężnymi sprzymierzeńcami w tworzeniu się tej solidarności. Solidarność, zdaniem autorów – może być pobudzona przez powszechne zrozumienie zagrażających wszystkim niebezpieczeństw. Jednocześnie, choć mówi się o wewnętrznym rozwoju jednostek, to głosi się nieskuteczność religii. Co więc ma być główną motywacją rozwoju wewnętrznego człowieka? Strach przed zagładą, nauka i wykształcenie oraz system wartości *uwzględniający różnice kulturowe i pluralizm* mają niejako wymusić nasz rozwój wewnętrzny i solidarne współdziałanie. W nauczaniu Kościoła o rozwoju wymiar

moralny jest zdecydowanie mocniej podkreślany. Mówi się o grzechu i o nawróceniu. Pojęcia grzechu i nawrócenia mają dla chrześcijan znaczenie teologiczne, wiążą się z relacją człowiek – Bóg. W swym dążeniu do wzniesienia się ponad religie autorzy jakby mimochodem bagatelizują je. W zamian proponują świecką etykę ekologiczną, która ma być zakotwiczona na nieco chwiejnych wartościach *uwzględniających pluralizm*. Komponenta religijne w książce Kinga i Schneidera jest wyraźnie spłaszczona, równoważna, a może mniej ważna niż inne: gospodarcza, kulturowa, polityczna. Myślę, że szanse na przetrwanie Ziemi i jej mieszkańców daje prawdziwe radykalne nawrócenie, ewangeliczne „zatrącenie siebie” na rzecz bliźniego. Ale takie nawrócenie, zwalczanie w sobie żądy zysku czy pragnienia władzy następuje przy pomocy łaski Bożej. To właśnie Bóg, który kieruje ludzkimi sercami, może za sprawą swego Ducha przemienić *serca kamienne w serca z ciała* („Solicitududo rei socialis”, 38). W tym kontekście zgadzam się w pełni z opinią, że praca przedsięwzięta na rzecz integralnego rozwoju człowieka jest w pewnym sensie nie tylko autentycznym sposobem ewangelizacji, lecz także sposobem na uratowanie świata, próby sekularyzacji życia społecznego zaś są de facto wynierzone w środowisko naturalne człowieka i w samego człowieka.

Na tytułowe pytanie „jak przetrwać?” można więc odpowiedzieć następująco: przez praktykowanie solidarności rozumianej jako postawa moralna, cnota, zaangażowanie dla dobra bliźniego *służenia mu*, zamiast uciskania go dla własnej korzyści (Łk 22,25-27).

Stanisław Latek



Nauka i teologia „I”, czyli problem metody

Z grubsza rzecz biorąc w dziejach relacji nauk eksperymentalnych i teologii da się wyróżnić trzy okresy. W pierwszym, a więc w dobie Oświecenia, relacje te przybierały najczęściej postać konfliktu. Rodzące się dyscypliny przyrodnicze, w których zasadniczą rolę odgrywały matematyka i eksperyment, stwarzały sobie stopniowo przestrzeń niezależności od teologii i autorytetów administracyjnych Kościoła. Ich emancypacja była jednym ze źródeł sekularyzacji, a później także sekularyzmu. Osiągnięciom eksperymentalnej techniki towarzyszył często naiwny racjonalizm i scjentyzm – wiara w niewyczerpalne możliwości rozumu, siłę nauki i nieograniczony postęp. Rezultatem tego był pozytywizm oraz teoria „światopoglądu naukowego” na płaszczyźnie filozoficznej. Oba nurty łączyło przeświadczenie, że jeśli metody empiryczne są w jakiejś dziedzinie nieskuteczne, to stanowi ona obszar iluzji, pytania zaś, na które nie da się za ich pomocą odpowiedzieć – bezsensowne. W konsekwencji postulowano eliminację: religii, metafizyki i teologii. Nie sposób opisywać wszystkich reakcji i prób odpowiedzi tej ostatniej. Wystarczy zasygnalizować, że większość znanych współcześnie dyscyplin teologicznych rodziła się właśnie w okresie Oświecenia. Nietatwa kwestia syntezy naukowości i wymiaru kościelnego tych dyscyplin złączyła się z problemem wyrażenia stosunku wobec szybko rozwijających się – i to w opozycji do teologii – nauk matematyczno-przyrodniczych. Teologia dogmatyczna, teologia moralna, ascetyka, a szczególnie apologetyka, przybrały w związku z tym postać zdecydowanie defensywną. Postawie polemicznej teologii towarzyszyły działania duszpasterskich „instancji kontrolnych”, wyrażające się w potępieniach wielu odkryć naukowych i cenzurze dzieł przyrodniczych oraz kosmologicznych.

Okres drugi zaczął się zarysowywać w związku z podjęciem refleksji filozoficzno-naukowej i metodologicznej nad odrębnością podmiotu i metod rozmaitych dziedzin ludzkiego poznania. I tak np. z jednej strony ustalono, że teologia nie może zastępować nauk matematyczno-przyrodniczych i zajmować się odpowiedzią na pytania typu: Jak powstał świat? Jak się rozwijały formy życia na Ziemi? Z drugiej strony stwierdzono, że sama nauka *nie może dać pełnej odpowiedzi na pytanie o sens*. Wypowiedzi naukowe są zawsze cząstkowe, są

w procesie postępu i mogą być korygowane i przekraczane (...). Żadna ze szczegółowych nauk nie może nawet postawić pytania o sens w ramach swoich założeń (Jan Paweł II, Kolonia, 15 XI 1980). Wszelako to uzasadnione rozróżnienie płaszczyzn metodologicznych stało się często usprawiedliwieniem braku współpracy teologii i nauk szczegółowych, zwłaszcza na poziomie uniwersyteckim i w zakresie formacji przyszłych duchownych. W postaci skrajnej przyniosło ono owoce w postaci teologii dialektycznej po stronie protestanckiej i biblicyzmu po stronie katolickiej.

W trzeciej fazie dostrzeżono wyraźniej, że doświadczenie człowieka, właśnie doświadczenie pytania o sens, ale także doświadczenie miłości, wartości i otwartości na świat przekracza sferę eksperymentu, a zarazem domaga się włączenia tej ważnej sfery aktywności ludzkiej w obręb możliwych odpowiedzi. Postulowane zmiany dotyczą głównie przełamania izolacji teologii i nauk szczegółowych (w tym także dyscyplin zajmujących się człowiekiem i społeczeństwem), przy zachowaniu ich odrębności metodologicznej. Odrębność ta nie powinna bowiem oznaczać separacjonizmu, a staranne rozróżnienie płaszczyzn badawczych nie musi stanowić ostatecznego punktu dojścia we wzajemnych poszukiwaniach. Rzeczywistość jest jedna.

Na podstawie świadomości autonomii obu dziedzin i rozległości ludzkiego doświadczenia postuluje się zatem podejmowanie wszechstronnego i ożywiającego je wzajemnie dialogu. Rzecz jednak w tym, że najczęściej pozostaje się w sferze postulatów. Nie uniknął tego również Avery Dulles, teolog amerykański z kręgu teologii fundamentalnej. *Aczkolwiek sytuacja wciąż jeszcze jest zbyt płynna, by osiągnąć trwałe syntezy* – pisze Dulles – *długa wojna między naukami a teologią zbliża się ku końcowi, natomiast rozpoczyna się nowa era przyjaźni i współpracy*¹. Otwarte pozostają jednak pytania: Jakimi metodami – wobec podkreślonych różnic – prowadzić do współpracy obu dziedzin? Jak lepiej określić sytuację, aby osiągnąć wspomniane trwałe syntezy? Jakie podjąć działania natury praktycznej? Na te kwestie usiłuje dać odpowiedź prezentowany tekst. Zostaną w nim pokazane trzy współczesne próby wypracowania modelu współpracy teologii i nauk szczegółowych: M. Hellera, A. Ganozzy'ego i W. Pannenberg'a. Na koniec, tytułem podsumowania, przedstawię zarys syntezy i kilka uwag dotyczących podstawowych warunków współpracy.

¹ A. Dulles, *Nauka a teologia*, artykuł z 1990 r., „PP” 11/1993, s. 244.

Teologia nauki

Ks. Michał Heller, wybitny specjalista w zakresie kosmologii i filozofii nauki, w książce „Nowa fizyka i nowa teologia”², zaproponował stworzenie nowego kierunku teologicznego, określanego przezeń mianem teologii nauki. Wydaje się, że postulat jest zarazem próbą nakreślenia metod współpracy nauk szczegółowych i teologii. Autor przypomina, że celem Objawienia nie było i nie jest uczenie prawd o funkcjonowaniu natury czy przekaz informacji zaspokajających ludzką ciekawość, ale darowanie się Boga, który wprowadza człowieka w świat wartości zbawczych. W tym kontekście teologia nauki nie chce uzupełniać tego, o czym milczy Objawienie, ani czynić z Boga kogoś w rodzaju Bonhoefferowego *zapychacza dziur*. Ma być natomiast refleksją krytyczną nad danymi Objawienia, które pozwalają spojrzeć na naukę jako wartość autentycznie ludzką, przełamać wzajemną nieufność i poszukiwać korelacji. W takim ujęciu wchodziłaby ona w obszar *teologii rzeczywistości ziemskich*, stanowiąc rodzaj teologicznej refleksji nad faktem istnienia, podstawami, metodami i wynikami nauk przyrodniczych. Heller, z racji swoich poszukiwań badawczych, mniej zajmuje się antropologią. Jednakże zagadnienie włączenia jej w obręb teologii nauki nie znika z pola jego zainteresowań. Jeśli – twierdzi – teologia ma mieć wymiar antropologiczny, to nie może zrezygnować z dialogu z takimi naukami, jak psychologia, genetyka, socjologia itp., które wprowadzają człowieka do końca nie pojmą, ale bez których nie może być dzisiaj mowy o jakimkolwiek jego rozumieniu.

W programie wyraźnie dostrzega się, że teologia nie jest refleksją nad postępem i wynikami nauk, lecz nad treściami Objawienia. Podkreśla się jednak fakt, że jej refleksja musi się dokonywać w kontekście rozumienia świata i człowieka przez te nauki. Podstawowym zadaniem tak pojętej teologii jest tworzenie poprawnej i aktualnej koncepcji stworzenia. Teologia nauki rozważałaby po prostu konsekwencje faktu, że nauki empiryczne badają świat stworzony przez Boga, spoglądając na ich rezultaty ze strony niedostępnej dla empirii, np. w aspekcie wartości. Jako cele drugorzędne, ale doniosłe praktycznie, autor wymienia: dążenie do współpracy fakultetów teologii i fakultetów nauk szczegółowych, położenie większego nacisku na kształcenie w zakresie kosmologii, fizyki, biologii humanistycznej

² Wydawnictwo Diecezji Tarnowskiej 1992, por. omówienie w „PP” 2/1993.

i psychologii w seminariach, formację księży w tych dziedzinach, wreszcie ukazywanie w debatach teologicznych bardziej pozytywnego obrazu nauk empirycznych, postępu naukowego i samych naukowców.

W sumie dość schematycznie jeszcze zarysowany projekt M. Hellera ma jakby strukturę dwustopniową. Chodzi wprawdzie o refleksję filozoficzno-naukową i teologiczno-naukową nad faktem istnienia nauk eksperymentalnych, „badalnością” świata i człowieka, granicami empirii, możliwościami korelacji modeli empirycznych i modeli teologicznych.

Na drugim poziomie, konkretnych traktatów teologicznych, Heller postuluje ich opracowywanie w kontekście rozumienia tworzonego przez nauki. Z jednej strony – jak można domniemywać – dlatego, że np. eschatologia, pozostająca w izolacji od badań medycyny, tanatologii, Near Dead Experiences czy etnologii, staje się mało zrozumiała i niewiarygodna dla współczesnych. Z drugiej – bo badania tych nauk mogą rzucić nowe światło na koncepcję, język i zakres problemów poruszanych w traktacie „O rzeczach ostatecznych”.

Oba poziomy projektu Hellera domagają się konkretnych „rozpraw architektonicznych”. To zadanie głównie dla teologów. A. Ganoczy i W. Pannenberg już podjęli wyzwanie.

Teologia natury

Alexandre Ganoczy, profesor dogmatyki z Würzburga, postuluje tworzenie teologii natury. W książce „Poszukiwanie Boga na drogach natury”³ Ganoczy stwierdza, że ludzie wszystkich kultur przez postrzeganie, obserwację i refleksję nad naturą kosmosu i człowieka interpretują ją jako dzieło stwórczej Mocy, którą pojmują panteistycznie lub monoteistycznie. Czynią to w ramach codziennego doświadczenia, medytacji filozoficznej i kultu religijnego. Istnieją zatem rozmaite logoi teologii naturalnej. Wszystkie jednak zakładają rozumienie natury jako stworzenia.

Dla Jezusa – podkreśla Ganoczy – było sprawą oczywistą, że natura kosmosu i człowieka jest księgą, w której można odczytać teologię. Zwłaszcza w przypowieściach czynił z niej autentycznego *kaznodzieję Boga* (G. Bornkamm).

³ *Die Suche nach Gott auf den Wegen der Natur*, Düsseldorf 1992.

Św. Paweł nazywa ludzi, którzy idą wyłącznie taką drogą teologii naturalnej... poganami. Niezbyt to zachęcające, ale Ganoczy zaraz przypomina, że apostoł narodów rozumie pod tą nazwą osoby wrażliwe religijnie i poszukujące prawdy, a zamknięte – z tych bądź innych przyczyn – na orędzie chrześcijańskie. Bóg wszelako objawia się im (Rz 1,19) właśnie poprzez stworzenie: *Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła* (w. 20). To samo dotyczy zachowań etycznych: *Gdy poganie, którzy prawa nie mają, idąc za naturą, czynią to, co prawo nakazuje (...) wykazują oni, że treść Prawa wypisana jest w ich sercach, gdy jednocześnie sumienie ich staje jako świadek* (2,14-15).

Jak wiadomo, I Sobór Watykański i II Sobór Watykański (DS 3004; DV nr 3;6) opierając się na tekstach Pawłowych zdefiniowały naukę o możliwości naturalnego poznania Boga. W kontekście tych orzeczeń dialog pomiędzy teologią a naukami przyrodniczymi wydaje się pożądanym. Powstaje tylko problem, jak łączyć *racjonalną lekturę świata* z refleksją religijną, teologiczną.

Tak oto powróciłem do naszego zasadniczego pytania. Jako odpowiedź na nie Ganoczy proponuje – jak już wspomniałem – uprawianie teologii natury. W punkcie wyjścia powinna ona brać pod uwagę te interpretacje, które odwołują się do Boga jako ostatecznej zasady wyjaśniającej. Od początku jednak różni się od teologii naturalnej, która wychodząc od świata „dowodziła” istnienia Boga. W teologii natury kierunek jest niejako odwrotny: chodzi o zrozumienie empirycznie uchwyconej rzeczywistości świata i człowieka w świetle już rozpoznanej i zreflektowanej rzeczywistości Bożej.

Jest oczywistym faktem, że nauki matematyczno-przyrodnicze nie mogą przyjmować doświadczenia Boga w punkcie wyjścia swych badań – metoda eksperymentalna wręcz wyklucza takie postępowanie. Wszakże w wyniku tych badań pojawia się dzisiaj cała sieć pytań, która – jak mawiają fizycy teoretyczni – domaga się wyższej płaszczyzny wyjaśnienia. Max Planck w „Religion und Wissenschaft” napisał, że w religii Bóg stoi w punkcie wyjścia, a w naukach przyrodniczych u kresu drogi myśli, jako zwieńczenie konstrukcji światopoglądowej. To zwieńczenie rozmaite nosi imiona: Bóg, Sens, Plan, Tajemnica, Stawanie się, ale jego poszukiwanie – oczywiście już z pozycji filozofii nauki czy też zainteresowań światopoglądowych samego naukowca – jest dzisiaj faktem powszechnie znanym.

Metoda badawcza, którą Ganoczy postuluje w ramach teologii natury, nosi nazwę metody responsoryjnej (responsorische Methode). Składa się ona z trzech kroków:

1. Prezentacja pytań stawianych przez naukowców (np. Einsteina, Plancka, Jordana, Heisenberga, Hawkinga), które mają znaczenie dla teologii. Pojawiają się one najczęściej przy podejmowaniu tematów interdyscyplinarnych, np. przestrzeni i czasu, autoorganizacji ewolucji, początku i kresu kosmosu, duszy i ciała, zła itp.

2. Konfrontacja wspomnianych pytań z teologią systematyczną o wyraźnym obliczu biblijnym i mistycznym, np. z teologią stworzenia. Wiąza się z tym oczywiście postulaty wobec samej teologii. Pozostając wierna tradycji powinna mieć ona postać otwartego systemu i nauki prawdziwie poszukującej; potwierdzać specificum christianum, ale też bronić się przed postawą z gruntu apologetyczną.

3. Synteza wyników dialogu. Chodzi o wykazanie, że język naukowy i filozoficzno-naukowy – na różnych poziomach obszarów badawczych – jest komplementarny w stosunku do języka teologicznego. Oczywiście należy przy tym unikać tzw. fizykoteologii, a więc np. wyjaśniania natury Ducha Świętego przez odwołanie się do teorii pola fizyki atomowej.

Znaczenie postulatów Ganoczy'ego i jego metody wynika przede wszystkim z rozróżnień teologii naturalnej oraz określenia tej ostatniej jako dyscypliny poszukującej zrozumienia naukowych opisów świata i człowieka w świetle Objawienia i teologii. Wydaje się natomiast, że Ganoczy ograniczył punkt wyjścia teologii natury. Niebezpieczeństwa tego unika Wolfhart Pannenberg.

Metoda krytycznego przyswojenia

Wolfhart Pannenberg, pracujący w Monachium teolog protestancki, w dwóch książkach: „Antropologia w perspektywie teologicznej”, i „Teologia systematyczna” (t. 2)⁴, wypracowuje metodę kooperacji nauk empirycznych, zwłaszcza antropologii, z teologią. Założeniem

⁴*Anthropologie in theologischer Perspektive*, Göttingen 1983; *Systematische Theologie*, t. 2, Göttingen 1991. Na temat metody „krytycznego przyswojenia” zob. H. Seweryniak, *Antropologia i teologia fundamentalna. Studium antropologii teologiczno-fundamentalnej Wolfharta Pannenberg*, Płock 1993, s. 30-34; por. też omówienie w niniejszym zeszycie „PP”, ks. Stanisław Nagy, *Odnowa teologii fundamentalnej*.

metody, zwanej metodą krytycznego przyswojenia (*kritische Aneignung*) jest to, że ze względu na wspomnianą linię demarkacyjną, a także uwarunkowania pozytywistyczne współczesnej mentalności, teologia i nauki eksperymentalne znalazły się na przeciwnych biegunach myśli. W świadomości współczesnej człowiek jawi się jako „struktura świecka”, tj. taki, jakim widzą go i badają antropologie eksperymentalne: medycyna, genetyka, psychologia czy socjologia. Wszelako kontekst ideologiczny, w którym rodziły się antropologie szczegółowe, oraz modus procedendi pozwalają w ich wynikach doszukiwać się wymiaru religijnego – wziętego w nawias lub zredukowanego do „komponentów świeckich”.

O co chodzi w tak enigmatycznie sformułowanym – przyznaję – zdaniu? W „*Anthropologie in theologischer Perspektive*” Pannenberg odwołuje się przede wszystkim do zagadnienia relacji teologii ze wspomnianymi naukami o człowieku, nazywanymi często antropologiami szczegółowymi lub regionalnymi. Także w jego mniemaniu genezy tych nauk należy się dopatrywać w epoce Oświecenia, kiedy z ram psychologii metafizycznej wyszła *doctrina humanae naturae*, omawiająca człowieka nie w kategoriach metafizycznych czy teologicznych, ale empirycznie w jego związku z całą naturą. Zdaniem Pannenberg współczesne spychanie problematyki religijnej poza obręb badań, np. psychologii eksperymentalnej, biologii humanistycznej czy socjologii, jest przedłużeniem oświeceniowej emancypacji antropologii z „iluzyjnych” uwarunkowań metafizycznych i teologicznych.

Również metoda Pannenberg ma strukturę trójstopniową:

1. Przyswojenie podstawowych fenomenów antropologicznych opisanych przez nauki o człowieku i antropologię filozoficzną.

2. Reinterpretacja danych biologii humanistycznej, psychologii, socjologii czy historii w celu odzyskania zapoznanych przez nie elementów religijnych. Ukazuje się tu implikacje religijne np. otwartości na świat (*Weltöffentlichkeit*), pęknięcia egzystencjalnego, podstawowej ufności, historyczności, zabawy, mowy czy reprezentacji politycznej. Wykazuje się zarazem, że zaciemnienie podstaw czy odniesień religijnych tych fenomenów powoduje niewystarczające rozpoznanie i prezentację.

3. Pogłębienie teologiczne. Na tym etapie pojawia się korelacja pomiędzy „krytycznie przyswojonymi” fenomenami antropologicznymi a biblijnymi tematami obrazu Bożego, godności osobowej, grzechu, zmartwychwstania, teokratycznego modelu społecznego itp.

Próba syntezy

U kresu wędrówki z Hellerem, Ganoczym i Pannenbergiem widać wyraźnie, że problem dotyczy nie tylko samej metody integracji wyników nauk szczegółowych i teologii. Jeśli chodzi o wspomniane nauki, łączy się on ze sprawą ich otwartości i świadomości ograniczeń, w przypadku zaś teologii – ze starą problematyką wiarygodności chrześcijaństwa⁵.

Często, jak to określił Ganoczy, sami naukowcy zadają sobie *explicit* pytania natury religijnej albo tworzą konstrukcje włączające wyniki ich badań w Wyższy Porządek (słynna metafora „świata płaszczków”, idea „religijności kosmicznej” A. Einsteina, naukowy mit o „Czarnej Chmurze” F. Hoyla itp.). Inna sprawa, że rzadko odwołują się oni do teologii, zwłaszcza katolickiej. Stereotypy dają tu jeszcze mocno znać o sobie. W jednym z wywiadów Pannenberg skarży się, że jego „Antropologia w perspektywie teologicznej”, najbardziej bodaj „dialogiczne” dzieło z zakresu współczesnej antropologii chrześcijańskiej, nie spotkała się właściwie z żadnym oddźwiękiem w szeroko rozumianym środowisku naukowym czy kulturalnym Niemiec. Innym razem pytania pod adresem teologii są zawarte *implicit* w naukowych opisach zjawisk czy skutkach eksperymentów i w interesie teologów leży ich wydobywanie na światło dzienne. Już sama tego rodzaju zdolność dialogu, bez względu na wyniki współpracy, przyczynia się do uwiarygodnienia chrześcijaństwa w oczach współczesnych.

Poszukiwanie dróg kooperacji nie jest poszukiwaniem „dowodów istnienia Boga”. Opierając się na fundamentalnych pytaniach współczesnych nauk eksperymentalnych oraz odzyskując wymiary *sacrum* przez nie zaciemnione lub zepchnięte na margines, wykazuje się, że do struktury ludzkiej podmiotowości należy ukierunkowanie na nieskończoność, sens istnienia kosmosu i człowieka, osobową pełnię itp. Według argumentacji ateistycznej w idei Boga chodzi o przezwyciężalną iluzję, która wiąże się z przejściową fazą rozwoju ludzkiego. Istotą tej argumentacji jest przeświadczenie o zbędności religii do

⁵ W tym kontekście K. Rahner pisał o „arogancji”, „częściowej utracie wzroku” i „chorobie zawodowej” naukowców oraz o Kościele, który był bardziej skłonny do tego, aby mówić „nie” niż „tak” w obliczu odkryć i wynalazków naukowych (por. K. Rahner, *Zum grundsätzlichen Verhältnis von Theologie und Naturwissenschaft*, w: F. Böckle u.a. (red.), *Christlicher Glaube in moderner Gesellschaft*, t. 3, Freiburg u.a. 1981, s. 42-44.

właściwego zrozumienia człowieka. Jeśli to przeświadczenie dałoby się utrzymać na drodze naukowej, wówczas teologia, dyskurs o Bogu byłyby bezprzedmiotowe. O ile zaś uzasadni się tezę przeciwną, a więc tezę, że religijność łączy się na rozmaite sposoby z naszym człowieczeństwem, a wykazanie związku porządku kosmicznego z porządkiem religijnym jest sensorodne – teologia staje się możliwa⁶. Jej podstawowe założenie badawcze stanowi założenie jedności wyników nauk szczegółowych, doświadczenia egzystencjalnego (zwłaszcza etycznego) i Objawienia.

Nieodzowna jest większa przejrzystość metodologiczna w projekcie teologii natury. Jej pierwszy etap stanowią: systematyzacja i krytyczna ocena pytań stawianych explicite teologii przez naukowców; „wyławianie” kwestii natury religijnej zawartych implicite w wynikach nauk szczegółowych; stawianie własnych pytań w odniesieniu do tych badań, w których zaciemnienie wymiaru religijnego, jego zepchnięcie na margines lub wręcz pominięcie łączy się z niewłaściwym wyjaśnieniem badanego fenomenu.

W tym sensie teologowie powinni pytać np.: Co oznaczają „tajemniczość” i „religijność kosmiczna” u Einsteina? Czy badania Hawkinga nie zawierają implicite – wbrew jego deklaracjom – pytań religijnych? Czy genezę języka można wyjaśnić bez odwołania się z jednej strony do kultu, a z drugiej – zdolności symbolicznych o wyraźnym charakterze religijnym? Czy ludzkie pytania o sens życia, sens czynienia dobra i zła nie domagają się integracji płaszczyzny empirii na płaszczyźnie teistycznej?

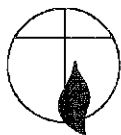
Rezultatem pierwszego etapu jest niejako wstępne ujęcie rzeczywistości chwytej empirycznie w świetle rzeczywistości stwórczo-zbawczej. Nie może się ono dokonać bez właściwego planu i pogłębienia teologicznego. Właśnie na tym poziomie pojawia się największe niebezpieczeństwo, polegające na „syntezach pospiesznych” bądź pozornych z elementami mistycyzmu wschodniego czy gnozy chrześcijańskiej; syntezach, w które obfituje literatura z kręgu New Age. Dysponując rozległą panoramą, np. teologii stworzenia, soteriologii, teologii łaski czy eschatologii, teolog musi uczciwie i kompetentnie wskazywać miejsca „zawijania się” obu płaszczyzn, ale także momenty rozdarć, o których bądź teologia, bądź nauki eksperymentalne nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa.

⁶ Por. W. Pannenberg, *Das Glaubensbekenntnis*, Gütersloh 1979³, s. 33.

Inny, zasadniczy element teologii natury powinna wreszcie stanowić refleksja nad ujęciami Objawienia, a więc nad samą teologią, w kontekście rozumienia świata wydobywanego przez nauki empiryczne o świecie i człowieku. Jak słusznie zauważa N.M. Wildiers, zmiana wizji kosmosu, człowieka, jaka dokonała się pod wpływem nauk empirycznych, musi pociągnąć za sobą i już pociąga zmianę obrazu Boga, idei stworzenia, wizji grzechu pierworodnego, poglądów na wcielenie czy odpowiedzialność człowieka za świat. Chodzi ostatecznie o odpowiedź na pytanie: Co ma oznaczać Chrystus dla ludzkości żyjącej dokonaniem Galileusza i Einsteina, zdobyciami medycyny, informatyki i komunikacji? Podejmowane wciąż nowe próby odpowiedzi na te pytania nie oznaczają, oczywiście, że dewizą teologii natury stanie się pozytywistyczne: *nie ma tajemnic – są jedynie problemy*⁷. Wchodząc na drogę kooperacji, drogę wspólnego wędrowania z naukami eksperymentalnymi teologia pamięta, że każde nowe odkrycie, eksperyment, doświadczenie dają asumpt do kolejnych pytań, że świat nauki jest światem ciągłego przekraczania i korygowania wyników, modeli i paradygmatów. A zarazem coraz lepiej uświadamia sobie, że jej podstawowym zadaniem jest zrozumienie jedności całej rzeczywistości w Bogu.

ks. Henryk Seweryniak

⁷ Por. M. Wildiers, *Obraz świata a teologia*, Warszawa 1985, s. 175-238.



Odnowa teologii fundamentalnej

ks. Henryk Seweryniak, *Antropologia i teologia fundamentalna. Studium antropologii teologicznofundamentalnej*, Płock 1993, ss. 222

Po przemianach społeczno-politycznych 1989 r. teologia polska będzie coraz częściej musiała zmierzać się z tematami, które dotąd stanowiły tylko wtórny przedmiot jej zainteresowań, m.in.: sekularyzacją, liberalizmem, postmodernizmem czy obrazem człowieka ukształtowanego przez współczesne nauki i filozofie. Zwłaszcza to ostatnie zagadnienie, pozornie natury teoretycznej, ma duże znaczenie dla poszukiwań teologicznych. Nauki humanistyczne, a w szczególności dyscypliny dotyczące człowieka i społeczeństwa (psychologia, antropologia kulturowa, socjologia, historia itp.), opierając się na pozytywistycznym ideale wiedzy, opisują człowieka w oderwaniu od rzeczywistości religijnej. Obraz humanizmu, który w głównej mierze z nich właśnie dobywa kultura współczesna – nie bacząc na ograniczenia metodologiczne, a często ekstrapolacje ideologiczne – jest siłą rzeczy areligijny.

Studium ks. Henryka Seweryniaka jest świadectwem, że polska teologia fundamentalna włącza się w nurt poszukiwań będących odpowiedzią na opisane wyzwania. Autor obszernej monografii poświęconej hermeneutyce Paula Ricoeura i 60 publikacji teologicznofundamentalnych, eklezjologicznych i teologicznopastoralnych za swojego przewodnika obrał tym razem Wolfharta Pannenberg (ur. w 1928 r. w Szczecinie), myśliciela ewangelickiego, który w sposób bodaj najbardziej zdecydowany spośród współczesnych teologów podjął wyzwanie płynące w kierunku teologii ze strony nauk o człowieku i antropologii filozoficznej typu scjentystycznego (M. Scheler, H. Plessner, A. Gehlen, „wczesny” Ricoeur). Od momentu stworzenia własnego programu antropologicznego w 1961 r. Pannenberg uważa, że teologia fundamentalna powinna włączać w pole swych poszukiwań różnorodne problemy, metody i wyniki badań antropologii szczegółowych i filozoficznych oraz tematyzować je pod kątem implikacji dotyczących wymiaru religijnego bytu ludzkiego. W realizacji tego zadania teolog monachijski objawia wręcz niebywałą erudycję, z łatwością poruszając się w obrębie takich dziedzin, jak psychologia,

socjologia, nauki historyczne, antropologia kultury i antropologia filozoficzna. Zarazem poszerza perspektywę teologicznofundamentalną o kwestie obrazu Bożego, grzeszności, tożsamości osobowej, teologii dziejów i kultury. Samo śledzenie tego rodzaju „tropów” przysparza niemało trudności (także ze względu na skomplikowane słownictwo i mozaikę stylów teologicznych), a tym bardziej ich krytyczne ujęcie. Nie może przeto dziwić, że studium jest pierwszym krytycznym opracowaniem antropologii teologicznofundamentalnej Pannenberg.

W realizacji wytyczonego celu Seweryniak posłużył się – za A. Bronkiem – metodą racjonalnej i życzliwej dla autora rekonstrukcji. Chciałoby się jeszcze dodać: rekonstrukcji ogromnie syntetycznej. Studium zostało bowiem tak pomyślane, aby wydobyć istotę myśli antropologicznej Pannenberg i jednocześnie skrócić do minimum jego „wędrowki” po drogach i bezdrożach dzisiejszej antropologii, debaty z teologiczną tradycją i współczesnością protestancką oraz elementy medytacyjne. Nie jest ono zatem prostą relacją poglądów teologa monachijskiego – słowo „rekonstrukcja” zostało użyte z rozmysłem. Autor dokonuje jej za pomocą dwóch schematów badawczych. Po pierwsze, z bogactwa tematów antropologii Pannenberg opracowuje te, w których znalazła jednoznaczne zastosowanie metoda krytycznego przyswojenia (r. II–VI). Po drugie, prezentuje szczegółowo wydobyte przez teologa monachijskiego implikacje teologiczne współczesnych antropologii, które tradycyjnie są ważnymi tematami teologii fundamentalnej: wymiar religijny człowieka (s. 40–49), objawienie historyczne (s. 106–112), chrystologia (s. 116–119) oraz eklezjologia fundamentalna (s. 151–170). Zarazem w rozbudowanych przypisach ukazuje obecność poszczególnych motywów w rozmaitych pracach teologa monachijskiego i rozwój jego poglądów, a także daje własne propozycje dotyczące strony translatorskiej.

Istotną wartość ma rekonstrukcja – na podstawie rozproszonych po rozmaitych pracach myśli Pannenberg – postulowanej przezeń metody krytycznego przyswojenia jako modelu kooperacji teologii z antropologiami nieteologicznymi. Seweryniak prezentuje funkcjonowanie metody w rozdziałach II–VI. We współczesnej antropologii filozoficznej podstawowego fenomenu wyróżniającego człowieka w świecie istot żywych upatruje się w *otwartości na świat*, inaczej *autotranscendencji*, *ekstazy*, *ekscentryzmie*. W przeciwieństwie do zwierząt, zamkniętych w obrębie instynktów i środowiska, człowiek jest otwarty na przekroczenie instynktów i każdej postaci świata, jakby zwrócony ku nieskończoności, będącej zarazem źródłem jego wolności. Na

tym właśnie polega wymiar religijny „ekscentryzmu ludzkiego”: człowiek odnajduje siebie poza sobą – w nieskończonym „Naprzeciw”. W studium pokazuje się korelacje pomiędzy tak zinterpretowanym tematem autotranscendencji a biblijną wizją człowieka – obrazu Boga.

Ważnym tematem antropologii filozoficznej (H. Plessner, P. Ricoeur) jest także przenikające ludzką egzystencję napięcie pomiędzy otwartością na świat a ego-centryzmem, tj. centralną organizacją życia właściwą kręgowcom, która w człowieku wyraża się przez głód, pragnienie, popęd płciowy, wolę przewodzenia itp. Ego-centryzm zamykający człowieka w sobie i sprzeczny z jego bezkresnym przeznaczeniem, jest w religii powszechnie określany jako grzeszność. Z tej strony należy zatem dostrzec jego wymiar religijny, z drugiej – bronić przed redukcją konfesijną (s. 61–75).

Antropologie psychologiczne i filozoficzne podejmują chętnie od czasów nowożytnych (por. oświeceniowy temat dojrzałości) problematykę tożsamości i godności osobowej. Dokonując jej krytycznego przyswojenia, Pannenberg wykazuje, że „odkrycie” wartości jednostki wobec społeczeństwa oraz jej godności i autonomii dokonało się w świetle biblijnego objawienia indywidualnej odpowiedzialności za popełnione czyny, nadziei na zmartwychwstanie oraz w wierze w Wydarzenie Paschalne jako odniesienie miłości Bożej do każdego człowieka. Zarazem okazuje się, że wielkie hasła współczesności o niezbywalnej godności osobowej wiszą w próżni, jeśli osoby nie pojmie się jako oblicza, przez które objawia się transcendująca je tajemnica Boskiego powołania jednostki do pełnej tożsamości i bycia sobą (s. 79–97).

Nowożytne odkrycie ludzkiej historyczności zakończyło się abstrakcyjnym antropocentryzmem historycznym i *nędzą historyzmu* (K. Popper). Tymczasem – pokazuje za Pannenbergiem autor – to w kręgu objawienia biblijnego, gdzie doświadczenie przemian weszło w obręb świadomości religijnej, ludzie pojęli znaczenie historii dla urzeczywistniania człowieczeństwa. Podobnie struktura antycypacyjna historyczności ludzkiej znajduje swój korelat i wypełnienie w antycypacyjnym charakterze przepowiadania Jezusa o królestwie Bożym i w Jego zmartwychwstaniu (s. 101–109).

Specyficznie ludzkim środowiskiem jest kultura. Przystawiając wyniki badań współczesnych antropologów nad podstawowymi elementami kulturotwórczymi: zabawą, językiem, świadomością, wyobraźnią i twórczością, Pannenberg „odzyskuje” ich związek z symbolami oddającymi *prawdziwy porządek rzeczy* i z kultem. Podobnie

w odniesieniu do podstawowych instytucji życia społecznego (własność, praca, małżeństwo, państwo) wykazuje, że są one nietrwałe i nie realizują swych funkcji bez owego zobowiązującego źródła sensu, jakim jest religia. Cały problem polega na wypracowaniu odpowiedniego modelu kultury teokratycznej (s. 123–147).

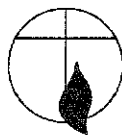
W rozdziale VII ks. H. Seweryniak dokonuje pierwszej, syntetycznej rekonstrukcji eklezjologii Pannenberg. Aczkolwiek w tym fragmencie studium metoda krytycznego przyswojenia nie znajduje zastosowania, to w pismach teologa monachijskiego problematyka eklezjologiczna łączy się ściśle z antropologią – Kościół nie jest celem samym w sobie, ale stanowi antycypację królestwa Bożego. Jego biblijna idea wyraża realizację ostatecznego powołania człowieka i ludzkości. Królestwo, o którego przyjście modli się i któremu służy, nie jest fenomenem całkowicie pozaświatowym i ponadhistorycznym, ale przyszłym przeznaczeniem obecnej społeczności ludzkiej. Już przez sam fakt swojej obecności Kościół pełni w świecie funkcję krytyczną, polegającą na uświadamianiu władzy świeckiej jej tymczasowego charakteru, oraz stanowi apel do integracji człowieka z najgłębszą tajemnicą życia. Urzeczywistni obie te funkcje (społeczno-krytyczną i antropologiczno-integrującą) jedynie bardziej radykalnie zmierzając ku jedności. W ten właśnie sposób może odwrócić negatywne skutki procesów sekularyzacyjnych, które rozpoczęły się w momencie jego rozbicia.

Na czym polega wkład prezentowanego studium do polskiej teologii fundamentalnej? Otóż, dość powszechnie wiadomo, że nie dowartościowywała ona zbytnio wymiaru antropologicznego, idąc zresztą śladami fundamentalistyki katolickiej doby przedsoborowej. Ks. Seweryniak wyraźnie stawia ten problem, zarazem prezentując antropologię Pannenberg jako jedną z najbardziej interesujących obecnie propozycji odnowy struktur wiarygodnościowych teologii fundamentalnej, przez poszukiwanie korelacji danych Objawienia z antropologiami nieteologicznymi i złożonym statusem egzystencjalnym dzisiejszego człowieka. Trudność polega na tym, że w systemie teologicznym Pannenberg nakreślona antropologia *funkcjonuje jako teologia fundamentalna*, właściwie ją zastępując. Autor odrzuca takie ujęcie. Dlatego w ostatnim, kluczowym rozdziale (s. 173–198) przedstawia zarys własnej koncepcji teologii fundamentalnej, w którą wyraźnie wintegrowuje wymiar antropologiczny. Określa ją mianem teologii fundamentalnej w funkcji fundacyjnej i zależnej (apologetycznej). Jej przedmiot stanowi *credibilitas revelationis Dei in Jesu Christo per Ecclesiam*. W tym rozumieniu *teologia fundamentalna jest nauką*

teologiczną, która w sposób otwarty na najgłębsze doświadczenie człowieka swoich czasów i naukowe ujęcie rzeczywistości zajmuje się wiarygodnością zbawczego objawienia Boga w Jezusie Chrystusie i jego uobecniania w misterium i wspólnocie Kościoła (s. 176). W innym aspekcie jest ona nauką teologiczną o profilu apologetycznym, która za pomocą szerokiego wachlarza metod hermeneutycznych ustala historyczność i istotę teologiczną objawienia chrześcijańskiego oraz wiarygodność jego przekazu przez tradycję, strukturę apostołską i diakonię miłości Kościoła w konkretnym kontekście społeczno-ekonomicznym, naukowym i kulturowym swoich czasów (s. 177). Tak określwszy dyscyplinę, autor wypracowuje krótko koncepcję trzech kręgów tematycznych teologii fundamentalnej. Odwołując się do prac ks. T. Rutowskiego, przedstawia też refleksję nad wymiarem naukowym teologii fundamentalnej (s. 179–180) oraz krótki esej poświęcony teologii naturalnej (filozoficznej), o której uprawianie oskarżają Pannenberg i niektórzy autorzy protestanccy w kontekście jego antropologii (s. 182–186). W przeświadczeniu ks. Seweryniaka teologia fundamentalna, *mutatis mutandis*, powinna świadomie realizować najistotniejszą funkcję dawnej teologii naturalnej – funkcję racjonalno-krytycznego uzasadnienia powszechnej wiarygodności orędzia chrześcijańskiego, m.in. przez poszukiwanie jego relacji z naukami o człowieku i naukami matematyczno-przyrodniczymi. Jedną z procedur badawczych tak rozumianej teologii fundamentalnej mogłaby stać się metoda krytycznego przyswojenia (s. 189).

Na koniec jedna uwaga-pytanie pod adresem zaproponowanego przez ks. Seweryniaka projektu teologii fundamentalnej. Czy i jak autor wyobraża sobie włączenie do ograniczonego wykładu kursorycznego ogromnego materiału naukowego, który w praktyce obejmuje dawny schemat wykładu apologetycznego poszerzony o wymiar kontekstualny, może nie ogromny treściowo, ale na pewno bardzo bogaty? A może „projekt” ks. Seweryniaka jest ambitnym planem stworzenia nowej, po „Apologetyce totalnej” ks. W. Kwiatkowskiego, *summa Apologeticae*? Życzliwie będziemy czekać.

ks. Stanisław Nagy



Cmentarza pejzaż semiotyczny (I)

Cmentarz jako przestrzeń trwała

Administracyjno-prawna, mająca zatem istotne – normatywne – znaczenie praktyczne, sformułowana zaś w stosownie urzędowym języku, przyjęta obecnie w Polsce (acz widomie korespondująca ze stosowanymi w innych krajach), definicja CMENTARZA określa go jako *oddzielny teren przeznaczony do grzebania zmarłych, na którym mogły się wyrazić zarysowane w zwyczajowo przyjętej formie wizualnej*¹. Niezależnie od faktu, iż nie jest to definicja sformułowana najzgrabniej, przyznać trzeba, że jest ona o całe niebo trafniejsza od tej, którą daje słownikowe objaśnienie wyrazu „cmentarz”, mówiące, że jest to *miejsce grzebania zmarłych lub przechowywania prochów po ich kremacji*², skoro wiadomie, jak tego dowodzą liczne współczesne przykłady z byłej Jugosławii (w naszych zaś dziejach zdarzenia z okresu powstania warszawskiego), nie każde miejsce, w którym grzebie się zmarłych, jest cmentarzem, gdy niejednokrotnie zwłoki zakopuje się w miejscach o innej założonej i realizowanej funkcji społecznej. Takie bowiem miejsca pochówków doraźnych, z reguły czasowych, pełnią wprawdzie okresowo funkcję cmentarzy, pozbawione są jednak tych najważniejszych właściwości, jakie określają istotę cmentarza³. Istota zaś owa, uzewnętrzniająca się jasno w przytoczonej wyżej definicji urzędowej, polega na tym, że cmentarzem jest pewien wycinek przestrzeni zdelimitowanej na mocy a priori poczynionych postanowień, zakładających, że właśnie na niej realizowana będzie przez daną zbiorowość praktyka grzebania zwłok zmarłych, odpowiadająca wyznaniowym, etniczno-kulturowym (a zatem obyczajowym) i innym, łatwym do określenia, potrzebom danej społeczności. Dlatego za najważniejszą dystynktywną cechę cmentarza uznać wypadnie jego znakową rozpoznawalność. Wynika stąd, że

¹K. Móraski, *Warszawskie cmentarze*, Warszawa 1991, s. 8.

²*Słownik języka polskiego*, pod red. M. Szymczaka, Warszawa 1978, t. 1, s. 309.

³Nie są także cmentarzami, choć ich pewne funkcje pełnią, kolumbaria wewnętrzkościelne, przeznaczone na urny ze spopielonymi zwłokami, jakie nieraz spotkać można w katolickich kościołach w Czechach.

cmentarz jest instytucjonalnie ukształtowanym⁴ wycinkiem przestrzeni zorganizowanym wedle pewnych dyrektyw kulturowych, wyrażających się wprowadzeniem do tego obszaru pewnych, znamiennych dla niej, obiektów i znaków, będących nośnikami łatwo dających się odczytać informacji. Komunikują zaś te informacje, że właśnie tu pochowana została w sposób zgodny z pewnymi zasadami (wiarą) jakaś liczba ludzi. Tak więc, choć bezpośrednim powodem różnych form likwidacji zwłok (zakopywanie ich, palenie etc.) mogą być względy natury estetyczno-higienicznej (acz przede wszystkim – higienicznej), to jednak pochówkiem ów akt staje się dopiero wtedy, gdy jest realizacją wyższego rzędu potrzeb kulturowych. Na tejże zasadzie cmentarzem jest ta przestrzeń grzebalna, na której w sposób stosownie zrytualizowany dokonuje się aktu nie tyle likwidacji, ile właśnie ukrycia w ziemi owych zwłok. Cmentarz jest przestrzenią grzebalną wyznaczoną i, by tak powiedzieć, rządzoną przez dyrektywę kulturową.

Widomym na każdym cmentarzu tego przejawem jest jego swoista, znamienne cmentarna infrastruktura, mająca wieloaspektowy, wielopiętrowy charakter znakowy. Ujmując rzecz najprościej, rzecz można, że fizycznie wręcz wchodzi tu w rachubę dwie warstwy, różnorako zresztą wyposażone w różnorakie nośniki znaczeń. Z nich pierwszą jest oczywiście poziom, na którym umieszczone zostały zwłoki. Zazwyczaj poziomem tym jest głębia ziemi, w której umieszczono – w trumnie czy bez niej, w całunie, odziane bądź nagie, zwłoki. Jest bowiem znamienne, że eksponowanie odkrytych z mumifikowanych zwłok (np. relikwii) dokonuje się w specjalnie do tego celu albo wyzyskanych, albo przeznaczonych, sakralnych bądź na różne sposoby usakralizowanych, pomieszczeniach zamkniętych: kościołach⁵, mauzoleach czy panteonach (takich jak paryski). Są one wyrazem nowożytniej, a właściwie już romantycznie nowoczesnej tendencji do „muzealizacji” miejsca grzebalnego. Nie wdając się w dalsze nad tym rozważania i ograniczając zainteresowanie li tylko do cmentarzy w ścisłym tego słowa znaczeniu, warto jednak zauważyć, że nie można utożsamiać ze sobą „kościół-cmentarzy” (ergo kościołów jako miejsca pochówku) i muzealnej dyrektywie przyporządkowanych

⁴Pojęcie instytucji rozumieć tu trzeba szeroko – może nią być także występująca w społecznych interakcjach rodzina.

⁵Por. K. Cieślak, *Kościół – cmentarzem. Sztuka nagrobna w Gdańsku (XV-XVIII w.)*, Gdańsk 1992.

panteonów i mauzoleów, takich jak paryski, niezależnie bowiem od ich związku z tradycją „kościół jako cmentarzy”, wywodzą się one z romantycznego sposobu pojmowania idei pamiątki⁶. Genetycznie bowiem ta forma mauzoleów jako pomieszczeń o funkcji pamiątkowo-muzealnej wiąże się z romantycznym i postromantycznym przenikaniem się form prywatnego i publicznego kultu zmarłych. Jest ona też rezultatem romantycznie „muzealnego” traktowania takich obiektów jak katedra w Westminsterze; dopiero romantyczne pokolenie nauczyło się je zwiedzać⁷.

Na cmentarzu – w ścisłym i zgodnym z przyjętą definicją znaczeniu tego słowa – owa ukryta, podziemna warstwa, w której ukryte, pochowane, by nie rzec – schowane – zostały zwłoki, jest bodaj zawsze pozbawiona znaków, mających prymarnie pełnić jakąś rolę w międzyludzkiej komunikacji. Przedmioty, z którymi grzebano lub grzebie się umarłych, mają bowiem w świadomym założeniu jakieś znaczenie li tylko dla jego pośmiertnego bytowania, znaki zaś bądź znakowo nacechowane przedmioty o funkcji magicznej (obol pod językiem zmarłego, inskrypcje w niedostępnych miejscach umieszczane w piramidzie, krzyże wkładane do rąk zmarłych czy pełniący tę samą rolę różnec, tabliczki wkładane do rąk grzebanym arianom – z napisem: *Scio cui credidi*⁸, służyły do komunikacji zmarłego z Bogiem, z bóstwem, miały zatem znaczenie dla komunikacji metafizycznej z zaświatami. Z apriorycznego zatem założenia nie wchodziły one w zakres komunikacji społecznej. Jeżeli zaś w wyniku np. badań archeologicznych dokonuje się jakieś odczytanie ich znaczeń, wprowadzanych następnie w obieg społeczny, to mamy tu do czynienia z klinicznie czystym wtórnym systemem semiologicznym, faktycznie ujawnionym za sprawą naruszenia grobowego „tabu”, w istocie zatem – świętokradztwa. Podziemna warstwa cmentarza kryjąca w sobie zwłoki jest zatem z natury rzeczy niedostępna dla ludzkiego oglądu,

⁶ Por. M. Ragon, *L'espace de la mort. Essai sur l'architecture, la décoration et l'urbanisme funéraires*, wyd. Albin Michel, Paris 1991, s. 103-120 (zwłaszcza s. 104-106). O romantycznej pamiątce i jej związkach z cmentarzem zob. I. Opacki, *Poezja romantycznych przełomów*, Wrocław 1972, s. 75-95; J. Jania, *Sztambuch – jego geneza i kształtowanie się*, „Litteraria” IX/1979, s. 39-41; o romantycznej analogii cmentarz – sztabuch pisałem w: *Wiersze z cmentarza*, Wrocław 1985, s. 39-40.

⁷ Por. K. Lach-Szyma, *Anglia i Szkocja. Przypomnienia z podróży roku 1820-1824 odbytej*, Warszawa 1981, s. 449-464. Tamże ciekawe uwagi o przepełnieniu przykościelnych cmentarzy miejskich.

⁸ Por. Z. Głogier, *Encyklopedia staropolska*, Warszawa 1972², t. 1, s. 70.

stając się sferą uświęconej tajemnicy – i ta właśnie tajemniczość decyduje o jej zdolności kulturowego generowania różnych treści wierzeniowych, wyobrażeniowych, apokryficznych, poetyckich wreszcie. Zamknięcie bowiem grobu, jego zasypianie, przykrycie płytą, symboliczno-magiczne zamknięcie przez postawienie krzyża – wyznaczają fizyczną granicę między światem zmarłych a światem żywych. Przełamanie, przekroczenie tej granicy – wszystko jedno, z której strony, czy przez żywych, wkradających się w tajemnice grobu⁹, czy przez zmarłych, wychodzących z grobu w postaci wampirów-upiórów czy innych widm – w powszechnych niemal wierzeniach oznacza stworzenie istotnego, niezwykle poważnego zagrożenia dla ludzi żyjących. Związane z tym systemy wyobrażeń i wierzeń, należących zwykle do folkloru słownego, mają kilka bardzo istotnych znaczeń kulturowych, z których dla naszych celów najważniejsze jest znaczenie tabuistyczne, zabraniające naruszania grobu, rozkopywania go, a nawet zabierania z niego czegokolwiek, tak przedmiotów w nim złożonych jak i elementów jego infrastruktury zewnętrznej.

Spójecznie zatem funkcjonalny i wchodzący w ramy międzyludzkiej komunikacji zespół znaków tworzą z apriorycznego założenia li tylko elementy zewnętrzne, tworzące infrastrukturę cmentarza, jawnie dostrzegalne, widome i celowo eksponowane. To za ich sprawą dokonuje się identyfikacja danej przestrzeni jako cmentarza, w ślad zaś za nią bliższe jego określenie w kategoriach wyznaniowych, etnicznych, społecznych, kulturowych, a także oczywiście chronologiczno-historycznych, nie mówiąc o ewentualnych innych, np. estetycznych czy emocjonalnych. Choć sprawa wygląda na prostą, tu w istocie mamy do czynienia z największymi komplikacjami i trudnościami badawczymi.

Rzecz ujmując z punktu widzenia informacji przekazywanej przez ową infrastrukturę, znakiem wskazującym na istnienie cmentarza jest istnienie w zdelimitowanej przestrzeni pewnego zbioru jawnie wizualnie wyodrębnionych mogił. W istocie też cmentarz jest zbiorem usytuowanych w przestrzeni mogił – zewnętrznych znaków, wskazujących na to, że pod nimi pogrzebani zostali – w liczbie mnogiej – jacyś ludzie, przy czym organizacja przestrzeni wskazuje, iż mamy tu do czynienia ze świadomym powołaniem w danym miejscu przestrzeni grzebalnej jako miejsca, na którym ich zwłoki leżą dlatego, że tu

⁹Warto tu przypomnieć legendarne wręcz opowieści o nagłych zgonach badaczy egipskich piramid i grobów królewskich na Wawelu.

zasadniczo (prócz pewnych wyjątków indywidualnych) leżeć powinny. Zgodnie zatem z terminologią Edwarda T. Halla cmentarz jest fenomenem PRZESTRZENI TRWAŁEJ¹⁰, której znamioną cechą jest to, że stanowi ona coś w rodzaju formy odlewniczej, modelującej większą część naszych zachowań. To właśnie miał na myśli Winston Churchill, gdy mówił: „Kształtujemy nasze budynki, a one kształtują nas”¹¹. Uformowaniu zatem przez człowieka pewnego kanonicznego modelu przestrzeni grzebalnej zwrotnie towarzyszy zdeterminowanie przez tę przestrzeń kanonu ludzkich na niej zachowań, przy czym zmienność tych zachowań w czasie jest niewielka i powolna, dokładnie tak samo, jak niewielka i powolna jest zmienność cmentarza jako przestrzeni funkcjonalnej – trwałej. O powolności tych zmian z jednej strony decyduje niezmiennosc funkcji cmentarza (o szybsze zmiany łatwiej jest w budowie domu mieszkalnego czy choćby kuchni, w której pojawienie się nowych technologii sporządzania posiłków siłą rzeczy determinuje zmiany w strukturze przestrzeni), z drugiej – tabuistyczny jego charakter. To bowiem, co się na cmentarzach pojawia w roli elementów jego infrastruktury, chronione jest nie przez reguły natury estetycznej (smak, dobry gust), ale przez zasadę tabu – uszanowania w kulturze chrześcijańskiej zasady świętości ciała zmarłego, w innych kulturach poszanowania majestatu śmierci itp. Na takiej zasadzie cmentarz prawie zawsze i prawie wszędzie jest swoistą enklawą konserwatywnego kulturowego. Szczególnie widoczne jest to w kulturze żydowskiej¹².

Wspólnota zmarłych i żywych

Zewnętrzną infrastrukturę cmentarza, zdelimitowaną przez jego ogrodzenie (z bramą) albo przez zasięg kawałka ziemi poświęconej na cmentarzach wyznaniowych¹³, tworzą elementy różnorakie: mogiły ziemne z krzyżami bądź stelami, grobowce, kaplice cmentarne bądź kościoły, względnie inne obiekty pełniące rolę domów pogrzebowych, ewentualnie także usytuowane odpowiednio stosowne oznaki wyznaniowej przynależności cmentarza (krzyż) bądź jego funkcji (tablice ze

¹⁰ E.T. Hall, *Ukryty wymiar*, Warszawa 1978, s. 144-149.

¹¹ Tamże, s. 148.

¹² Por. P. Woronczak, *Specyfika kulturowa cmentarzy żydowskich*, Katowice 1993.

¹³ O roli ogrodzenia por. S. Sikora, *Cmentarz. Antropologia pamięci*, „Polska Sztuka Ludowa”, nr 1-2/1986, s. 58-59.

stosownymi inskrypcjami). Jednakże regułą wyznaczającą quantum satis istnienia cmentarza jest wspomniana funkcjonalna delimitacja przestrzeni wypełnionej grobami. Tak widziany cmentarz jawi się zatem jako zdelimitowany przestrzennie zbiór grobów. Zakodowana w zbiorowej pamięci wiedza nie tyle z faktu istnienia nagrobka i pomieszczonej na nim inskrypcji epitafijnej, ile właśnie z samego tylko dostrzeżenia grobu-mogily powinna wydobywać przejmującą informację: tu leży człowiek – to był człowiek! W powszechnej jednak praktyce, od której wyjątki są nieliczne i mają z reguły charakter szczególny¹⁴, emocjonalny, kultowy, a zatem nacechowany kulturowo stosunek do poszczególnych grobów (a w związku z tym i do cmentarza jako zbioru grobów) dokonuje się za sprawą indywidualnej, personalnej konkretyzacji zmarłego, o której informuje nagrobna inskrypcja, niejednokrotnie informacyjnie uzupełniana przez symboliczne znaki plastycznego wystroju grobu. Dzieje się tak za sprawą faktu, iż – jak to zauważył Roch Sulima – *grób, nagrobek, napis jakby „równoważy” i zastępuje emocjonalną oraz społeczną przestrzeń zmaterializowaną kiedyś wokół zmarłego, symbolizuje człowieka*¹⁵. Świadome czy podświadome odczucie tego zjawiska prowadzi – tak w życiu różnych zbiorowości (narodu, społeczności lokalnej), jak i w realizacjach indywidualnych – do kilku znamiennych i ważnych dla semantycznej ekspresji cmentarzy zjawisk.

Pierwszym nich, najsilniej może rzucającym się w oczy (rzadko jednak uwzględnianym w badaniach nad cmentarzami, zbyt często sprowadzających się do sporządzania ksiąg adresowych zmarłych na danym cmentarzu pochowanych), jest tendencja do budowania wielopoziomowego i wielojęzycznego systemu informacji onomastycznych, peryfrastycznych i symbolicznych, zwykle siłą rzeczy wyrażanych zwięźle, a zatem w języku symboli; informacji, które identyfikują zmarłego (zmarłych) tworzą substytucję jego (ich) życiowych doko-

¹⁴ Na cmentarzach śródmiejskich „anonymowość” grobu była zjawiskiem normalnym i powszechnym niemal w całej Europie do końca XVIII w.; trwałe pomniki grobowe stawiano na nich nielicznym osobom. Dziś ta „anonymowość” zmarłego bywa przedmiotem szczególnych manifestacji (Grób Nieznanego Żołnierza); tendencja do niej pojawiła się także współcześnie w skali szerszej w Czechach, gdzie spotkać można na cmentarzach sporo grobów opatrzonych tylko imieniem zmarłego bądź programowo pozbawionych jakiegokolwiek inskrypcji identyfikacyjnej. Znamienne to jednak, że na grobach nieznanymi osobami (cmentarze wojenne) często kładzie się napis: N.N.

¹⁵ R. Sulima, *Słowo o etos*, Kraków 1992, s. 90.

nań bądź choćby tylko zajęć, czynności wypełniających życie (identyfikacja zawodu w epitafiach), miejsca zajmowanego w społeczeństwie (rodzinie, grupie zawodowej, społeczeństwie, narodzie). Chodzi tu zatem o rozległą sferę informacji biograficznych¹⁶. Semantyka grobu i cmentarza operuje tu wyraźnym systemem aksjologicznym. Następnym tego jest pojmowanie cmentarza jako zbioru grobów w roli „społeczności umarłych”¹⁷. Jej obraz jest oczywiście projekcją często życzeniowych wyobrażeń o nich, jakie mają pozostali przy życiu, stąd sposób identyfikowania i wartościowania tej społeczności daje także, wyraźny nieraz, obraz kultury żyjących, którzy cmentarz w dany zespół znaków wyposażyli.

Zjawiskiem drugim, również znamionym, jest tendencja do pewnego rodzaju – najczęściej emocjonalnego, ale nie tylko – zawłaszczania, a w każdym razie „oswojenia” grobu i w konsekwencji cmentarza. Fakt, iż grób zastępuje emocjonalną i społeczną przestrzeń zmaterializowaną kiedyś wokół zmarłego (to raz jeszcze R. Sulima), sprawia, że grób pełnić poczyną rolę przestrzeni intymnej, stając się na przykład substytutem DOMU. Bardzo liczne i różne są tego przykłady. Z jednej strony tendencja ta ujawnia się w budowaniu wielkich grobowców, z często wyeksponowanym motywem drzwi (uchylone wejście do domu wieczności¹⁸). Z drugiej strony wchodzi tu proste identyfikowanie grobu jako domu, takie jak na grobie Franciszka Karpińskiego, wyobrażającym skromny domek z napisem: *Oto mój dom ubogi*, bądź takie, jakie nie od dziś pojawia się na polskich cmentarzach, gdy skrót D.O.M. (Deo Optimo Maximo) rozumiany

¹⁶ J. Trzynadłowski (*Małe formy literackie*, Wrocław 1977, s. 67-68) wyróżnia onomastyczną i peryfrastyczną część epitafium; generalnie jest to podział słuszny, cechą jednak semantyki grobu jest, iż przekazuje ona informacje o człowieku już przez sam fakt jego istnienia, czego konsekwencją jest częste zlecenie funkcji informacyjnej elementom symbolicznym (plastycznym) i słownym – peryfrastycznym. Nie umniejsza to uniwersalnej funkcji elementów peryfrastycznych, służących głównie do przekazywania treści sentencjonalnych.

¹⁷ Por. np. S. Szenic, *Cmentarz Powązkowski 1790-1850. Zmarli i ich rodziny*, Warszawa 1979; tenże, *Cmentarz Powązkowski 1851-1890. Zmarli i ich rodziny*, Warszawa 1982; tenże, *Cmentarz Powązkowski 1891-1918. Zmarli i ich rodziny*, Warszawa 1983; J. i E. Szulcowie, *Cmentarz Ewangelicko-Reformowany w Warszawie. Zmarli i ich rodziny*, Warszawa 1989; T. Kikta, *Nekropol farmaceutyczny. Cmentarz Powązkowski w Warszawie*, Warszawa 1985; S. Potępa, A. Sypek, M. Trusz, *Cmentarz stary w Tarnowie. Przewodnik*, Tarnów 1991.

¹⁸ Por. J. Białostocki, *Symbole i obrazy w świecie sztuki*, Warszawa 1982, t. 1, s. 158-186.

jest po prostu jako DOM, co prowadzi do wyposażania grobowców w napisy typu: DOM RODZINNY X, DOMEK WIECZNEGO SPOCZYNKU RODZINY Y. Warto jednak zdać sobie sprawę i z tego, że nawet tak uproszczona interpretacja owego skrótu (D.O.M.) zawiera genetyczny ślad interpretacji biblijnej, wedle której opuszczenie doczesnego ziemskiego mieszkania staje się wejściem do *domu wiecznego*, powtórzeniem Chrystusowego powrotu do *domu Ojca*¹⁹. Ma to zjawisko charakter szerszy, wiąże się również z tradycją egipską i rzymską, nieprzypadkowe są też jego różne konotacje folklorystyczne, w świetle których grób jest pośmiertnym domem zmarłego²⁰. Ta zaś intymność grobu (a w ślad za nim cmentarza) sprawia, że w epigrafice nagrobnej mamy bardzo często do czynienia z bezpośrednimi zwrotami czy to żyjących do zmarłych, czy vice versa, determinuje ona zatem pojawienie się pewnych, znamiennych dla cmentarzy, form komunikacji językowej, intensyfikujących bogactwo i wielość form komunikacji prowadzonej w języku epigrafiki i plastycznej symboliki grobu oraz cmentarza. Będąc w każdym przypadku wspólnotą umarłych, cmentarz staje się zarazem wspólnotą żywych skupiających się wokół „swoich” (ma to znaczenie szerokie: swój to ktoś, kto należy do wspólnoty rodzinnej, zawodowej, wyznaniowej, etnicznej) zmarłych, ten zaś fakt powoduje powstanie jeszcze jednej wspólnoty łączącej żywych z umarłymi. Cmentarz jest zatem przestrzenią, w której dokonuje się symboliczne przezwyciężenie opozycji żywi – zmarli, co dla jego znakowego wyposażenia ma bardzo istotne znaczenie. Zjawisko to dobrze ilustruje stara łacińska sentencja nagrobna: *Quod sum eris, quod es antea fui* (byłem, kim jesteś, jestem, kim będziesz), nie przypadkiem wzbogacana czasem przez przydane do niej słowa: *Módlmy się za siebie nawzajem*.

Trzecią wreszcie ważną konsekwencją zauważonego przez Sulimę faktu, iż grób z jego znakowym wyposażeniem słownym i plastycz-

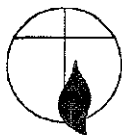
¹⁹ Por. 2Kor 5,1 n; 1Kor 15,53; D. Forster OSB, *Świat symboliki chrześcijańskiej*, Warszawa 1990, s. 369; M. Ragon, dz. cyt., s. 35-152 (rozdz. *Les maisons des morts*).

²⁰ Por. H. Biegelsen, *U kolebki – przed ołtarzem – nad mogiłą*, Lwów 1929; W. Gąsienica Byrcyn (*Dostać orelki i inne opowiadania*, Kraków 1992) relacjonuje w literackiej formie autentyczne zdarzenie: słynna „Babka z Rusinowej Polany” włożyła przed pogrzebem zmarłemu mężowi do kieszeni papierosy, zapomniała jednak o zapalnicach, co stało się powodem wielkiej jej rozpacz, gdy już po zasypaniu mogiły uprzytomniła sobie ten fakt. Celebryjący pogrzeb kapłan włożył wówczas w ziemię grobu zapalnicę, mówiąc jej, że gdy zmarły będzie ich potrzebował, to sobie po nie sięgnie, co płaczącą natychmiast uspokoiło. Rzecz współczesna!

nym zastępuje zmaterializowaną przestrzeń zajmowaną kiedyś przez zmarłego, jest zauważalnie częste „kompensacyjne” wyposażenie grobu (ale i cmentarza) w jakości i wartości mające symbolicznie wynagrodzić zmarłemu to, co utracił przez fakt zgonu. Mieści się w tym stara pogańska symbolika wkładania do grobu ulubionych przedmiotów zmarłego, a nawet wysyłania za nim „na tamten świat” jego wielu żon, mieszczą się tu także te zjawiska, o których Norwid pisał w pamiętnym wierszu „Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie...”; rzecz dobrze ilustruje tendencja do budowania wystawnych grobowców ukochanym osobom, najczystszy jednak i może najpiękniejszy jej obrazem jest wierszowane epitafium z Cmentarza Rakowickiego w Krakowie (1948):

*Kamień za miłość miłość matki kładzie,
Gdy śmierć stanęła mym synom na zdradzie.*

Jacek Kolbuszewski



sztuka

Z PERSPEKTYWY KOŃCA
STULECIA

*Od „Prometeusza”
do „Człowieka
w przestworzu”
Rzeźby, obrazy i rysunki
Xawerego Dunikowskiego*

wystawa stała w Muzeum
Królikarni –
Oddział Muzeum Narodowego
w Warszawie

Otwarta 16 V 1994 r. nowa wersja wystawy stałej prac artysty jest *wersją pokoleniową, próbą interpretacji sztuki Dunikowskiego z pozycji końca stulecia* – jak głosi tekst wprowadzający. Jej komisarze, Piotr Szubert i Joanna Olszewska, decydując się na dokonanie poważnych cięć i zmian w stosunku do poprzedniej wystawy, pragnęli nadać prezentacji większą zwartość. Jej plastyczny, wysmakowany kształt jest zasługą uczennicy rzeźbiarza – Barbary Zbrożyny.

Poza główną ekspozycją znalazła się cała powojenna twórczość rzeźbiarska Dunikowskiego jako sztuka *oficjalna z ubocznego nurtu*, cykl „Głów wawelskich” – artystycznie

nierówna wprowadzić, ale poznawczo ważna galeria sławnych Polaków tworzona w ciągu pół wieku, także przykłady *należące do sztuki religijnej* oraz inne, nie mieszczące się zdaniem autorów w nowym kanonie, przez który pragnęli oni spojrzeć na biografię i dokonania artysty uwikłanego w historię.

Obecnie pałac Królikarni został zagospodarowany strefowo: wyłączona z ekspozycji „reszta” znalazła się w pomieszczeniach przyziemia, udostępnianych tylko zainteresowanym. Ekspozycja główna zajmuje wysoki parter. Sale I piętra, po zabranii stąd „Głów wawelskich” i pamiątek po artyście, tworzą obecnie ciąg sal w całości przeznaczonych na wystawy czasowe. Większość z nich i przedtem pełniła taką rolę.

W wyniku tych redukcji uzyskano przestrzeń do obszerniejszej niż poprzednio prezentacji malarstwa Dunikowskiego. Do wybuchu II wojny światowej zdominowane przez twórczość rzeźbiarską rzadko pojawiało się na wystawach. Dunikowski malował niewiele. Po 1945 r. sytuacja zmieniła się. Właśnie malarstwo, pozostające poza kontrolą przychylnego mu wszechwładnego mecenasa – ludowego państwa, zapewniało mu poczucie niezależności, na którą nie mógł liczyć w realizacji oficjalnie zamawianych rzeźb i pomników.

Kilka słów o kolekcji prac Dunikowskiego stanowiącej własność warszawskiego Muzeum Narodowego. Powstała ona z dwu legatów artysty, który przekazał państwu w pierwszej kolejności wszystkie eksponaty z wielkiej wystawy re-

trospektywnej zorganizowanej w 1948 r. w Krakowie, a potem w Warszawie. W 1963 r. przekazał w testamencie pozostałe prace oraz pamiątki. Znalazły one schronienie w odbudowanym z wojennych zniszczeń pałacu Królikarni. Otwarcie Muzeum im. Xawerego Dunikowskiego nastąpiło 26 I 1965 r., w pierwszą rocznicę śmierci artysty. Aż do 1991 r. dyrektorem tego oddziału Muzeum Narodowego była Aleksandra Kodurowa. Jej rozległym badaniom zawdzięczamy m.in. rozpoznanie najbardziej dramatycznego etapu życia artysty w latach pobytu w Oświęcimiu oraz wpływu tego doświadczenia na późniejszą jego postawę i twórczość.

Aresztowany w Krakowie i wywieziony 20 VI 1940 r. do obozu koncentracyjnego 65-letni wówczas artysta przeżył w nim do końca. Przeżył cudem. Został uwolniony 27 I 1945 r. przez żołnierzy radzieckich z grupą dogorywających już 1500 więźniów różnych narodowości porzuconych przez Niemców w pośpiechu ewakuacji. Do rodzinnego Krakowa dotarł w stanie krytycznym. Odratowany doszedł jednak do sił wyjątkowo szybko. Już w 1946 r. wrócił do pracy w Akademii. W tym roku też podjął się wykonania pomnika Powstań Śląskich, który stanął na Górze św. Anny. Wrócił też do malarstwa.

Na wystawie kanon prac Dunikowskiego otwiera rzeźba „Prometeusz” z 1898 r., w której ten najzdolniejszy z uczniów Łaszczyki manifestuje znakomite opanowanie warsztatu. Na pograniczu tradycyjnego myślenia o formie i już własnego, syntetycznego, plasuje się

„Portret Matki” – skromny w środkach, bardzo prawdziwy w wyrazie. I trzecia praca z tego samego roku, „Portret Henryka Szczyglińskiego”, wyrażająca już w czystej postaci nowe idee sztuki Młodej Polski.

Granice stuleci przekroczył w okresie rozkwitu młodopolskiego symbolizmu. Bulwersujące odbiorców rzeźby Dunikowskiego z początku stulecia teraz, pod jego koniec, jakby zyskały jeszcze dzięki zawartym w nich treściom. Dramatyczne „Macierzyństwo” z 1904 r., pełne skupienia „Kobiety brzemiennie” z 1906 r. i z tego samego roku niepokojąca „Ewa” to prace wyłamujące się z ram czasu, w którym powstały, choć zdradzające wielorakie z nim powiązania.

Osobliwa wrażliwość na rodzące się impulsy, na wymagania „ducha czasu” nie opuszczała Dunikowskiego do końca długiego życia. W latach I wojny światowej natłok tragicznych i zarazem budzących w polskim sercu nadzieje wydarzeń zaowocował zarówno pokazanym na wystawie projektem „Grobowca Bolesława Śmiałego” z 1917 r. jak i wystawianą obecnie w Galerii Sztuki Polskiej w gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie euforyczną rzeźbą „Idę ku słońcu” ukończoną w tym samym roku.

Okres międzywojenny, w tym pobyt Dunikowskiego w Paryżu w latach 1916-21, to lata stabilizacji, pracy pedagogicznej, realizacji rzeźbiarskich dla krakowskiego kościoła i magistratu. Na wystawie okres ten reprezentują paradne portrety Amerykanek, rzeźby wykonane w gipsie i drewnie, złożone i polichromowane. Tęsknotę za barwą w sposób

bezpośredni wyrażał już wtedy w obrazach. Począwszy od niewielkiego płótna „Wnętrze pokoju z otwartym oknem” (ok. 1916), przez portrety (w tym córki artysty z lat 30.), aż po „Kobietę przy sztalugach” (1940) w pracach przebijają wpływy Ecole de Paris, dążenia do syntezy form, dekoracyjności w zestawianiu dużych płaszczyzn wysublimowanego, rozjaśnionego koloru.

W ekstremalnych warunkach obozowych, uzyskując dzięki pomocy współwięźniów dostęp do niewielkich arkuszy papieru, kredek, węgla, rysował realistyczne portrety kolegów oraz bardziej szkicowo, pośpiesznie, ich sylwetki w obozowej stolarni. Tej wzruszającej bezpośredniości nie odnajdziemy już w parę lat po wojnie podjętym temacie oświęcimskim, w obrazach krzyżujących pogwałconą formą i wyjaśkrawionym kolorem. W ich namietnym proteście. „Boże Narodzenie w Oświęcimiu” (ok. 1950), „Orkiestra” (1955), „Droga do wolności” (1955), „Ruszy” (1955) powstawały w latach Arsenалу, w atmosferze sprzeciwu wobec programowego optymizmu wyłożonego w „składzie zasad” realizmu socjalistycznego. Na wystawie towarzyszą wymienionym obrazom także prace bardziej wyciszone, takie jak „Umierający amarylis” (1951) czy „Babę nieborowskie” (1958) – wyraz zafascynowania prymitywnymi prehistorycznymi rzeźbami kamiennymi z parku w Nieborowie. W tymże roku artysta pracował jeszcze nad malarsko-rysunkową kompozycją zatytułowaną „Człowiek w przestworzu”. Ta nie dokończona praca zamyka na

wystawie przegląd jego twórczości.

W tym roku przypada 30. rocznica śmierci największego po Stwoszu polskiego rzeźbiarza i malarza, który w przejmujący sposób zmierzył się z doświadczeniem oświęcimskiego piekła. Zrośnięte ze swoim czasem, wyrażające wielkość i nędzę ludzkiego losu dzieło Dunikowskiego jest wychylone w przyszłość także dzięki kilkudziesięciu uczniom, którzy studiowali u Dunikowskiego w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, współtworząc polską szkołę rzeźby współczesnej.

Po II wojnie światowej nie ukazała się ani jedna monografia czy album prac tego artysty. Zobowiązania Muzeum Narodowego w Warszawie, głównego dysponenta dorobku Dunikowskiego, wobec artysty tej miary nie powinny się ograniczać jednak tylko do samej ekspozycji i przechowywania jego prac.

Krystyna Paluch Staszkiel



BIEDNY ALLEN...

Teatr Nowy w Warszawie

Zagraj to jeszcze raz, Sam...

Woody'ego Allena

**przekład – Grażyna Dyksińska
i Jerzy Siemasz**

**dekoracje – Krystyna Kamler
kostiumy –**

**Anna Cygoń-Zwolińska
reżyseria –**

**Adam Hanuszkiewicz
premiera 20 IX 1994 r.**

Kiedy w latach 80. Hanuszkiewicz wyreżyserował w teatrze Studio sztukę Woody'ego Allena „Zagraj to jeszcze raz, Sam...”, przez długie tygodnie pod kasami kłębiły się hordy rozgorączkowanych młodych ludzi. Sama widziałam, jak już na widowni odbywało się polowanie z nagonką na studentów Szkoły Teatralnej, którzy przemyślnie zakradli się bez biletu. Przyczyny tego oszołamiającego sukcesu frekwencyjnego łatwo było zrozumieć. Popularność Allena w Polsce osiągnęła wówczas szczyt, w teatrach nieczęsto grano szlachetniejszy repertuar rozrywkowy, a przedstawienie było stosunkowo czysto skomponowane, zabawne, dobre aktorsko. Dzisiaj

Hanuszkiewicz, już we własnym teatrze, na nowo przygotował ten tytuł – i wyłożył się jak długi. W kilka dni po premierze widownia wypełniona była zaledwie w połowie, a i to większość widzów stanowiły wycieczki. Sytuacja się oczywiście zmieniła, publiczność w podobnego rodzaju lżejszych propozycjach teatralnych może przebierać do woli, ale nie dlatego przede wszystkim przedstawienie to poniosło klęskę.

Hanuszkiewicz ma swoją własną, sławną – czy, jak kto woli, osławioną – metodę na teatr. W języku aktorskim istnieje określenie „przepuszczać przez siebie”; otóż Hanuszkiewicz wybrany tekst literacki ma zwyczaj przeważnie tak dokładnie szpikować własnymi pomysłami, że końcowy twór rzadko przypomina materiał wyjściowy. Czy będzie to dramat Büchnera, Corneille'a czy Słowackiego, tak naprawdę autor jest zawsze ten sam – Hanuszkiewicz. Reżyserowi temu zdarzały się oczywiście przedstawienia, w których od swojej metody częściowo odstępował, i były to jego spektakle najlepsze, a w skali bezwzględnej przedsięwzięcia bardzo udane; niestety, tworzą one w karierze Hanuszkiewicza grupę zdecydowanie nieliczną.

Przy okazji ostatniej inscenizacji sztuki Allena mamy do czynienia z typowym produktem przepuszczonym przez Hanuszkiewicza. Sztuczka jest dość biała, ale dowcipna, zaprawiona – jak to u Allena – dość przewrotną chwilami ironią, a zarazem uwodzącą melancholią. Opuszczony przez żonę bohater, skrojony, rzecz jasna, na podobień-

stwo znanego z większości filmów Woody'ego, usiłuje znaleźć sobie dziewczynę. Ów bohater, Allan, fanatyczny wielbiciel „Casablanki”, marzy, by się upodobnić do Bogarta, wobec czego uwodząc kobiety niezdarne przybiera jego pozy, z katastrofalnym oczywiście skutkiem. Dopiero wtedy, gdy porzuca udawanie i staje się sobą, zagubionym, pełnym bezradnego wdzięku okularnikiem, zdobywa prawdziwą miłość – z której jednak własnowolnie zrezygnuje, jako że ukochana jest żoną jego najbliższego przyjaciela. Z tej to prościutkiej i ładnie opowiedzianej historyjki Hanuszkiewicz uformował ciężkie, tandetne i pretensjonalne przedstawienie, pozał się Boże, muzyczne. Przedstawienie, w którym wszystkie zalety sztuki Allena zostały dokumentnie zagłuszone.

W nowojorskim salonie z widokiem na Manhattan zasiadają cały czas pianista z perkusistą, którzy sygnałami muzycznymi i rozmaitymi melodiami punktuja wagę oraz nastrój kolejnych scen. Niektóre z utworów są ponadto śpiewane i tańczone, repertuar zaś jest obfity. Widowni serwuje się m.in. „Summertime”, „Deszczową piosenkę”, „My Heart belongs to Daddy”, „New York, New York”, muzykę dyskotekową i tzw. egzotyczną, a nawet firmowy kurant „Pegaza” (towarzyszy epizodowi z krytyczką sztuki). Choreografia jest żałosna, wykonanie taneczne podobnie, zaś maniera śpiewania kojarzy się z imprezami w nocnych knajpach, i to niekoniecznie w tych kategoriach „S”. Stamtąd też prawdopodobnie przywędrowała do Nowego panienka,

odziana w strój frywolny i niekompletny. tekst Allena pasuje do tego jak pięść do nosa, zostaje więc ugarniowany dowcipami produkcji własnej, którymi zachwyciłby się zapewne Tadeusz Ross.

Już spod tej oprawy nieszczęsny Allen nie uniósłby głowy, ostatecznie dorzynają go jednak aktorzy. Andrzej Niemirski w głównej roli kryguje się i mizdrzy, grając chłop-tasia chutliwego, a porażonego lekkim niedorozwojem umysłowym. Magdalena Cwenówna jako żona przyjaciela dla odmiany mizdrzy się i kryguje, do akcji i przeobrażeń psychicznych swojej bohaterki odnosząc się z uprzejmym roztargnieniem, grający zaś jej męża Robert Tondera zachowuje się jak źle opowiadający dowcipy konferansjer. Swojskiego kolorytu przydaje całosci Julian Merc – Bogart, który najwidoczniej nie mając żadnego pomysłu na tę pickielnię przecież trudną rolę, przyswoił sobie sposób bycia pracownika firmy ochroniar-skiej.

Ten spektakl jest klinicznym wręcz (i pouczającym) przykładem, co się rodzi z myślenia o teatrze w kategoriach hecy, łatwego efekciarstwa i megalomanii. Brak pracy zespołowej, polegającej na składaniu w całość poszczególnych elementów i ról, kompletne lekceważenie tonacji i formy tekstu, wreszcie wynikające z niedopracowania usterki czyśto rzemieślnicze prowadzą do tego, że na scenie panuje budzący politowanie zadyszany chaos. Przygnębiające to wydarzenie teatralne nasuwa niewesołe myśli dotyczące losu młodych aktorów, którzy związali się z Nowym – bo młodzi właśnie

stanowią trzon zespołu. Są wśród nich ludzie niewątpliwie uzdolnieni, choć, naturalną kolejną rzeczą, jeszcze nie uformowani. Co ich czeka w przyszłości, jeśli swój warsztat będą kształtować w teatrze, w którym premiuje się płaskie gierki aktorskie, a nie uczy myślenia o całości roli i jej miejscu w przedstawieniu? Mogą pewnie najwyżej powiększyć zastępy aktorów wycierających się po tasiemcowych serialach telewizyjnych, programach rozrywkowych czy rodzinnych imprezach typu „talk show”. Szkoda by było kilku dobrze zapowiadających się talentów – ale tak naprawdę nie ich mi żal. Nam współczuję, widzom teatralnym.

Joanna Godlewska



**POLSKIE DROGI
W KAZACHSKIM STEPIE**

*Wszystko,
co najważniejsze*
Roberta Glińskiego

Telewizja oprócz codziennego zalewania odbiorców odętami polityki przekazuje czasem bardziej uniwersalne treści. Na przykład proponuje spotkanie z filmem, którego nie zdążyło się zobaczyć w kinie.

Korzyść jest obustronna. Niekomercyjnemu filmowi emisja telewizyjna stwarza szansę dotarcia do szerszej widowni. Przy takiej właśnie okazji obejrzałam późny pokaz (po dwóch latach od premiery i nagrody – Złoty Lwów na festiwalu w Gdyni w 1992 r.) filmu Roberta Glińskiego „Wszystko, co najważniejsze” (emisja 17 IX 1994, I pr. TVP).

Film powstał z inicjatywy autorki wspomnień pod tym samym tytułem – Oli Watowej. Opisała ona swe małżeństwo z komunizującym literatem-futurystą, Aleksandrem, lata 20. spędzone w Warszawie i ucieczkę przed Niemcami na wschód. Już we wrześniu 1939 r. NKWD aresztowało Aleksandra we Lwowie, a Ola z kilkuletnim synem Andrzejem została wywieziona do Kazachstanu. Właśnie okres rozłąki i gheenna zesłańców stanowi główny nurt jej dziennika.

Scenariusz filmu zasadniczo podąża za tokiem wspomnień. Jednakże jest mniej niż one przejmujący. Oglądamy więc w kolejnych sekwencjach: szczęśliwą rodzinę na chwilę przed rozstaniem, zdesperowaną żonę wierzącą uparcie i wytrwale, że mąż przeżyje sowieckie więzienia, wreszcie obóz w rozległym stepie. Już od podróży w bydłych wagonach zaznacza się konflikt między polską gromadą a autorką, która jest z pochodzenia Żydówką. Ola znosi tortury izolacji i sączący się jad antysemityzmu z niewiarygodnym hartem ducha, walczy o przetrwanie i ratunek dla zagrożonego chorobą syna. Ta dramatyczna sytuacja zmusza ją do szukania pomocy wśród Kazachów. Im zawdzięcza ocalenie.

Wśród aktorów na pierwszy plan wysuwają się debiutanci, odtwórcy ról matki i syna: Ewa Skibińska i Adaś Siemion, naturalni i wzruszający w swoich zachowaniach przed kamerą. Na uwagę zasługują również zdjęcia Jarka Szody; ich szczególną urodę można dostrzec choćby w scenie pieczenia barana przy ognisku. Film, który wyciągam z lamusa, nie jest z pewnością dziełem wyjątkowym. Widzom, którzy czytali „Mój wiek”, może się wydać uproszczony, sprowadzony do gawędy o sile miłości. Taki był, jak przypuszczam, zamysł twórców. Wszak Ola Watowa wyznała już w pierwszym zdaniu: *Wszystko, co najważniejsze w moim życiu wiąże się z Aleksandrem*. A jej mąż po latach wyczerpującej choroby zwierzył się w końcowym rozdziale „Dziennika bez samogłosek”: *Czterdzieści lat wiernej czułości i oddania. (...) Błagam Boga, w którego nie wiem, nie umiem wiedzieć, czy wierzę, aby dał jej pogodną starość beze mnie. Błagam ją, ponieważ jesteśmy tak zrośnięci, że niemożliwością jest, abyśmy byli jedno bez drugiego (...)* *Nie zasłużyłem sobie i nie zasługuję na nią*. Film Glinńskiego nie wykracza poza indywidualne wątki bohaterów. Ocenia historię poprzez losy uwikłanych w nią jednostek, w taki sposób opisuje np. akcję zmuszania Polaków do przyjmowania obywatelstwa sowieckiego, tzw. paszportyzacji. Film „Wszystko, co najważniejsze” zamyka scena odnalezienia się rodziny. Ola opisała ją następująco: *Któręś dnia po południu zjawił się Aleksander na progu naszej lepianki. Miał dużą brodę, włosy mu odrosły,*

tyle że bardziej posiwiałe, cerę miał ziemistego koloru, tak właściwą więźniom. Promieniował z niego spokój i szczęście powrotu do nas. Nie wziął paszportu sowieckiego i już od progu pokazywał nam oddany mu przed wyjściem z Trzeciego Oddziału dawny jego dowód osobisty, dowód z pieczętką Rządu Londyńskiego. Epizodu z dowodem nie ma w filmie. Jest tylko wzmianka, że Watom udało się wyjechać na zachód, a ich syn Andrzej mieszka do dziś w Paryżu. Przyznam, że mnie osobiście brakuje w filmie nieco szerszej perspektywy historycznej. Choć może rozmiąm się z oczekiwaniami publiczności?

Dlaczego wracam do historii rodziny Watów przedstawionej w filmie Glinńskiego? Z powodów czysto publicystycznych. Ten film ilustruje częściowo losy Polaków przesiedlonych przez Stalina z Ukrainy. Dopełnia toczącą się obecnie dyskusję o możliwościach repatriacji Polonii z Kazachstanu (por. liczne artykuły w prasie, m.in. K. Renik „Zabierzcie nas do Polski”, „PP” 7-8/1994; J. Wróbel, „Polski Kazachstan”, „Tygodnik Powszechny” nr 38/1994; rubryka listów w „Gazecie Wyborczej”). Jak na razie polskie władze z premierem Waldemarem Pawlakiem niewiele mają do zaproponowania rodakom na obczyźnie. Mówi się raczej o pomocy finansowej, stworzeniu szansy studiowania i osiedlenia w Polsce dla młodych niż o przesiedleniach w pełnym tego słowa znaczeniu. Być może z jednej strony organizacja wielkiej akcji powrotów przekracza możliwości budżetu państwa, a z drugiej trudno ocenić, jak duża

grupa ludzi jest na przyjazd zdecydowana, jednak opieszałość w udzielaniu pomocy może się okazać historycznym błędem. Od 40 lat Polacy – obecnie niemal wyłącznie rosyjskojęzyczni – żyją, mieszkają i oswiają dla siebie wielkomicjską Karagandę i powiatową Kokczetawę, wtapiają się w społeczność Kazachstanu, powracającego do swych islamskich tradycji. Na zawsze pozostaną tam etniczną mniejszością.

Sądzę zatem, że nawet przy okazji recenzji filmowej warto zadać pytanie, czy nie nadeszła już pora, aby na drogach biegnących przez kazachski step pojawił się tak bardzo oczekiwany drogowskaz: Do Polski...

Anna Pietrzak

książki

W ŚWIETLE KRZYŻA

Jerzy Hajduga
Dwa żywioły

Olsztyn 1994, ss. 54

Jerzy Sikora
Zrywanie dekoracji

Norbertinum, Lublin 1993,
ss. 64

Jerzy Szymik
Ziemia niebieska

Norbertinum, Lublin 1994,
ss. 60

Ilu jest u nas księży uprawiających sztukę poetycką, pokazał niedawno Jan Sochoń w antologii księżowskich wierszy. Poezja ta – lepsza i gorsza – obrazuje przede wszystkim pewien fenomen natury psychicznej, mianowicie wpływ stylu życia na potrzebę artykulacji osobistych doświadczeń, w których – siłą rzeczy u księży – przeważają doświadczenia duchowe. Nie wiem, czy życie wewnętrzne księży rzeczywiście jest bogatsze od życia wewnętrznego innych śmiertelników,

sam fakt pisania wierszy świadczy w każdym razie o skłonności niektórych z nich do artystycznej ekspresji w słowie. Co jednocześnie mogłoby być dowodem na bliskie związki sztuki z sacrum, a więc z przedmiotem ich obcowania na co dzień. Wiele z tych książkowych wierszy ma, niestety, charakter sentymentalnych prób bezpośredniego zwierzenia albo jednowymiarowych impresji na temat doznań oczywistych – bez potrzeby przetworzenia tych doznań w wartości strictly poetyckie. Są wszakże wśród dzieł księży-poetów także dokonania wybitne, wystarczy przypomnieć wielotomikowy, legendarny już dorobek Jana Twardowskiego czy – przede wszystkim – mądrą, przenikliwą, autoironiczną, autentycznie odkrywczą poezję zmarłego w tym roku Janusza Pasierba. Można tu również wymienić twórczość wspomnianego Jana Sochonia, który własną sztukę poetycką łączy z poważną działalnością krytyczno-literacką i eseistyczną. Można by wyróżnić jeszcze kilku innych księży, a zbiory trzech z nich – trzech Jerzych! – właśnie niedawno do mnie trafiły.

Jerzy Hajduga, autor pięciu zbiorów poetyckich, wydał dzięki życzliwości przyjaciół wybór wierszy z cyklem nowych utworów pt. „Zamilczenia”. Jego poezja konsekwentnie realizuje postawę wstrzemięźliwości językowej, jest wierna poetyce niedomówień, właśnie – zamilczeń. Chyba żaden utwór Hajdugi nie przekroczył dwudziestu wersów, a przeważają utwory bardzo krótkie – parowersowe. Poeta wyznaje więc wiarę w materialną jak gdyby war-

tość słowa: oszczędność tworzywa ma służyć kondensacji treści przesłania. Najkrótszy wiersz z cyklu „Zamilczenia” brzmi: *Za lasami, za / drzewem*. Rzeczywiście, trudno byłoby użyć mniej słów do wyrażenia idei przestronności, tajemniczości świata i zarazem tej jego cechy, którą zwykliśmy nazywać niepoznawalnością, a która okazuje się najczęściej tylko ułomnością naszych zmysłów, ograniczeniem zdolności percepcyjnych. Zdarza się, że właśnie za owym symbolicznym *drzewem* kryje się przedmiot naszych poszukiwań, cokolwiek to jest: kwiat, mrówka, światło, Bóg... A jednocześnie owo *drzewo* może być ostatnią i ostateczną przeszkodą w dotarciu do istotnego znaczenia tego, co ukryte. Wiersze Hajdugi trzeba czytać z wielkim skupieniem, aby wśród słów, których poeta czytelnikowi skąpi, nie przegapić prawdy jego sztuki. A jest to bardzo ludzka prawda smutku i nadziei, bólu, czułości i wiary. Lakoniczna forma tych wierszy powoduje, że cały zbiór Hajdugi robi wrażenie intymnego szkicownika, w którym sprawy prywatne mieszą się z publicznymi, przeszłe z teraźniejszymi, wzniosłe z przyziemnymi, a nad wszystkim, w przestrzeni ponadzmysłowej, rozpościera się krzyż – symbol miłości i cierpienia. Niekiedy ta nieodwołalna obecność krzyża w świadomości i wyobraźni poety prowokuje go do wyznań pełnych buntu i żalu, jak w wierszu „Już mało w Tobie człowieka”. Częściej jednak doświadczenia dotknięcia krzyża artykułują się niedopowiedzeniem lub prostą sentencją, w których także krzyż objęty zostaje mądrą

akceptacją, a niekiedy nawet przewrotnym żartem, jak w tym trójwierszu:

*Dobrze czasem pomyśleć
że ta gwiazda co mruga
spoufala mnie z niebem*

Jerzy Sikora, poeta i krytyk literacki, w swoim czwartym zbiorze wierszy prezentuje, rzec by można, syntetyczną wrażliwość na moralny i estetyczny wymiar istnienia. Dobro i piękno stanowią dla niego jakby namacalne dowody transcendencji, jawią się jako siła przezwyciężająca wszelkie absurdy egzystencjalne. Heroizm istnienia nagradzają chwile weruszeń, bezinteresowne zachwyty świata: *rankiem łowiąc motyle na łące / niespodziewanie widzę Boga / w kropli rosy drży nagi / nie ma Nic / Jest*. W tej poezji słoneczny, franciszkański stosunek do rzeczywistości miesza się z poczuciem zagrożenia, lękiem i – mimo wszystko – wiarą w szczęśliwe rozwiązanie kłopotów z istnieniem. W aforystycznych pointach swoich wierszy Sikora często ujawnia tę właśnie wiarę w zwycięstwo dobra i piękna nad złem i brzydotą codzienności: *idę ku Tobie / gdy za sobą coś pozostawiam; jesteśmy zebrakami szczęścia / chodźmy po kweście zapominając / że należało zacząć od siebie; w tej zwyczajności odkryć piękno / znaczy / zmartwychwstać*. Relacjonując swoje zwyczajne, codzienne kontakty ze światem, poeta co krok odnajduje znaki obecności Boga. Wzruszające są jego wiersze o zmysłowym pięknie kobiet, takie jak „Ona”, „Pretty women u szewca”, „W gęstwinie twoich włosów” czy

króciutki liryk bez tytułu zakończony takim żartem: *Co na to Bóg? // zagapił się razem ze mną*. Hołd składany przez poetę pięknu w każdej postaci doskonale koresponduje z jego wyobrażeniem o terapeutycznej funkcji poezji. W wierszu „List do samego siebie” formułuje artystyczne credo, które powinno stanowić dewizę życiową nie tylko poety:

*stać mnie na to – powtarzaj sobie
wiedząc dobrze że każde słowo
może być ostatnie*

Jeśli poezja księży Hajdugi i Sikory dotykając wprost słowem rzeczywistości tego świata niejako ucłowiecza się nimi, sprowadzając także Boga na ziemię, między wszystkie nasze codzienne sprawy, twórczość ks. Jerzego Szymika można by uznać za poezję olśnień, ciągle odkrywanie niezwykłego w tym, co zwyczajne. I jeśli Hajdudze i Sikorze krzyż kojarzył się z ciężarem i cierpieniem, dla Szymika jest przede wszystkim dotykaniem światła. Mottem do „Ziemi niebieskiej”, piątego zbioru wierszy poety, mogłyby być jego własne słowa z wiersza „Widziane jesienią. Po ośmiu latach”: *czysta radość że jestem*. Jeszcze jedna myśl przyświeca tej poezji, a wypowiedziana została w tytułowym wierszu zbioru zadedykowanym mistrzowi poety – Czesławowi Miłoszowi: *nazywać / czyli ocalić. Nie wolno cudu życia / oddać na pastwę milczenia. Cud życia tropiony jest więc tutaj na wszystkie sposoby: przez kontemplację przyrody, adorację sztuki, doznawanie wzruszeń podróży, cudzym słowem, mitem, a także przez milczenie*

zachwytu: *nie muszę tego co najpiękniejsze ubierać koniecznie / w dźwięki może pozostać właśnie takie bezinteresowne / kruche podatne na wiatr rzućne o tak na pastwę / niepewnej dobroci*. Poeta wciąż szuka miary dla rozwiązania tajemnicy istnienia, szuka jej *uparcie / wtulony w ramiona Obietnicy*. Swoje wzruszenia koncentruje na chwili, punkcie, drobiazgu – tych atrybutach wieczności – by wywieść z nich odczucie pełni, Całości. Pięknym, nasyconym metaforami językiem boryka się z wizją siebie w świecie, a jest to wizja ocierająca się nieustannie o Ostateczność. Miłosny stosunek Szymika do świata powoduje, że wszystko, czego tylko tknie słowem, nabiera – jak u Midasa – blasku, promienieje pięknem Przemienienia. Nawet jego niepokój nie ma w sobie nic z pospolitego egzystencjalnego lęku, jest raczej metafizyczną tęsknotą za doskonałością, dążeniem ku ideałowi istnienia: *kiedy będziemy się tłumaczyli / ze swego życia / przed Bogiem / powiemy / żeśmy kochali, / Resztę nam wybaczy*. Trudno oczywiście wyrazić ufność w Boską Miłość i Boskie Miłosierdzie. Można powiedzieć, że ks. Szymik został obdarowany łaską czystego widzenia. Nie każdy otrzymuje ten dar. Poeta, na szczęście, daru tego nie marnuje, lecz czyni z niego najważniejsze narzędzie poznania, ważniejsze od zmysłów i omylnego rozumu. On wie, że *wielkie* zaczyna się po przeżyciu ekstazy, po oddaniu się we władanie wyższych mocy, choć niełatwo jest w samym sobie uporać się z tym stanem, bo jak sam mówi w wierszu „Niewiasto, oto syn

twój”, jest to tylko ten / moment / w którym prawda / wdziera się rozdzierającym / strumieniem światła / w szczeliny / wydrążone przez żal.

Poezja Szymika stanowi dokładne zaprzeczenie postawy współczesnych pewnych siebie półinteligentów, którzy w naszej mechanistycznej rzeczywistości doznają *pozornych tajemniczeń*. Ta definicja ułomnego bohatera naszych czasów wyszła z ust ks. Pasierba podczas jednej z ostatnich jego publicznych wypowiedzi. Ze względu na przenikliwą trafność tej oceny zacytuję dłuższy jej fragment: *Powstał człowiek, który otrzymuje z telewizora fałszywą pewność siebie, świadomość, że wie wszystko, bo mu o tym powiedziano w prosty, przystępny, digestowy sposób. To wyrabia samouspokojenie, człowiek sądzi, że wie już dostatecznie dużo, uważa się za dostatecznie poinformowanego. Przestaje się dziwić, przestaje doznawać emocji, wzruszeń* (cyt. za: „Nowe Książki” 8/1994). Jaka szkoda, że „Ziemia niebieska” ukazała się już po śmierci J. Pasierba. Mógłby on z całym przekonaniem powtórzyć to, co już przy innej okazji powiedział o poezji Szymika: (...) *wiersze bardzo mi bliskie!*

Z wielką radością podpisuję się pod tą opinią.

Adriana Szymańska

**MAŁE PROZY
PIOTRA CZYZYKA**

Jerzy Pluta

*Stacja metra:
Franz Kafka*

„OKIS”, Wrocław 1994, ss. 64

Z coraz większym trudem znajdujemy w księgarniach i niestety również w bibliotekach nową prozę polską – co wcale nie oznacza, że taka nie powstaje i nie ukazuje się w druku. W ostatnich dwóch latach wyszło wcale niemało tomów i tomików opowiadań (rzadziej powieści) bardziej i mniej znanych autorów, tylko że dostęp do nich jest prawie żaden; mało kto troszczy się dziś o przetarcie dróg od oficyn do czytelnika, wskutek czego wiele pozycji funkcjonuje w kręgach lokalnych, jeśli nie towarzyskich. Jest paradoksem, że łatwiej dziś wydać niewielką książeczkę niż ją rozpowszechnić potem w szerszym obiegu czytelniczym. Omawiany tu tomik małych próz Jerzego Pluty – autora, o którym głośniejsze niż teraz było w latach 70., m.in. za sprawą zgrabnej powieści „Sto czyżyków (i piórko rajskiego ptaka)”, nagrodzonej przez genewską Fundację im. Kościelskich – ukazał się w Bibliotece Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, serii wydawanej pod patronatem wrocławskiego Ośrodka Kultury i Sztuki, i jak podobne książeczki nie miał szans

w hurtowniach, zbijających majątek na handlu towaram w okładkach; mógł na rynku liczyć na litościwą akceptację u kilku, co najwyżej kilkunastu księgarzy w najbliższej okolicy... Nie chcę wchodzić głębiej w temat opłakanych skutków naszej polityki kulturalnej – raczej jej braku – nie tylko w tej dziedzinie (puszczenie dystrybucji na żywioł wolnego rynku nie mniej zaszkodziło położeniu polskiej prasy kulturalnej), może tylko przypomnę zainteresowanym, że książki można nabywać też drogą pocztową (w tym wypadku we wrocławskim SPP); i może sprzedaż wysyłkowa byłaby pewną szansą dla nowej literatury polskiej, gdyby chwyciła, jak w niektórych innych krajach...

Pluta pisze już od lat 60. i jak na to, co napisał, jest stanowczo za mało znany amatorom literatury w naszym kraju. We wczesnym stadium swojej twórczości był nie bez powodu kojarzony z modnym w tamtych latach nurtem małego realizmu; kiedyś – recenzując pierwsze tomy opowiadań pisarza zatytułowane „Pas” i „Konie przejadają Polskę” – nazywałem jego twórczość naiwnym realizmem. Świat w widzeniu narratora był tu bardzo szary, peryferyjny, nudny przy tym jak flaki z olejem, każdy dzień przynosił podobny pasjans bezcelowych, rutynowych zajęć. Widać było w owym świecie przedstawionym Pluty naiwną nadzieję na wyrwanie się z zaklętego kręgu powszedniości, oczekiwanie nadzwyczajnych konsekwencji różnych błahych zdarzeń: tego, że coś może w końcu wyniknąć z zabicia królika na obiad i dlatego ceremonial zabijania i towarzy-

szące mu okoliczności trzeba śledzić z uwagą, nie zaniedbując szczegółów, niuansów, choć przecież oczywiście wynika z tego w końcu tylko obiad... Narracja płynie strużką jednobarwną, wskazówka napięcia, temperatury stylu nie wychyla się poza normę, nawet gdy przyjdzie do skomentowania czyjejś śmierci. Można w tym dostrzec realizm wyrafinowany w swej małości, metodyczny, świadomy swych obwarowań i stawiający na nie. W wydanej pod koniec lat 70. „Sto czyżyków” metoda została, ale uzyskała nową, cenną motywację – przede wszystkim dzięki zaprawieniu jej patyną zdrowej ironii i specyficznego (może nieco hrabalskiego) humoru, a szczególnie dzięki podbudowaniu całego świata przedstawionego, w oczywisty sposób uzależnionego od osobowości narratora, elementem gorzkiej, choć na swój sposób ciepłej autoironii. W latach 80. Pluta postanowił dopisać dalszy ciąg przygód bohatera swojej powieści, Piotra Czyżyka, pt. „Piotr Czyżyk zasypia”, i wydać to w jednym tomie z powtórzoną pierwszą powieścią (Wyd. Literackie 1989); ale w tej całości najbardziej mogła się podobać wznowiona pierwsza część – nie tracący na celności mimo upływu czasu, mądrze groteskowy portret inteligenta z czasów podupadania Peerełu. Natomiast dalszy ciąg losów Piotra Czyżyka – może nieco ulegający powadze okresu, czyli lat po wprowadzeniu stanu wojennego – traci zbyt wiele z ożywiających wcześniej narrację powiewów naturalnego komizmu (w duchu czeskiej prozy) i autoironii, powraca niekiedy do cechujące-

go wcześniejsze opowiadania Pluty małego, czy kronikarskiego, realizmu.

Od pewnego czasu Pluta zarzucał większe formy prozatorskie, wyspecjalizował się w oryginalnych miniaturach, których jeden tomik ukazał się wcześniej pt. „Melancholijka polonaise” (nakładem Galerii Autor-skiej Jacka Solińskiego i Jana Kaji w Bydgoszczy) – i można powiedzieć, że trafił w swój „genre”. „Stacja metra: Franz Kafka” przynosi znowu niewielkie, liczące od strony do trzech stron druku (w jednym przypadku, sprawozdania z podróży po Pradze i wizycie w tamtejszym krematorium, nieco więcej, ale to wyjątek) małe prozy, którym trudno precyzyjnie „dopasować” szufladkę gatunkową; jeżeli miałbym szukać jakichś antenatów dla tej twórczości, dopatrywałbym się ich może w ni to prozatorskich, ni to poetyckich „zlepach” Mirona Białoszewskiego. Choć Pluta zdradza mniejsze niż Białoszewski zainteresowanie tworzywem czy też materiałem uprawianej przez łudzi na co dzień mowy; bardziej fascynuje go codzienna rzeczywistość obyczajowa, psychologiczna, ta kształtująca się na styku powszednich kontaktów międzyludzkich – na ulicy, na spacerze, z sąsiadami, na pogrzebie. Poza tym miniatury Pluty, w przeciwieństwie do dość „otwartych” utworów Białoszewskiego, mają charakter zamkniętych struktur – minipowiaści czy nawet mininowel z mniej lub bardziej czytelną pointą. Oto np. w jednej z nich narrator w trakcie swoich spacerów na skwerku obserwuje – z wewnętrzną aprobatą – zasiadającą

stałe na jednej z ławek parę: „aniołkowatą” kilkuletnią dziewczynkę ze staruszką w podniszczonej marynarce. *Jak to miło popatrzeć!* (...) *A ja co? Miód już zjadłem* – komentuje przeżywający swą samotność narrator. Pewnego dnia na ławce brakuje – okazuje się, nie dziadka, tylko sąsiada „z góry”, wypożyczanego przez matkę dziewczynki jako „dziadka”. A co się stało, że nie ma już fałszywego dziadka? *A co ma być? Zdechł, pijanica, pod płotem, tak mówi moja mamusia, a ona nigdy nie kłamie* – wyjaśnia dziewczynka.

Narrator Pluty jest podobnie jak we wcześniejszych utworach autora silnie zakorzeniony w otaczającej, najbliższej rzeczywistości społecznej i cechuje się przy tym niesłuchanie konkretną, wyrosłą bodaj na gruncie autentyczności (należał Pluta do najpóźniejszych czytelników np. Henryka Worcella) wyobraźnią; ale w zetknięciu z twórczym piórem Pluty nabiera watorów lirycznych, cechuje go poetyckie wyczulenie na osobliwości międzyludzkiego pożycia i porozumiewania się. Tym, co nadaje miniaturom – rozpiętym między biegunami małorealistycznego konkretności a klipsy lirycznej – charakter jednorodnych tekstów, jest wszakże w dużej mierze narrator – zawsze ten sam, o specyficznej konstrukcji, nieco zgorzkniały, ale i ciepło ustosunkowany do całego świata ludzkiego mimo jego zepsucia, przy tym nadal autoironiczny: po prostu posunięty w latach znany nam Piotr Czyżyk, który ze stoicyzmem i poczuciem humoru (jak napisałem wyżej, chyba pokrewnym hrabalowskiemu), acz lekką nostal-

gią, przyjmuje to, co mu sądzone w życiu... *Od kilku już lat nie telefonuję do znajomych, ot tak, by zapytać co słychać, nie chcę przeszkadzać, bo może akurat oglądają telewizję satelitarną, wiadomo: czasu tak mało, a tu słyszą wykrętną odpowiedź: och, odpoczywam, i szept kobiety: z kim ty gadasz, znowu ten pierdoła? Uciekli, wyprzedzili, wyjechali: jeden został prorokiem, drugi profesorem, trzeci biznesmenem* (...) *A inni? Zapomnieli, wyjechali na grzyby?* Piotr Czyżyk nie skarży się na nikogo, po prostu po swojemu pisze, jak jest, jak mu jest w życiu.

Mieczysław Orski

Ludwik Lipnicki, *Zapięta się jesień*

Wyd. Miniatura, Kraków 1994, ss. 72

Tomik poetycki autora, którego poezja nawiązuje do najlepszych źródeł poezji franciszkańskiej – umiłowania przyrody i człowieka.

Tadeusz Żychiewicz, *Jajko miejscami nieświeże, czyli pytania dla teologów*

przekład ekumeniczny

„Słowo i Życie”, Warszawa 1993, ss. 81

Przekład z języka greckiego dokonany przez: ks. Michała Czajkowskiego, bpa Jeremiasza (Jana Anchimiu-ka), pastora Mieczysława Kwietnia i Jana Turnaua.

Listy do redakcji

Warszawa, 20 V 1994 r.

Czcigodny Ojcie!

Chociaż inspiracją do napisania tego listu był artykuł p. Kazimierza Dziewanowskiego zamieszczony w ostatnim numerze „PP” (5/1994), ośmielałem się skierować go bezpośrednio do Ojca Redaktora, z uwagi na to, że sposób potraktowania tytułowego problemu w wymienionym artykule ma poważne konsekwencje społeczne. Stanowisko, które prezentuje autor, jest dość typowe dla ugrupowania politycznego, z którym jest związany. Jak zaznacza na wstępie, „Notatki na marginesie” *mogą dotyczyć spraw poważnych i będą się obracały wokół stereotypów myślowych, nieporozumień (...) zatekłych mądrości* itp., które mogą prowadzić na *podwodne rafy i wraki*. A więc przybędzie jeszcze jeden publicysta – „autorytet moralny” i nieczadowy sternik, który poprowadzi nasz narodowy statek wokół tych „raf”. I chociaż w wielu miejscach tekstu czyni zastrzeżenia (*chyba, moja opinia, myślę*), to jednak dość stanowczo, jak na „autorytet” przystało, formuluje następujące wnioski:

1. Temat afer ma charakter obsesyjny, afery mają znaczenie marginalne i nie mają praktycznie żadnego wpływu na naprawę ważne dla kraju sprawy, takie jak gospodarka, poziom życia, bezrobocie itp.

2. Afer jest mniej, niż to sugeruje prasa i opinia publiczna, a w skali światowej, gdzie rekord należy do Włochów, można uznać Polskę za państwo niemal wzorowe.

3. Zjawisko zdaje się w Polsce nowe, ale w systemie totalitarnym PRL-u afery istniały (przykład – afera „Żelazo”).

4. Zarzut korupcji stał się narzędziem walki politycznej.

5. Najbardziej skorumpowane systemy to dyktatury, np. faszyzm włoski i niemiecki, komunizm sowiecki. Nie należy więc się powoływać na „*ład i porządek*” z tamtych czasów.

Tak sformułowane tezy stanowczo kwestionuję.

Ad 1. Niestety, temat przestępczości i afer jest całkiem realny i nie trzeba się sięgać do statystyk. Wystarczy codzienna uważna obserwacja życia i zachowań społeczeństwa w zakładach pracy, środkach komunikacji, osiedlach i rosnących jak grzyby po deszczu koloniach willowych, wyposażonych z iście bizantyjskim przepychem. Jeśli chodzi o dane szczegółowe odnośnie do przestępczości, odwołam się

do słów ministra spraw wewnętrznych A. Milczanowskiego, sędzę, iż w tym względzie wiarygodnego: *W ciągu czterech miesięcy (...) gwałtownie wzrosły przestępstwa najcięższe: rozboje o 24,5%, napady z użyciem broni o 54%, przestępstwa kryminalne o 15%...* („Słowo”, nr 33, z 16 V br.).

Ponieważ, podobnie jak p. Dziewanowski, nie znam dokumentów obrazujących rozmiary i skalę zjawiska afer i korupcji, zdaję się na opinię b. pośła z Elbląga – Edmunda Krasowskiego, który w ciągu kilku lat zajmował się tymi problemami, a zarówno dokumenty jak i wnioski z nich płynące prezentował publicznie. Nie będę się rozpisywał na temat afer-gigantów, typu FOZZ, Art-B, rublowej, alkoholowej, nagminnych bankructw banków itp. Przypomnę tylko, że za ujawnienie i rozpoczęcie czynności dochodzeniowych odnośnie do tej pierwszej dwóch ludzi zapłaciło życie, a straty państwa z tytułu największej afery (stały kurs dolara w 1990 r. i wysokie oprocentowanie kont złotych – dzieło p. Balcerowicza) szacowane są w miliardach wywiezionych za granicę dolarów. I trzeba być doprawdy wielkim optymistą, by uważać, że tego typu działalność pozostaje bez wpływu na gospodarkę kraju.

Ad 2. Nie wiem, czy *rekord świata* należy do Włochów i jak daleko Polska pozostaje w tyle. W sprawach włoskich p. Dziewanowski zdaje się ekspertem. Pod koniec lat osiemdziesiątych zwiedził Włochy i swoje spostrzeżenia opublikował w „PP”. Był zachwycony szybkim rozwojem gospodarczym i dynamiką inwestycji („PP” 3/87, s. 421). W ostatnim artykule sugeruje, że rozmiar afer jest wprost proporcjonalny do potęgi ekonomicznej kraju. Może więc bagatelizowanie problemu jest podyktowane troską o rozwój gospodarczy Polski?

Ad 3. Rzeczywiście, w PRL-u z pewnością istniały afery, wielkie afery – nie ujawniane i nie osądzone. Ale która ze współczesnych afer, mimo że „państwo prawa” trwa już niemal 5 lat, została do końca rozliczona, a jej beneficjenci i inspiratorzy, tak jak we Włoszech, odsunięci od władzy i sądownie skazani? „Żelazo” jest aferą nietypową, bowiem zatrudnieni na etatach komunistycznego wywiadu bandyci grabili „imperialistów” i zbójckie łupy przekazywali swym mocodawcom w kraju. Cieszymy się więc, bo niejeden z nich jest obecnie szanowanym „biznesmenem”, prezesem banku, ministrem, posłem lub senatorem. To z tymi panami „autorytety moralne” podpisały układ w Magdalence.

Ad 4. Bardzo dobrze, że tak się stało. Tak jest w krajach naprawdę demokratycznych. Sprawy rozpatrują niezawisłe sądy i jeśli zarzut jest prawdziwy, konsekwencje są b. poważne (jeszcze raz przykład

Włoch). Równie poważne są konsekwencje w przypadku oszczerstwa. We współczesnej Polsce, która dla jednych jest „PRL-em bis”, dla innych „państwem prawa”, aferzystom nic nie grozi. Z konsekwencjami (i to poważnymi) muszą się natomiast liczyć ci, którzy usiłują proceder ukrócić. Repertuar obrony jest b. bogaty: od „nieznanych sprawców” po oskarżenie o zamach stanu (premier Olszewski).

Ad 5. Zgadzam się z tą oceną. Mnie także nie tęskno do „ładu i porządku” z czasów tow. tow. Bieruta i Jaruzelskiego. Pragnę jednak i sądzę, że nie jestem w tym odosobniony, żyć i pracować w naprawdę wolnej, naprawdę demokratycznej, naprawdę sprawiedliwej i praworządnej Polsce. I nic przekonają mnie, że już cel osiągnąłem, zdolni publicyści, choćby pisali na tak szacownych łamach, jak miesięcznik O.O. Jezuitów.

I ostatnia, choć nie najmniej ważna sprawa. Wpływowe środki masowego przekazu uczyniły wiele w ostatnich latach dla, używając słów poety, *pomieszaniami dobrego i złego*. Generał wybrał „mniejsze zło” i „od... czepcie się od Generała”, nie ma winnych śmierci stoczniovców w 1970 r. i mieszkańców Lublina, proces generałów SB toczy się od kilku lat i nie widać końca, a „nieznanych sprawców” jeszcze z lat czterdziestych osłania „tajemnica służbowa”. Nic było wśród nas konfidentów UB i SB, a ci, którzy są odmiennego zdania, to element „owładnięty chamstwem i nienawiścią”. Itd. itp. Jak skuteczna była ta propaganda, wykazał wynik ubiegłorocznych wyborów parlamentarnych. Nikogo już nie dziwi, że w „państwie prawa” najwyższe urzędy, fotele senatorskie i poselskie mogą zajmować b. donosiciele i oficerowie SB, aferzyści i handlarze walutą.

Artykuł p. Kazimierza Dziewanowskiego jest kontynuacją tamtej linii propagandowej. Ale próby bagatelizowania i niedostrzegania oczywistych faktów to publikowanie nieprawdy, kreowanie fałszywego obrazu polskiej rzeczywistości. Mamy wiele czasopism wyspecjalizowanych w takim procederze. Sądzę, że łamy „Gazety Wyborczej”, „Wprost” czy „Nie” byłyby odpowiedniejsze dla tej publikacji. Na łamach elitarnego miesięcznika katolickiego – tak pisać się nie godzi.

Z należytym szacunkiem
(-) Dariusz Cieślak

Warszawa, 24 V 1994 r.

Szanowny Ojcie Redaktorze,

Piszę w sprawie „Teorematu o aferach”, pióra p. Kazimierza Dziewanowskiego, zamieszczonego w stałej rubryce redagowanego przez Ojca „Przeglądu Powszechnego” (5/1994). Nicco pretensjonalny tytuł tej „notatki na marginesie” sugeruje jakąś teorię do sprawdzenia. W jej treści jednak nic takiego nie znajdujemy. Jeżeli p. Dziewanowski chciał zaszokować czytelników „PP” swymi poglądami, to udało mu się to w zupełności. Obawiam się, czy po powrocie z zagranicznych wojaży zrozumiał w pełni, co tu się u nas dzieje.

Przypomnę, że „PP” nie ma szczęścia do wybierania sobie autorów, którzy byliby zdolni obiektywnie przedstawić w katolickim przecieź czasopiśmie to, co się dzieje w Polsce. Do tego trzeba autorów różnych, a nie tylko jednej opcji politycznej. Jednym z przykładów jest autor nie rozumiejący, do czego prowadzi gruba kreska i jej szkodliwy moralnie wydzźwięk (zob. artykuł o. G. Schmidta w „PP” 7-8/1992). Teraz pojawia się praca p. Dziewanowskiego, podająca sprawę afer zgodnie z uprawianą w prasie od jakiegoś czasu polityką zacierania granic dobra i zła, nastawiona na bagatelizowanie rozmiaru afer i ich społecznej szkody. Wynika z tego, że tylko jedna opcja polityczna okupuje łamy „PP”. Pożądana wydaje się dyskusja prezentowanych poglądów, takich jak np. notki p. Dziewanowskiego czy wzmiankowanej o. Schmidta. Byłoby dobrze, aby ważne zagadnienia dla polityki, gospodarki i kultury były prezentowane z różnych pozycji, nie tylko Unii Wolności, ale np. centrum, chadecji czy RdR (miło byłoby przeczytać opinię np. byłego premiera p. Jana Olszewskiego czy jego ministra Antoniego Macierewicza, prezesa NIK Jarosława Kaczyńskiego, prezesa Sądu Najwyższego p. prof. Adama Strzembosza czy p. senatora dr. Z. Romaszewskiego). Nie będą omawiać wszystkich potknięć p. Dziewanowskiego, ale każdy z moich kolegów, z którymi rozmawiałem, tak z prawicy jak i lewicy, żyyma się na tezy zawarte w „teoremacie”.

Naiwnością jest twierdzenie że szarych ludzi nie obchodzą afery, które dotyczą ich bezpośrednio: a to doprowadzany do ruiny zakład (np. przez prywatyzację jego istotnej części vide: Stocznia Gdańska), tak aby go sprzedać za bezcen, brak uwłaszczenia PGR-ów na rzecz pracujących w nich robotników (czy nie lepiej niż płacić zasiłki, skazywać ludzi na głód?), odpływu ogromnej ilości dewiz skutkiem utrzymywania sztucznie zaniżonego parytetu dolara przy ogromnie wysokim oprocentowaniu złotówki, niewywiązywania się rządu ze zobowiązań wobec zakładów zbrojeniowych, którym nie tylko nie za-

płacono za wysłaną na wschód produkcję, ale obłożone je podatkami za nie opłacone transakcje itp. Wszakże w jednym ma rację, są Polacy nie interesujący się, jak się wydaje, aferami. Są to: wymiar sprawiedliwości, policja i Sejm – ich bezwład, korupcja są porażające. Gdzie nam do włoskiej akcji „czyste ręce” i rozprawiania się z mafiami. Walka z korupcją nie jest traktowana tam (jak i w USA) jako walka polityczna, a jeśli dostaje się rządzącym partiom, nikt (poza mafią) o to nie ma żalu do dziennikarzy. Tu mafie powstały jakby z założenia: przechwycone jeszcze przed „okrągłym stołem” fundusze (pożyczki zagraniczne, FOZZ, banki), jak i mienie społeczne (odprzedawane swoim za grosze, vide: Urban), dostały się w ręce nomenklatury. I to jest źródło zła w naszym kraju. Siłom tym zależy na utrzymaniu się w kraju chaosu, bagatelizowaniu zagrożeń (czemu służą ludzie czasem nieświadomie, mam nadzieję, jak w przypadku p. Kaziemierza), paraliżu sądownictwa, policji i służb celnych. Niektórzy z polityków twierdzą nawet cynicznie, że pierwszy miliard trzeba ukraść, podają też przykład powstania fortuny Kennedych w USA. A komu się kradnie? Nam, przez zwiększony z tego względu deficyt budżetowy na opłacenie upadających banków czy kredytów zaciągniętych przez bankrutujące spółki. Cierpią na tym niedofinansowane szpitale, paraliżuje to policję, i wiele innych dziedzin życia kraju.

Na tym kończę apelując jeszcze raz o prezentowanie poglądów w waszym miesięczniku znacznie bardziej szerokiej „panoramy politycznej”. Jako następny „topik” takiej dyskusji (po opublikowaniu uwagi o aferach, kogoś lepiej zorientowanego) mogłaby być korupcja: czy jest to tylko wynik 50-letniej wojny okupantów ze społeczeństwem?

Z wyrazami poważania
(–) Andrzej J. Treszczanowicz

Zeznania aferzysty

Uprawianie publicystyki to zajęcie przypominające znane z dziecięcych lektur komunikowanie się ze światem za pomocą listów wysyłanych „pocztą butelkową”. Każdy, kto czytał powieści Verne’a czy Stevensona, wie, o co chodzi: pisało się list, wkładało do butelki, a butelkę wrzucało się do morza. Po jakimś czasie butelkę wylądowano, a list docierał do rąk właściciela. Stosowanie tej metody byłoby dziś trudne, bo morza są tak zaśmiecone, że samotna butelka ma niewielkie szanse zwrócenia uwagi.

Publicystyka ma niewiele większe.

Dlatego każdy odzew, jaki nadejdzie od Czytelników, cieszy. Świadczy, że czasem ktoś, za rzekami i górami albo na sąsiedniej ulicy – jednak przeczytał. To krzepiące. Publicysta powinien być jednak przygotowany na to, że ów odzew może być krytyczny, niechętny, a często wywołany nieporozumieniem: niezręcznym sformułowaniem użytym przez autora albo nieuważnym odczytaniem tekstu przez Czytelnika. I jeszcze jedno – łatwiej za pióro chwyta człowiek zdenerwowany niż ten, który się z tekstem zgadza i któremu się on spodobał.

Dwaj Czytelnicy napisali do Redaktora Naczelnego „PP”, że ma w redakcji zwolennika ukrywania afer.

No, to podyskutujmy.

Zacznę od listu p. Treszczanowicza. Rozumiem, że Autor jest zwolennikiem prawicy, panów Olszewskiego, Macierewicza, Kaczyńskiego. Jego prawo. Nie ja ustalam kierunek redakcyjny „PP” (choć lubię ten kierunek i szanuję). Pozwalam sobie natomiast zauważyć, że jest on zgodny ze stuletnią już tradycją pisma. I pozwalam sobie też zauważyć, że wymienieni przez Autora politycy nie mogą narzekać na brak miejsca na łamach czasopism. Jaki z tego robią użytek – to już inna sprawa.

Pan Treszczanowicz uważa, że władze polskie po 1989 r. sztucznie utrzymywały niski kurs dolara, co umożliwiło *odpływ ogromnej ilości dewiz*. Radziłbym się chwilę zastanowić: skąd, na Boga, wzięły się w Polsce te ogromne ilości dewiz, które by można za bezcen wykupywać i wywozić? I dlaczego rząd (jakikolwiek rząd) miałby w tym być zainteresowany? Jest to pomówienie, które nie znajduje poparcia w żadnych faktach. Wicepremier Balcerowicz zdołał doprowadzić do częściowej wymienialności złotówki, co miało zbawienne skutki zarówno dla umocnienia polskiej waluty, jak i dla pobudzenia eksportu i poprawy zaopatrzenia polskiego rynku, nie mówiąc już o umożli-

wieniu szerokich kontaktów ze światem. Gdyby istotnie dolary były tak tanie, to banki (i kantory) nie miałyby wkrótce czym handlować. Czy rząd polski ma drukarnię dolarów? Prawda wygląda nieco inaczej: powstała pewna (czasem lepsza, czasem gorsza) równowaga, która umożliwiła wymienialność.

Niedawno Bank Narodowy zmniejszył nawet tempo tzw. pełzającej dewaluacji złotego. Czy to znowu jest „afera”?

Niestety, p. Treszczanowicz zbyt często powtarza plotki, zamiast zapoznać się z faktami. Oto przykład: gdyby rząd płacił zakładom zbrojeniowym za wysłaną na wschód produkcję, nie otrzymawszy za nią zapłaty od byłego ZSRR (jak się tego domaga p. Treszczanowicz), to musiałby znaleźć odpowiednie sumy w budżecie. Jednak dalej Autor pisze o niedofinansowanych szpitalach, sparaliżowanej policji itd. Czyli o brakach i dziurach w budżecie. Czy gdyby rząd zaczął bez wahania płacić długi za sowieckie uzbrojenie, p. Treszczanowicz nie napisałby, że oto skumany z komuną rząd utrzymuje z naszych podatków Armię Czerwoną? Problem zakładów zbrojeniowych jest poważny i jest stopniowo rozwiązywany, ale kłopot polega na tym, że państwo ma mało środków, czego Autor wydaje się nie rozumieć. Sytuacja finansowa państwa polskiego zaczęła się zresztą od dwóch lat poprawiać i miejmy nadzieję, że obecne władze tego nie zaprzeczają, choć mają do tego wyraźną skłonność. Ale owa poprawa jest rezultatem prężności sektora prywatnego i pewnej, wciąż zbyt małej, części przedsiębiorstw państwowych (które w większości nadal przynoszą straty), rosnącej produkcji, zwiększającego się eksportu na rynki wolnodewizowe i lepszego niż poprzedni systemu podatkowego. Wszelako nie zlikwidowano jeszcze skutków istnienia przez półwiecze skrajnie marnotrawnego systemu nakazowo-rozdzielczego.

Nie mogło to być osiągnięte w ciągu czterech czy pięciu lat. Nigdzie na świecie nie poradzono sobie prędzej. Nie ma to nic wspólnego z żadnymi aferami. Obsesja afer jest moim zdaniem często wytworem zwolenników powrotu do centralnego sterowania, przywrócenia wszechwładzy biurokracji i skończenia z systemem demokratycznym. Wtedy znów będzie można ciągnąć korzyści z rozdzielania łask i apaczy, a afery znikną, bo prasa znajdzie się pod kontrolą.

Z kolei kilka uwag do listu drugiego Korespondenta. Tu znów mamy *miliardy dolarów wywiezione z Polski*. Jest to argument fikcyjny, ponieważ w Polsce nigdy nie było miliardów dolarów do wywiezienia. Natomiast zarzut, że konta złotowe były zbyt wysoko oprocentowane, też zdradza brak znajomości problemu. Konta w normalnym systemie bankowym muszą być oprocentowane tak wysoko, by spro-

stać inflacji i zapewnić właścicielowi pewien niewielki zysk – zwykle około 5%. Jeżeliby oprocentowano je niżej, wtedy nikt nie złożyłby złotych do banku, tylko kupiłby dolary. To zaś od razu położyłoby kres wymienialności waluty, co się wydaje w oczach Korespondentów stanem pożądanym. Ale taki był model gospodarki komunistycznej, totalitarnej, którego obaj Panowie nie pochwalają – albo im się tak tylko wydaje. Nie zwracają też uwagi na dość oczywistą regułę: jeżeli ktoś ma się za prawicowca i patriotę, powinien rozumieć konieczność umocnienia krajowej waluty, a nie domagać się osłabiania jej. A czymże jest żądanie radykalnej dewaluacji złotego przy jednoczesnym obniżeniu oprocentowania kont złotówkowych w bankach?

Jest to żądanie likwidacji złotego jako waluty akceptowanej w handlu, spowodowania „utrąty płynności” – i przemiany złotówki w coś w rodzaju ukraińskiego „kuponu”. Najzabawniejsze zaś jest to, że obaj Panowie przeoczyli, iż dewaluacja złotego w myśl ich założeń, przy jednoczesnej likwidacji oszczędzania w złotych, dałaby możliwość kupowania za garść dolarów rzeczy wartych miliony i miliony złotych. Powrócilibyśmy wtedy do czasów komunistycznych, kiedy dolar miał na czarnym rynku cenę nie pozostającą w żadnej proporcji do jego rzeczywistej wartości.

Następna sprawa. Nie znam wypowiedzi min. Milczanowskiego, w której twierdził, że w cztery miesiące liczba napadów z bronią wzrosła o 54% itd. Chyba to nie jest zacytowane ściśle. Coś tu się nie zgadza. W cztery miesiące? Gdyby tak było, to nikt by się już dziś nie odważył wyjść na ulicę. Tymczasem wszystkie publikowane statystyki porównawcze wskazują, że Polska jest wciąż krajem stosunkowo bezpiecznym. Natomiast bez wątpienia istnieje w Polsce obsesja na tym punkcie. Obawiam się, że podobnie jak w kwestii afer jest ona częściowo spowodowana tym, że przedtem przez dziesięciolecia o sprawie niemal nie pisano, a teraz się obszernie pisze i pokazuje w telewizji; po drugie może być i tak, że tego rodzaju niepokojenie obywateli i podsycanie lęku jest pewnym grupom na rękę.

Dlatego, inaczej niż Autorzy listów, uważam, że nigdy nie należy rezygnować z krytycznej oceny sądów powtarzanych powszechnie – i to zarówno w tramwajach, jak i w telewizji. Trzeba też (przynajmniej jeśli się pisze) umieszczać sprawę na szerszym tle. I dlatego przywołanie przykładu Włoch nie jest od rzeczy. A bardziej jeszcze przykładu Rosji, Ukrainy, Białorusi – bo to bliżej.

Jeszcze parę słów o aferach i ich znaczeniu. Obaj Korespondenci uważają, że są one jednym z głównych tematów, którym zajmuje się – i powinno zajmować – społeczeństwo; uważają też, że afer jest

nieprzeliczona liczba, lecz nie są ujawniane, bo władze to ukrywają. Muszę tutaj wprowadzić kilka uwag. Po pierwsze: Korespondenci nie lubią porównań z innymi krajami i nie chcą się zajmować danymi porównawczymi. Jakże więc dyskutować? Po drugie: p. Cieślak powiada, że bardzo dobrze się stało, iż zarzuty korupcyjne stały się narzędziem walki politycznej. I pisze: *Tak jest w krajach naprawdę demokratycznych. Sprawy rozpatrują niezawisłe sądy i jeśli zarzut jest prawdziwy, konsekwencje są b. poważne. Równie poważne są konsekwencje w przypadku oszczerstwa. We współczesnej Polsce (...) aferzystom nic nie grozi.*

Otóż nie zrozumieliśmy się. Ja uważam, że w Polsce, we wszystkich kampaniach wyborczych, narzędziem politycznym stało się oszczerstwo, czyli fałszywe oskarżenie. I nie tyle aferzystom nic nie grozi, ile tym, którzy rzucają kłamliwe oskarżenia. Na Zachodzie polityk, który fałszywie oskarży przeciwnika, jest – w przypadku udowodnienia mu winy – skończony raz na zawsze. A u nas? Wszyscy znamy przykłady polityków, którzy rozwodzili się przed kamerami telewizyjnymi na temat miliardów ukradzionych dolarów i nigdy tego później nie udowodnili, nigdy też nie zostali za to pociągnięci do odpowiedzialności.

Cechą polskiego życia politycznego stała się niestety niska i kłamliwa demagogia. Sięgnęła ona do wszystkich niemal obozów, a celuje w tym, trzeba uczciwie powiedzieć – prawica. Pamięamy także, jak prezydent obiecywał *puszczanie w skarpetkach*. Moi Korespondenci powiedzą na to, że afery się tuszuje, a aferzystów chroni. Jednak może tych afer, o których tyle opowiadano w kampaniach wyborczych, nieraz po prostu nie było? Może natomiast były oszczerstwa używane jako łom polityczny? Czy Panom Korespondentom taka ewentualność nie przyszła do głowy? Dlaczego? Skoro podejrzewają wszystkich o złe intencje, czemu nie zauważyli tak powszechnie stosowanej – i tak złowrogiej – techniki politycznej? Czemu nie dostrzegli, że korzyści z tego wyciągnęli głównie pogrobowcy komunizmu, a społeczeństwo odrzuciło rozgorączkowanych demagogów – zwłaszcza prawicowych?

Moją intencją, proszę Panów, nie było ukrywanie afer komunistyczno-nomenklaturowych, tylko przeciwdziałanie obsesji społecznej opartej w dużej części na nieudokumentowanych plotkach, w które wierzą ludzie naiwni, a wzbudzany w nich nastrój służy wywoływaniu tęsknoty do rządów policyjnej pałki, zamordyzmu i powszechnej tajności, systemu, w którym najgorsze przestępstwa mogą ująć bezkarnie oku opinii publicznej.

Afery, proszę Panów, nie są głównym problemem Polski. Głównym problemem jest reforma ekonomiczna, decentralizacja, zwiększenie eksportu, unowocześnienie przemysłu, usuwanie strasznego zafacjaniania polskiego rolnictwa, reforma oświaty, służby zdrowia, ubezpieczeń. A przede wszystkim zapewnienie państwu bezpieczeństwa, aby nikt już nie mógł zagrozić naszej niepodległości. To są sprawy centralne, od których pewni ludzie systematycznie usiłują odwrócić uwagę krzykiem o aferach. Afery były w przedwojennej Polsce, były w PRL, są i teraz, choć mniej, niż to głosi plotka. Nie wolno ich akceptować i trzeba je tępić, udoskonalając prawo, mechanizmy kontroli i zwalczania przestępstw. Ale gdybyśmy uznali, że to jest główna polska sprawa, to trzeba by zakazać produkcji, handlu, wymiany międzynarodowej, zamknąć banki i przejścia graniczne.

Po kilku miesiącach, gdy wszystko by zamarło i siedzielibyśmy przy łuczycach, moi Korespondenci napisaliby, że to chyba jakiś spisek przeciw Polsce – i mieliby rację.

* * *

Muszę także powiedzieć, że w jednym punkcie z p. Cieślakiem absolutnie zgodzić się nie mogę, a to, co napisał uważam za insynuację. Piszę, mianowicie, że dla mojego felietonu właściwe byłyby łamy „Gazety Wyborczej”, „Wprost”, albo „Nie”.

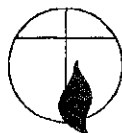
„Gazeta” i „Wprost” – proszę bardzo, uważam je za świetne czasopisma. Ale „Nie” – to nie! Po pierwsze: p. Cieślak nie bardzo wie, co mówi. „Nie” nigdy nie twierdziło, że w obecnej Polsce nie ma afer. Wręcz przeciwnie – właśnie „Nie” od początku rozpoczęło kampanię mającą udowodnić, że nowa Polska to wyłącznie złodziejstwo, podczas gdy dawniej panował ład, porządek, schludność i pełna uczciwość. Kampania ta była oparta na Goebbelsowskiej zasadzie, że nie ma kłamstwa, w które ludzie by nie uwierzyli, byle je dostatecznie często powtarzać. Tak więc mój felieton do „Nie” by się nie nadawał.

Ale to nie koniec mojej pretensji do Korespondenta. Piszę on, że pragnie żyć w wolnej, demokratycznej i praworządnej Polsce. Ja też. Ponieważ zaś pragnąłem tego do dawna, więc też dość dawno zaangażowałem się w działania polskiej opozycji demokratycznej. Nie w roku 1994, ale 25 lat wcześniej – najpierw nieśmiało, a później coraz intensywniej. Mam nadzieję, że p. Cieślak zrobił to jeszcze wcześniej i stąd bierze się jego zaufanie do własnego zdania.

Ale mimo to nie ma on merytorycznego ani moralnego prawa, by kierować mój tekst do „Nie”. Jak się coś takiego napisze, to trzeba

wiedzieć, co to znaczy, orientować się, że to „Nie” na spółkę z pewnymi działaczami prawicy przyczyniło się do wytworzenia obsesji afer, która przysłała niektórym rzeczywiste problemy. To ono właśnie bezpośrednio lub pośrednio wmówiło p. Cieślakowi to, co teraz napisał do „Przeglądu Powszechnego”.

Kazimierz Dziewanowski



Z życia Kościoła

1. ŚWIECCY SZAFARZE EUCHARYSTII. Jurysdykcji do wypełniania posługi nadzwyczajnego szafarza Eucharystii udzielił 22 września 73 mężczyznom kard. Józef Glemp. Będą oni mogli roznosić Komunię św. osobom chorym oraz rozdawać ją wraz z kapłanami podczas mszy św. Prymas określił fakt ustanowienia nadzwyczajnych szafarzy jako *otwarcie się Kościoła na ludzi świeckich*. W homilii przypomniał, że swoją posługę powinni rozciągać na pomoc ludziom chorym, samotnym i biednym. Kandydaci przygotowywali się na 5-miesięcznym kursie. W programie mieli m.in. zajęcia z dogmatyki, liturgiki, teologii moralnej i pastoralnej. Dyrektor Wydziału Duszpasterskiego Kurii Metropolitalnej Warszawskiej ks. Piotr Pawlukiewicz uznał za wielkie dobrodziejstwo fakt, że dzięki ustanowieniu szafarzy wielu chorych w archidiecezji warszawskiej będzie mogło po raz pierwszy przyjąć Komunię św. w niedzielę, po wysłuchaniu mszy św. Zgoda na dopuszczenie świeckich do wypełniania posługi nadzwyczajnego szafarza na terenie danej diecezji leży w mocy jej ordynariusza. W Polsce wypełnianie posługi nadzwyczajnego szafarza Eucharystii jest zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

2. PIERWSZY WYDZIAŁ TEOLOGICZNY NA PAŃSTWOWYM UNIWERSYTECIE. Z początkiem października br. rozpoczął swoją działalność Uniwersytet Opolski. W jego struktury wchodzi Wydział Teologiczny. Uzyskał on aprobatę i został erygowany kanonicznie przez Stolicę Apostolską z wszystkimi prawami i obowiązkami wydziałów papieskich. Wydział Teologiczny w Opolu, jak każdy inny na uniwersytecie, działa na podstawie przepisów państwowych. Obowiązywać w nim będą również przepisy kościelne. Dzięki podpisaniu w dniu 20 IX br. umowy między Konferencją Episkopatu a Ministrem Edukacji zagwarantowana została tożsamość katolicka i kościelna wydziału. W obecnym roku akademickim na studiach dziennych i zaocznych będzie studiować na nim ponad 7000 osób, w tym klerycy Seminarium Duchownego w Nysie i prawie 400 osób świeckich.

3. POSZANOWANIE UCZUĆ RELIGIJNYCH. 20 września br. w Strasburgu Europejski Trybunał Praw Człowieka utrzymał w mocy decyzję władz Innsbrucka i austriackich sądów w sprawie zakazu rozpo-

wszechniania filmu obrażającego uczucia religijne wiernych. W argumentacji podkreślono, że rząd może zakazać rozpowszechniania filmu, aby zagwarantować *pokój religijny*, jeśli nie szanuje on wierzeń religijnych większości, a działania takie nie naruszają wolności wypowiedzi gwarantowanej przez Europejską Konwencję Praw Człowieka. W uzasadnieniu wyroku czytamy, że *trybunał nie może pomijać faktu, iż katolicyzm jest religią zdecydowanej większości miejscowych mieszkańców*. Stwierdzono, że w normalnych warunkach wierni muszą znosić opozycję i zarzuty wobec swoich poglądów religijnych. *Jednakże sposób, w jaki zarzuty wobec doktryn i przekonań religijnych są przedstawione, ma związek z odpowiedzialnością państwa (KAI)*.

4. WOKÓŁ STAŁEGO DIAKONATU. W 30. rocznicę ustanowienia przez II Sobór Watykański stałego diakonatu i w 25. rocznicę wyświęcenia w Belgii pierwszych stałych diakonów, w dniach 15–17 września, w Louvain-la-Neuve odbyło się kolokwium poświęcone ocenie i perspektywom związanym z diakonatem. Pytania, jakie obecnie się stawia w związku z posługą stałego diakonatu przedstawił kard. Godfried Danneels. Dotyczą one: samej natury diakonatu, który według dokumentów soborowych uzdalnia do „posługi”, a nie do kapłaństwa; lepszej definicji zadań powierzanych diakonom w głoszeniu słowa Bożego, liturgii oraz organizacji posługi charytatywnej; formacji diakonów; kryteriów w rozeznaniu powołania; wyraźnego określenia relacji między sakramentem diakonatu a sakramentem małżeństwa; ewentualnego diakonatu kobiet. Oceniając 30-letnią praktykę funkcjonowania w Kościele katolickim stałego diakonatu ks. Hervé Legrand (Institut Catholique de Paris) stwierdził, że jest on bardziej skierowany ku liturgii i zastępowaniu księży niż ku ewangelizacji. Jego zdaniem dalsza ewolucja idąca w tym kierunku doprowadzi do pozbawienia specyfiki diakonatu oraz przyćmienia obecności Kościoła w świecie. Zdaniem francuskiego profesora należy zrewaloryzować sakramentalny wymiar diakonatu: diakon jest znakiem Kościoła „służebnego” w świecie, służącego w imię Chrystusa.

Obecnie na świecie jest 21 000 diakonów katolickich.

5. BISKUPI LUIZJANY PRZECIWKO KARZE ŚMIERCI. Na początku czerwca br. biskupi stanu Luizjana w USA opublikowali deklarację, w której jednoznacznie przeciwstawiają się karze śmierci. Ich zdaniem kara śmierci w żaden sposób nie wpływa na zmniejszenie się liczby przestępstw, lecz jeszcze bardziej wprowadza społeczeństwo

amerykańskie w „kulturę śmierci”. Często używany argument odstraszania nie znajduje żadnego potwierdzenia w statystykach. Kara śmierci wcale nie wpływa na zmniejszenie się liczby popełnianych przestępstw. Ponadto swoją decyzję biskupi argumentują wiarą w święty charakter każdego życia ludzkiego, także życia tych, którzy popełnili najstraszniejsze zbrodnie. *Musimy wierzyć we wszechmoc zbawczej miłości Boga, który może zmienić serca, nawrócić osoby i odnowić wszystkie rzeczy. Musimy być ludem, który ma nadzieję względem tych, którzy wydają się być bez żadnej nadziei. Musimy być ludem, który widzi wartość życia ludzkiego, które inni mogą uważać jako bez wartości.*

6. O ZWIĄZKACH NIESAKRAMENTALNYCH. Na temat listu pasterskiego trzech biskupów niemieckich prowincji kościelnej Górnego Renu K. Lehmana, O. Saisera i W. Kaspera nt. duszpasterstwa rozwiedzionych oraz rozwiedzionych, którzy ponownie wstąpili w związki małżeńskie (zob. „PP” 10/94), pod koniec września br. dyskutowano podczas Konferencji Episkopatu Niemiec w Fuldzie. Austriacki kard. Alfons Maria Stickler ocenił list jako zamach *anykatolicki*, skierowany przeciwko Kościołowi rzymskiemu. Wielu innych biskupów uczestniczących w konferencji oceniło, że troska wyrażona w liście pasterskim biskupów Górnego Renu jest całkowicie uzasadniona. Zainteresowani biskupi powiedzieli, że w dalszym ciągu podtrzymują stanowisko przedstawione w ubiegłorocznym liście pasterskim: *Uważamy, że nasze stanowisko jest teologicznie dobrze uzasadnione.* Nie jest ono – jak wyjaśnili – atakiem na naukę Kościoła o nierozzerwalności małżeństwa. Bp Lehmann podkreślił, że razem z dwoma pozostałymi biskupami trzykrotnie spotkali się z kardynałem Josephem Ratzingerem, aby przedyskutować propozycje zawarte w ich liście. Przypomnijmy, że biskupi Górnego Renu mówią o możliwości dopuszczenia do sakramentów – szczególnie Komunii św. – osób żyjących w związkach niesakramentalnych.

W rok po ogłoszeniu listu pasterskiego trzech biskupów niemieckich (14 X) Kongregacja Doktryny Wiary opublikowała „List do biskupów Kościoła katolickiego na temat przyjmowania Komunii św. przez wiernych rozwiedzionych żyjących w nowych związkach”. Został on podpisany przez prefekta Kongregacji kard. Josepha Ratzingera i abpa Alberto Bovone. Dokument ten w 10 punktach *potwierdza stałą i powszechną praktykę „opartą na Piśmie Świętym, niedopuszczania do komunii eucharystycznej rozwiedzionych, którzy zawarli ponowny związek małżeński” („Familiaris consortio”, 84).* Jedyną dla

nich drogą do Komunii św. jest droga *pełnej wstrzeźliwości*. List podkreśla, że nie może być odstępstwa od zasadniczej w tej mierze nauki wyłożonej w „*Familiaris consortio*” oraz że sumienie człowieka nie może być ostateczną instancją w orzekaniu o *istnieniu bądź nieistnieniu poprzedniego małżeństwa i o ważności nowego związku*.

7. SPOTKANIE BISKUPÓW Z KRAJÓW POSTKOMUNISTYCZNYCH. W Warszawie w dniach 13-16 X 1994 r. odbyła się pierwsza konferencja biskupów krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Mówiono o trudnościach w dialogu ekumenicznym katolicko-prawosławnym, o większym udziale świeckich w życiu Kościoła, o błędach popełnionych w ciągu ostatnich 5 lat przez Kościół oraz o nowych wyzwaniach i zadaniach Kościoła. W orędziu wystosowanym do wszystkich Kościołów biskupi podkreślają, że w przewyciężaniu systemu totalitarnego potrzebny jest nie tylko wysiłek zmierzający do odnowy politycznej i gospodarczej ale także moralnej. *Pragniemy podjąć wysiłek budowania prawdziwej wolności opartej na poszukiwaniu prawa Bożego i ludzkiego oraz na prawdzie objawionej w Chrystusie. Właśnie w tym dostrzegamy fundament prawdziwej demokracji: „historia uczy bowiem, że demokracja bez wartości zmienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm” (CA 46). Wśród nowych zagrożeń wymieniamy fałszywe rozumienie samej wolności jako wolności od Chrystusa i zasad przez Niego głoszonych. Nową ewangelizację biskupi określają jako zmierzanie nie do restauracji dawnych czasów, ale do odkrywania własnych korzeni chrześcijańskich i podejmowania w duchu Ewangelii nowych zadań w obliczu współczesnych wyzwań. Szczególnym narzędziem ewangelizacji jest nauka społeczna Kościoła. Służy ona przewyciężeniu apatii i bierności, budzeniu odpowiedzialności za dobro wspólne i umacnianiu sprawiedliwości społecznej. Biskupi podkreślają, że fundamentalną zasadą chrześcijańskiej etyki społecznej jest solidarność.*

oprac. Z.K.